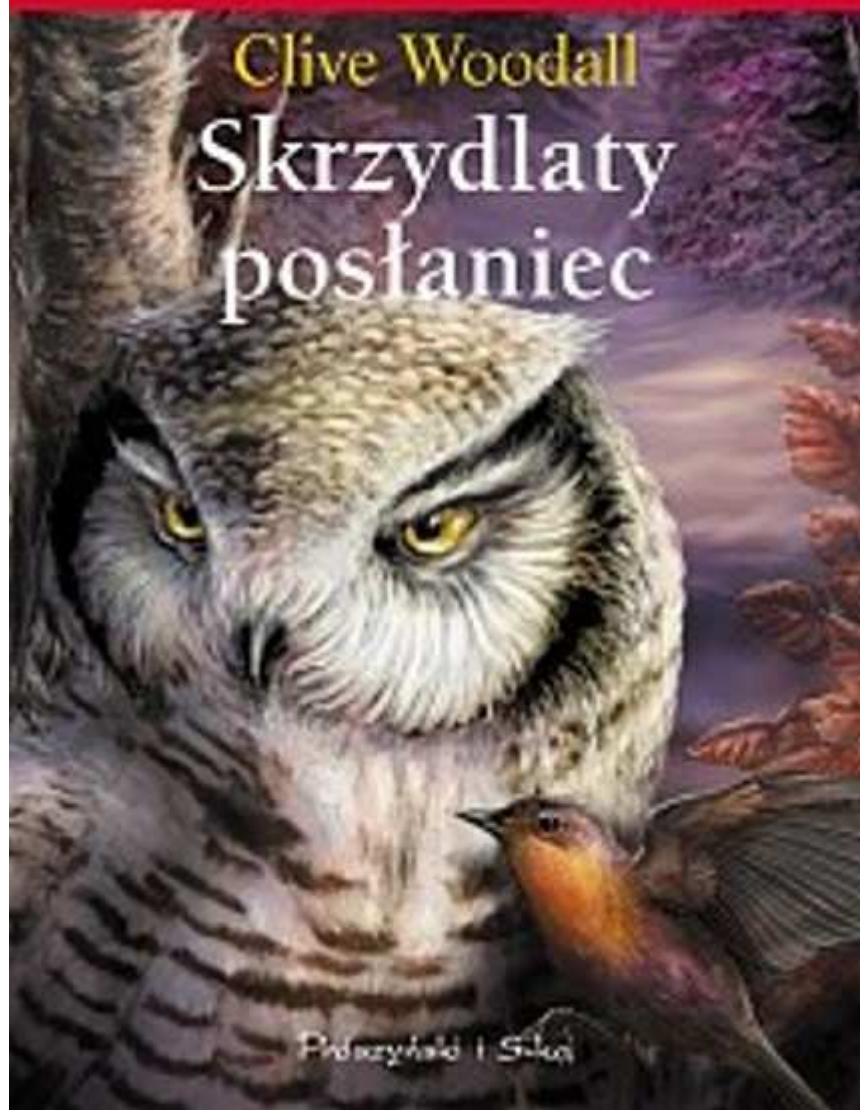


WYDAWCA OSTRZEGA!
TO NIE JEST KSIĄŻKA DLA DZIECI. ZAMIERA OPASTYCZNE SCENY.

Clive Woodall
Skrzydlaty
połaniec

Przełożył i skłonił



Clive Woodall

Skrzydlaty
pośłaniec

Przełożyła

Katarzyna Kasterka

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

ONE FOR SORROW, TWO FOR JOY

Copyright © Clive Woodall, 2002-2003

All Rights Reserved

Ilustracja na okładce

Jacek Pasternak

Redakcja

Magdalena Koziej

Redakcja techniczna

Jolanta Trzcińska-Wykrota

Korekta

Andrzej Massé

Łamanie

Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-501-5

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

61-311 Poznań,

ul. Ługańska 1

Dla taty

KSIĘGA PIERWSZA

Zwiastun smutku

1.

Kirrick przysiadł wysoko na konarze jesionu, osłonięty gęstym, świeżym listowiem. Był piękny, wiosenny poranek i Kirrick czuł wielką pokusę, by się rozśpiewać na całe gardło - radośnie oznajmić światu, że wreszcie minęła długa, ponura zima. Wiedział jednak, że to byłoby szaleństwem mogącym ściągnąć na niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Dni beztroskich świergotów bezpowrotnie minęły. Teraz tylko bezruch i milczenie dawały szansę przetrwania.

Kirrick już od kilku miesięcy wymykał się srokom - swoim bezwzględny prześladowcom. Chociaż trzeba przyznać, że początkowo łowcy nie odznaczali się aż tak wielką zawziętością. Sroki są leniwe z natury, bo - jak wszyscy padlinożercy - nie muszą się szczególnie trudzić, żeby zdobyć pożywienie. Jednakże ostatnio ich zachowanie uległo dziwnej zmianie. Obławy i polowania sprawiały wrażenie drobiazgowo zaplanowanych - były prowadzone z zimną precyzją i zawsze kończyły się okrutną egzekucją. To właśnie w jednej z takich obław zginęła ukochana Kirricka, Celine. Wyczerpana pogonią, dygocąc z przerażenia, niechcący zdradziła miejsce swojej kryjówki. Koniec był szybki i krwawy. Zdjęty grozą Kirrick mógł jedynie bezsilnie patrzeć, jak sroki rozszarpują jego najdroższą na strzępy.

Teraz, dwa tygodnie po tragicznym wydarzeniu, smutek po śmierci Celine przygasł, gdyż rudziki są z natury pełnymi optymizmu i pogody ducha ptakami. Co nie znaczy, że Kirrick kiedykolwiek wymaże tę tragedię z pamięci. Tym bardziej że - o ile zdążył się zorientować - pozostał jedynym żywym rudzikiem w Birddom. W każdym razie przez te miesiące nieustannej ucieczki przed oprawcami nie spotkał żadnego innego rudzika z wyjątkiem Celine. Eksterminacja jego gatunku była całkowita. Podobnie jak innych, niegdyś wszechobecnych i lubianych ptaków: wróbli, kosów czy drozdów, żyjących już tylko we wspomnieniach.

Na całym obszarze dominowały teraz sroki.

Ich liczba wzrastała w zastraszającym tempie. Wyparły gołębie z miast i szpaki z ogrodów. Niekończąca się podaż martwych zwierząt na obrzeżach szos - obfitość, którą padlinożercy zawdzięczali obojętności Człowieka wobec Natury - znacznie się przyczyniła do prawdziwej eksplozji populacji srok. A na dodatek od pewnego czasu ich poczynaniami kierowała jakaś złowroga siła - inteligencja przepojona okrucieństwem i nikczemnością - co sprawiło, że sroki zawojowały niemal całe Birddom i unicestwiły większość ptasich gatunków.

Tak więc, siedząc w swojej kryjówce, Kirrick miał przekonanie, że został już jedynym rudzikiem na świecie. A samotność - choć bolesna i straszna - dawała czas na rozmyślania. Kiedy u boku miał jeszcze Celine, dominował w nim instynkt przetrwania - zachowania gatunku - który blokował wszystkie inne reakcje. Natomiast od dnia śmierci ukochanej, Kirrick był nieustannie pogrążony w rozmyślaniach, nawet w czasie gorączkowej ucieczki przed prześladowcami. I w pewnym momencie doszedł do wniosku, że ocalał nie bez powodu. Pozostał przy życiu tylko dlatego, że miał do wypełnienia jakąś ważną misję, a przez pamięć o Celine musiał jak najszybciej odkryć jej cel i sens.

Gdy Kirrick snuł owe rozważania, Skulk i Skeet - dwa wielkie i groźnie wyglądające samce sroki - skakały po polu pokrytym świeżymi kielkami zbóż, baczным wzrokiem lustrując pobliski las, wypatrując najmniejszych oznak ruchu jakiegokolwiek żywej istoty. Ten pościg powoli przyprawiał ich o desperację. Trop dawno ostygł, ale strach przed karą kazał kontynuować poszukiwania w straceńczej nadziei, że jeszcze jakimś cudem uda im się dopaść rudzika. Bo obaj dobrze wiedzieli, jaką cenę płaci się za porażkę. Na własne oczy oglądali łamanie skrzydeł i wydziobywanie ślepi. Na samą myśl, że mieliby wrócić bez świeżej krwi na dziobach, ogarniało ich przerażenie. I tylko dlatego do tej pory nie zaprzestali mozolnych poszukiwań. Wyteżali wzrok. Czujnie rozglądali się na wszystkie strony.

Tymczasem nerwy Kirricka były napięte jak postronki. Od wielu godzin siedział w bezruchu - nic nie jadł i nie pił od ponad doby i wydawało mu się, że za moment zemdleje. Nogi mu okropnie ścierpły, podobnie jak skrzydła, w których odzywał się już tak nieznosny ból, że lada chwila Kirrick nie zdoła się opanować - będzie musiał nimi zatrzepotać, by pobudzić krążenie krwi. Rudzik nie miał wątpliwości, że zbliża się koniec. Gdy tylko drgnie, prześladowcy go dostrzegą, a przy tak zdrętwiałych mięśniach nie uda mu się poruszać z dostateczną szybkością, by umknąć przed wrogiem. I podzieli los Celine.

Nagle powietrze przeszył dojmujący skowyt. Dochodził z pola leżącego po prawej stronie. Jakaś nieszczęsna króliczka złapała się we wnyki i choć przeraźliwe jęki przypieczętowały jej tragiczny los, jednocześnie uratowały Kirrickowi życie. Bo w tym samym momencie w stronę wijącej się w agonii, przerażonej królicy z trzepotem skrzydeł pofrunęły obie sroki, by rzucić się na łatwą zdobycz. Co ważniejsze, dzięki ofierze ludzkich pułapek, mogły teraz wrócić do konfraterni ze świeżą krwią na dziobach i pławić się w glorii chwały.

A że jeden rudzik wymknie się pogoni? To i co z tego. Dla zachowania gatunku potrzeba przecież pary, tak wymyśliła Natura. Poza tym, ten mały pokurcz zapewne padnie wkrótce łupem innego mięsożercy. A tak w ogóle, cóż mógłby zdziałać zaledwie jeden mały ptak?

Kirrick skierował się na północ. Przez kilka następnych dni podróżował powoli, zachowując wielką ostrożność, podczas gdy krajobraz poniżej stawał się coraz bardziej surowy i pełen groźnych, wręcz niesamowitych w rysunku form. Miejsce liściastych, przytulnych zagajników zajęły strome, wyżynne pastwiska, przetykane gdzieś tam ostrymi występami skalnymi. Rudzik nie dostrzegł żadnych śladów pogoni, wiedział jednak, że niedługo przyjdzie mu się cieszyć chwilami wytchnienia. Niegodziwość srok nie zna granic, a okrucieństwo i bezwzględność każą im ścigać ofiarę aż do skutku.

Na razie jednak Kirrick frunął samotnie - przemykał się ukradkiem, pilnie unikając kontaktu z jakimikolwiek żywymi istotami, które mogłyby poinformować wrogów o trasie jego podróży. Kiedy zdecydował się ruszyć na północ, nie miał w głowie żadnego konkretnego planu. Po prostu tak podpowiadała mu intuicja. W drodze nieustannie oddawał się rozmyślaniam. Potrzebował pomocy. Chciał znaleźć wyjście z beznadziejnego położenia i poznać odpowiedzi na nurtujące go pytania. Gdzie jednak miał ich szukać?

Gdyby Kirrick mógł ujrzeć przyszłość, popadłby w jeszcze większe przygnębienie. Obecna podróż - męcząca i najeżona niebezpieczeństwami - miała być bowiem jedynie preludium do dalszych peregrynacji wzdłuż i wszerz całego Birddom. Przytłaczające przedsięwzięcie dla tak małego ptaszka. Ale podstawowe dla przetrwania wszystkiego, co dobre w tej krainie.

Po kilku godzinach lotu Kirrick poczuł, że musi się odświeżyć i odpocząć. Zauważył wartki strumień, migoczący zachęcająco w

słońcu, mimo to poleciał trochę dalej, by znaleźć bezpieczne miejsce lądowania. Czuł się przeraźliwie samotny, niemniej czujnie rozglądał się na boki, by upewnić się, że w pobliżu nie ma żadnych innych zwierząt. W końcu przysiadł na niewielkim krzewie głogu rosnącym tuż przy potoku. Zwinął skrzydła i przez chwilę cieszył się spokojem, jednak szybko pragnienie dało o sobie znać i Kirrick sfrunął nad wodę. Zanurzył jaskrawy dziób w krystalicznym, szemrzącym strumieniu, a potem odchylił łeppek, żeby krople mogły swobodnie spłynąć do gardła.

Sprawiało mu to taką przyjemność, że zaczerpnął jeszcze kilka łyków, a potem zabrał się do kąpieli z entuzjazmem i radością typową dla swojego gatunku. Rozpryskiwał wodę czubkami lotek, a następnie przyglądał się opadającym kroplom, iskrzącym się w promieniach słońca niczym brylanty.

- Ty naprawdę się tym rozkoszujesz!

Kirrick skamieniał z przerażenia. Miał zbyt mokre pióra, żeby zerwać się do naglej ucieczki.

- Zauważyłam, że rozkoszujesz się kąpielą.

Rudzik ujrzał przed sobą dużego ptaka z długim, ostrym, kruczo-czarnym dziobem, szarym puchem na piersi i imponującymi, kasztanowymi piórami na policzkach. Była to perkozica, której Kirrick nie zauważył wcześniej, bo nurkowała w poszukiwaniu smakowitych kąsków.

- Frunąłem bez przerwy przez wiele godzin.

Kirrick sam nie wiedział, kiedy wyrwały mu się te słowa. Przecież zamierzał się kryć i nie nawiązywać z nikim kontaktu. Był jednak bardzo spragniony jakiegokolwiek towarzystwa - choćby pozorów normalności - i zapewne dlatego podjął rozmowę.

- Mam na imię Anisse - powiedziała perkozica. - A co ciebie sprowadza w te strony?

- Jestem Kirrick i przyleciałem z dalekiego południa. Podróżuję od dnia nowiu księżyca.

Anisse przez chwilę dumiała nad jego słowami, po czym zapytała:

- A jaki jest cel twojej podróży?

- Nie wiem - odparł szczerze rudzik. - Prawdę mówiąc, frunę z myślą o tym, żeby się oddalić od pewnego miejsca, a nie by dotrzeć do określonego celu - jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

- Czy znalazłeś się w tarapatach?

Kirrick odskoczył od wody i rozpostarł skrzydła, by wysuszyć pióra. Czuł się bezpiecznie w towarzystwie Anisse, mimo że była bardzo dużym ptakiem. Nie należała jednak do prześladowców ani drapieżników. Rudzik natomiast czuł potrzebę, by wreszcie komuś opowiedzieć swoją historię, zrzucić ciężar z serca. Czy jednak mógł całkowicie zaufać perkozicy? Ostrożność, która w ostatnich miesiącach stała się jego drugą naturą, wzięła w końcu górę.

- Znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie, Anisse, którego nie chciałbym ściągać i na ciebie. Lepiej więc, żebym nie wtajemniczał cię w swoje kłopoty. Bardzo ci dziękuję za przyjazne zainteresowanie, ale już muszę ruszać w dalszą drogę.

Anisse spojrzała na niego smutno, po czym zadała jeszcze jedno pytanie:

- A czego ty właściwie szukasz, Kirricku?

- Mądrości - opowiedział bez zastanowienia rudzik.

- W takim razie, być może znam kogoś, kto ci zdoła pomóc - powiedziała po krótkim namyśle. - W Tanglewood, wiekowym borze położonym niedaleko stąd, mieszka pewien stary puszczyk. Jest uważany za mędrca, nawet pośród sów, niewykluczone więc, że udzieli ci odpowiedzi, których poszukujesz. Leć na zachód, w stronę słońca chylącego się ku horyzontowi. Ów puszczyk nazywa się Tomar i mieszka w pochyłej jodle. Powiedz, że ja cię przysłałam. Jestem pewna, że zostaniesz przyjęty życzliwie. Tomar ci pomoże, jeśli dostrzeże - tak jak ja dostrzegłam - że masz dobre i czyste serce.

- Dziękuję, Anisse, i do widzenia - wykrzyknął Kirrick, podrywając się do lotu. Wreszcie znalazł cel swojej podróży.

W opuszczonym, na wpół zrujnowanym magazynie w środku miasta, Skeet i Skulk opowiadali o swoich przygodach towarzysom z konfraterni. Siedziało tu ponad trzydzieści srok, z rozdziawionymi dziobami słuchających relacji na temat makabrycznego końca kolejnego, pośledniego gatunku ptaków.

Skeet i Skulk chętni się i rozkoszowali podziwem kamratów. Ze szczegółami relacjonowali swoją pogoń za rudzikiem. Podkreślali własną przebiegłość, cierpliwość i czujność w podchodzeniu ofiary. W końcu opowiedzieli, jak Kirrick zdradził miejsce swej kryjówki pośród jeżynowych chaszczycy rosnących w zagajniku, do którego został zapędzony.

Skeet mówił, że się zaczął blisko miejsca, w którym schronił się rudzik, natomiast Skulk pofrunął dalej, by odciąć małemu ptakowi odwrót. On sam zaś, goniąc zbiega przez chaszczycy, osłabiał jego ducha prześmiewczymi drwinami. Skulk natomiast uraczył zachwyconych słuchaczy opisem ostatnich chwil życia rudzika - osaczony przez sroki, Kirrick płaszczył się i błagał o litość, sroki jednak bezwzględnie i z wyszukaniem okrucieństwem pozbawiły go życia.

- To naprawdę frapująca opowieść.

W tej samej chwili wszystkie oczy zwróciły się w stronę ptaka usadowionego wysoko po lewej stronie na przerdzewiałej rurce.

Pozornie Traska niczym się nie wyróżniał spośród zgromadzonych. Jak u wszystkich srok jego oczy, dziób i grzbiet były kruczoczarne, ostro kontrastujące z bielą brzucha oraz okrywą tuż nad skrzydłami. Być może jego lotki połyskiwały bardziej granatowo niż u jego pobratymców, jednak dawało się to dojrzeć tylko w pełnym locie. Tymczasem teraz zwinięte skrzydła spoczywały wzdłuż grzbietu,

lekką krzyżując się nad kuprem i długim, czarnym ogonem.

Ale myliłby się każdy, kto wziąłby Traskę za zwykłego samca sroki. Był to bowiem ptak budzący największy postrach w okolicy, a jednocześnie największą nienawiść - bezwzględny, sadystyczny przywódca, który objął władzę nad swoją konfraternią zaledwie sześć miesięcy temu. Przybył samotnie, niezapowiedziany, bez krewnych czy znajomych. Takie ptaki są zazwyczaj bezpardonowo atakowane i przeganiane, Traska jednak dokonał przemyślanego wyboru - był niezwykle inteligentną sroką i nie zjawił się tu przypadkiem. Wcześniej spenetrował środowisko i zorientował się, że zdoła łatwo przejść tę właśnie konfraternię. Jej dotychczasowy przywódca - stary i zniedołężniały - nie miał szans w starciu z ptakiem o inteligencji i przebiegłości Traski. A Traska - w typowy dla siebie sposób - dokonał przewrotu podstępnie i po cichu. Zaprosił wiekowego przywódcę do swojego gniazda, po czym zamordował go we śnie. W podobny sposób rozprawił się z dwoma majordomusami konfraterni. Ich jedyną przewiną okazała się lojalność wobec dawnego przywódcy. Były to duże, bojowe sroki, więc ich utrata stanowiła niewątpliwie uszczerbek dla siły stada, ale Traska od początku postanowił, że jego władza będzie absolutna i niepodlegająca dyskusji.

Od tamtej pamiętnej nocy Traska przemocą i strachem kształtował podwładnych na obraz i podobieństwo swoje. Każde nieposłuszeństwo było karane wymyślnymi torturami, często zakończonymi śmiercią. Nic więc dziwnego, że Traska szybko osiągnął swój cel. Jego konfraternia wkrótce okryła się straszną sławą pośród krukowatych. Gawrony, wrony, kawki, sójki i kruki - wszystkie o niej słyszały i się jej lękały. Złowieszczą legenda samego przywódcy też robiła swoje.

On zaś teraz spoglądał gniewnie na dwa nieszczęsne samce.

- Frapująca... Pozwolę sobie jednak zaryzykować stwierdzenie,

że nie do końca prawdziwa - podjął Traska cichym i z pozoru łagodnym głosem, w którym jednak pobrzmiwała złowieszcza nuta.

Nastrój wśród srok natychmiast uległ zmianie. W radosną ekscytację wdarła się groźna dzikość. Skeet i Skulk nieznacznie skulili się w sobie, podczas gdy Traska ciągnął dalej:

- Poprawcie mnie, jeżeli się mylę. - Nikt nie odważył się odezwać. - Ale sam przeżyłem kilka bliskich spotkań z różnymi ptakami.

W tym momencie rozległ się gremialny chrapliwy śmiech. Powszechnie było wiadomo, że Traska zamordował przynajmniej jednego ptaka z każdego gatunku - naturalnie mniejszego od sroki.

- I wiem z doświadczenia, że w chwili ostatecznego zagrożenia rudziki zawsze wzbijają się jak najwyżej i umykają ku otwartej przestrzeni, by mieć swobodę manewru w czasie walki. Nie mogłyby bowiem wykorzystać przyrodzonej im szybkości i zręczności w potyczce na ziemi.

- Ten rudzik jednak nie szykował się do bitwy, ale próbował się skryć - buntowniczo zaripostował Skulk.

- Fakt. Tak przynajmniej wynika z waszej opowieści. Niemniej wszyscy znamy legendarną odwagę rudzików. Przecież jeden z nich rzucił się nawet na orła, gdy ten wielki drapieżnik zagroził jego terytorium. A ów Kirrick - już ostatni ze swojego gatunku - musi być doprawdy bardzo dzielny i przemyślny, jeśli udało mu się przetrwać tak długo. I wy chcecie nam wmówić, że podobny ptak płaszczył się przed wami i błagał o zmiłowanie?

Te słowa zostały wypowiedziane z taką pogardą, a wzrok Traski był tak mrozący, że Skeeta i Skulka przeszedł lodowaty dreszcz aż po czubek ogonów i ogarnęło ich paraliżujące przerażenie. Tymczasem pozostałe sroki z konfraterni zaczęły formować gniewny krąg wokół nieszczęsnych kamratów.

- Czekajcie! - zarządził Traska, po czym znów się odezwał sarkastycznie słodkim głosem: - Może teraz wysłuchamy innej, ciekawszej historii...

I w tym momencie Skulk i Skeet wiedzieli już, że są martwi.

Kirrick bez problemu odnalazł Tanglewood, poczuł jednak lęk na widok wielkiego boru, jego gęstwiny i wszechogarniającego mroku - niezmiennego bez względu na położenie słońca i pogodę. Ale kiedy ruszył w głąb lasu, szybko natknął się na pochyłą jodłę. Zabałagani one gniazdo w dużej dziupli i porzrzucone kości niewielkich gryzoni u stóp drzewa świadczyły, że jodła jest zamieszкана. Nigdzie jednak Kirrick nie dostrzegł śladów samego puszczyka.

Nie wiedział więc, co powinien teraz uczynić. Był pewien, że żadna pogoń nie dotarła za nim do boru, niemniej czuł się nieswojo w tym złowieszczym z wyglądu lesie. Zdawało mu się, że jest tutaj bardzo mały, bezbronny i samotny. Ogarnęło go nagle takie przygnębienie, że załkał, chociaż sam nie wiedział dlaczego. W końcu jednak zmogło go zmęczenie i Kirrick zapadł w niespokojny sen.

Obudził go nieznaczny dźwięk - niemal niedosłyszalny trzepot skrzydeł i szurgot pazurów na korze pobliskiej gałęzi. Kiedy Kirrick rozwarł powieki, ujrzał wbijającą się w niego parę wielkich, nieruchomych oczu. Chwilę później duży puszczyk odchrząknął i powiedział:

- Dziwię ci się, młody przyjacielu. Drzemka w tak nieostłoniętym miejscu, w nieznanym i niebezpiecznym terenie, świadczy o braku roztropności.

Głos Tomara był niski i głęboki, ale ton całkiem przyjazny. Kirrick zebrał się więc na odwagę i odrzekł:

- W takim razie jestem ci bardzo wdzięczny, że nie wykorzystałeś mojej głupoty. Wybacz też, że wtargnąłem na twój obszar

nieproszony i niezapowiedziany. Nazywam się Kirrick i przebyłem długą drogę, żeby się z tobą zobaczyć.

- Doprawdy? Powiedz mi więc, Kirricku, co cię do mnie sprowadza?

- Chciałbym się dowiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w naszym świecie. Większość dorosłego życia upłynęła mi na ciągłej ucieczce przed prześladowcami. Wiem jednak, że nie zawsze tak było. Jak przez mgłę pamiętam jeszcze szczęśliwe czasy. Dlaczego sroki postępują wobec nas tak okrutnie?

Tomar w zamyśleniu spozjrzał na rudzika. Czyżby to był ptak, na którego od dawna czekał? Stary puszczyk nie miał wątpliwości, że pewnego dnia zjawi się ktoś szczególnie - młody, energiczny sojusznik, potrzebny w chwili ciężkiej próby. Kirrick wykazał się już niezmierną odwagą przez sam fakt, że przebył tak daleką drogę. Musiał być też przemyślny i bystry, bo przecież inaczej nie udałoby mu się przetrwać. Czy zdoła jednak sprostać wielkim wyzwaniom? Czy pomoże Tomarowi wprowadzić w życie plan, od którego tak wiele zależało?

Stary puszczyk zdawał sobie sprawę, jak trudnym przedsięwzięciem Kirrick będzie ewentualnie musiał stawić czoło, i jednocześnie jak niezmierną wagę miałyby jego misja dla całego Birddom. Nic dziwnego więc, że ogarnęły go wątpliwości. Czy można było wymagać tak wiele od takiej drobiny? Nie osądzaj ptaka po rozpiętości skrzydeł, ale czystości serca, napomniął się puszczyk w duchu. Należy pokładać wiarę w rudziku albo od razu ulec mocy ciemności - a z tym Tomar w żadnym razie nie zamierzał się godzić. Kirrick tymczasem czuł wyraźnie, że puszczyk poddaje go skrupulatnej ocenie - miał wrażenie, że te wielkie oczy potrafią zajrzeć w głąb jego duszy i dostrzec wszechogarniające pragnienie zażegnania zła.

W końcu Tomar przemówił:

- Pytasz, co się dzieje w naszym świecie? Czemu sroki zamordowały wszystkich bliskich twemu sercu? Pomówimy o tym, Kirricku,

i postaram się odpowiedzieć na twoje pytania. Choć bez wątpienia to, co ode mnie usłyszysz, wzbudzi w twym umyśle przynajmniej tuzin nowych pytań. Cóż, spróbuje zaspokoić tę ciekawość, chociaż z pewnością nie zdołam znaleźć odpowiedzi na wszystkie nurtujące cię kwestie. Ostatecznie jestem tylko samotnym puszczykiem, wróg zaś jest liczny i potężny.

Pierwsze promienie świtu odsłoniły odrażający widok we wnętrzu opuszczonego magazynu. Z belki stropu zwisały żałośnie dwa ptasie truchła odarte z pięknego, czarno-białego upierzenia. Zwłoki zostały wypatroszone, a w miejscu ślepi, w których jeszcze tak niedawno błyskała chełpliwość, ziały teraz pustką czarne dziury. Traska rzadko posuwał się do patroszenia swoich ofiar, tym razem jednak wydał takie zarządzenie. Chciał sprawdzić, jaka naprawdę jest zawartość żołądków nieszczęsnych srok. Na wpół strawione mięso królicze zdradziło tajemnicę Skeeta i Skulka.

A więc rudzik nadal pozostawał przy życiu. To niedopuszczalne! Traskę ogarnęła niepohamowana wściekłość. By rozładować frustrację i przypomnieć o swoim niekwestionowanym przywództwie, zmasakrował jeszcze kilku innych członków konfraterni. Potem odpoczął przez chwilę i zaczął chłodno myśleć. Zrozumiał, że będzie potrzebować pomocy, by odnaleźć rudzika. Ale wiedział też, że gdy poprosi o pomoc inne stada, przyzna się tym samym do własnej porażki, co z pewnością nie umknie uwagi najpotężniejszego wodza srok - Slyekina. I na samą o tym myśl strach ścisnął mu trzewia i przejął lodowatym dreszczem.

- Kirrick mi za to zapłaci! - zaskrzeczał. - Kirrick musi zginąć!

2.

Tomar wydał się Kirrickowi ptakiem wielkim i mocno posuniętym w latach. O podeszłym wieku świadczyło przede wszystkim pewne zniedołężnienie. Sowy słyną z bezszelestnego lotu i w czasach młodości Tomara Kirrick z pewnością nie usłyszałby go. Tylko bowiem bezszelestne poruszanie gwarantowało sowom schwywanie smakowitego gryzonia na kolację. I rzeczywiście, gdy Kirrick przyjrzał się uważniej puszczykowi, zauważył, że jest on chudy i niedożywiony. Tego wieczoru polowanie także zakończyło się fiaskiem. Teraz tylko doświadczenie i niezwykła inteligencja ratowały Tomara od głodowej śmierci. Za każdym razem łowy trwały dłużej, a łup był coraz skromniejszy. Tego już nic nie mogło zmienić. W najważniejszej jednak dla całego Birddom kwestii, liczyła się przenikliwość jego umysłu, a nie siła ciała. A mądrości Tomarowi z pewnością nie brakowało. Tak więc puszczyk i Kirrick zasiedli do rozmowy.

- Nadeszły ciężkie i straszne czasy, Kirricku. Zagrożone jest istnienie całego Birddom, a przecucie mi mówi, że masz w przyszłości odegrać ważną rolę. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć wszystkiego o ptaku, który tak arogancko przysiadł u progu mojego gniazda.

W oczach Tomara błyskało rozbawienie i Kirrick od razu zrozumiał, że puszczyk sobie żartuje. Ale jego ciekawość była

autentyczna. Rudzik wiedział, że musi zdobyć zaufanie tego wiekowego ptaka, zanim usłyszy odpowiedzi na nurtujące go pytania.

- Chcesz usłyszeć historię mojego życia? Ale to zajmie wiele czasu.

- Sowy słyną z cierpliwości.

- W takim razie wszystko ci opowiem, choć nie jestem pewien, czy cię to zacieka. Wyklutem się pięć wiosen temu, w czerwcu. Byłem jednym z trzech piskląt w drugim lęgu, ale moi bracia padli po zaledwie kilku tygodniach. Moja matka miała na imię Elanor i była wyjątkowo piękna. Mój ojciec, Halen, kochał ją i nas - swoje dzieci - bardzo gorąco, a przy tym chętnie okazywał uczucia. Jako podrostek czułem się szczęśliwy, i wiele się nauczyłem od rodziców, a owa nauka niezwykle mi pomogła, gdy nadeszły dni opresji. We wczesnej młodości byłem taki sam jak większość młokosowatych rudzików. Igraliśmy, urządzaliśmy harce i pozorowane potyczki, szykując się do przyszłej obrony własnego terytorium. Lataliśmy tam i sam radośnie i swobodnie, a nasza ciekawość była niezaspokojona. Często wybierałem się na samotne wyprawy i zapuszczałem nawet w poblizze ludzkich siedzib, chociaż od pisklęcia wpajano mi, że Człowiek to istota, przed którą zawsze powinienem mieć się na baczności. Nigdy jednak nie spotkało mnie nic złego ze strony ludzi - wręcz przeciwnie, moje towarzystwo zdawało się sprawiać im przyjemność. I to właśnie w jednym z ich ogrodów spotkałem swoją ukochaną, Celine.

Była bystrą, pełną radości życia samiczką i od razu pokochałem ją za śmiałość i rezolucję. Często wykazywała się większą odwagą ode mnie i nawet brała jedzenie wprost z ręki młodych ludzi. Przez jakiś czas żyliśmy bardzo szczęśliwie. Potem jednak zaczęły się masowe mordy, a my dowiedzieliśmy się, co to strach. Przed inwazją srok w naszym sąsiedztwie mieszkało co najmniej pięćdziesiąt rudzików - poza członkami mojej rodziny, oczywiście. Kiedy wreszcie

z Celine musieliśmy opuścić ojczyste strony, nie spotkaliśmy już ani jednego ptaka swojego gatunku.

W oczach Tomara pojawił się smutek. Chociaż słyszał już kilka podobnych historii i sam wiele widział w życiu, tragedia rudzika szczerze go wzruszyła.

- Moi rodzice byli jednymi z ostatnich, którzy zginęli - ciągnął tymczasem Kirrick. - Ich odwaga i zaradność chroniły nas przez wiele miesięcy, podczas gdy wokół dokonywała się zagłada. Ale w końcu i oni zostali osaczeni, a następnie zamordowani przez bojówkę srok. Walczyli dzielnie, jednak nie mieli szans w starciu z tak licznyim wrogiem. Ja i Celine rozdzieliliśmy się z moimi rodzicami na krótko przed atakiem. Byliśmy wciąż niedaleko od miejsca walki, gdy dobiegła nas straszna wrzawa. Oboje natychmiast zrozumieliśmy, co się stało, i wiedzieliśmy, że nie jesteśmy w stanie pomóc rodzicom. To był najczarniejszy dzień w moim życiu. Lecieliśmy jednak dalej niestrudzenie, póki nie znaleźliśmy bezpiecznej kryjówki. Tam dopiero daliśmy upust smutkowi. Nie mieliśmy jednak zbyt wiele czasu na łzy, bo nadciągała pogoń.

- Kolejne sześć tygodni było najbardziej przerażające. Dni i noce zlały się w jeden, niekończący się koszmar. Odpoczywaliśmy niewiele, spaliśmy jeszcze mniej. Łudziliśmy się cały czas nadzieją, że polujące na nas sroki znudzą się i odwołają nagonkę. One jednak zdawały się niezamordowane, wiedzione jakimś wewnętrznym przymusem, by ścigać nas aż na koniec świata.

Kirrickowi mocno waliło serce, gdy na nowo przeżywał koszmar niedawnych dni. Otworzył dziób i zaczerpnął głęboko powietrza, by uspokoić nerwy. Po chwili był gotów podjąć opowieść.

- Głód i zmęczenie osłabiły nas oboje, ale najgorsze okazało się wyczerpanie psychiczne. W końcu stres okazał się zbyt wielki dla

Celine. Jej śmierć była jeszcze okropniejsza od śmierci moich rodziców. Patrzyłem na jej koniec z poczuciem strasznej bezsilności i do końca życia nie zdołałem wymazać tego makabrycznego obrazu z pamięci. Ogarnęło mnie też inne uczucie. Piekący wstyd. Wydawało mi się, że jestem ostatnim tchórzem, bo nie ocalałem Celine, chociaż - kiedy już zdradziła swoją kryjówkę - tak naprawdę nie mogłem jej uratować. Od czasu do czasu wciąż gnębi mnie przekonanie, że powinienem był zginąć u jej boku. A jednak gdzieś w głębi serca sądzę, że we wszystkim, co nas spotyka, ukryty jest jakiś sens. I dlatego tu jestem - by go odkryć.

- Opowiadaj dalej, przyjacielu - delikatnie ponaglił Kirricka Tomar, kiwając przy tym w zadumie głową. Jak dotąd słowa rudzika potwierdzały pierwsze wrażenie, jakie na puszczyku wywarł mały ptaszek.

- Nawet po śmierci Celine sroki ścigały mnie nieubłaganie. Jakby ogarnęła je niezaspokojona żądza mordy. Ostatecznie udało mi się umknąć czystym zrządzeniem losu - gdy moi prześladowcy znaleźli inną ofiarę. Potem leciałem przed siebie bez żadnego planu w głowie - nie miałem pojęcia, co powinienem robić poza ratowaniem własnego życia. I wówczas spotkałem Anisse, perkozicę, i to ona poddała mi myśl, żebym się z tobą zobaczył.

- Miałeś szczęście, że Anisse przyszła ci z pomocą - powiedział Tomar w zamyśleniu. - Chociaż być może „szczęście” nie jest tu najtrafniejszym słowem, Kirricku. Wierzę, że potężne siły, których mocy żaden z nas nie umiałby pojąć, decydują o naszym przeznaczeniu. Było ci więc pisane spotkanie z Anisse i to, że ona przyśle cię do mojego domu.

Kirrick skwapliwie potaknął skinieniem łepka.

- Jak ci już wspominałem, Tomarze, ja też mam przeświadczenie, że w tym wszystkim jest jakiś ukryty sens, którego jednak nie mogę pojąć.

Z początku Tomar nie zamierzał wyjawiać Kirrickowi całej prawdy, bał się bowiem, że odstraszy rudzika, którego pomocy tak bardzo potrzebował. Ale kiedy raz jeszcze spojrzął mu w oczy, ponownie ujrzał w tym małym stworzeniu wielką siłę i dzielność. Zrozumiał wtedy, że przeznaczeniem Kirricka jest podjęcie ważnej misji i w głębi ducha uwierzył, iż rudzik zdoła stawić czoło czekającym go wyzwaniom.

- Kirricku, chociaż czas nagli, musisz się sporo dowiedzieć. Zrozumieć w pełni wydarzenia, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Niedługo twoja odwaga zostanie wystawiona na ciężką próbę. Zmierzysz się z wielkimi niebezpieczeństwami i tylko pełna świadomość wagi misji, jaką chcę ci powierzyć, da ci siłę, by sprostać zadaniu. Moja opowieść będzie długa, ale zanim ją zacznę, musimy się udać w inne miejsce.

Powiedziawszy to, puszczyk zamachał swoimi wielkimi skrzydłami, a Kirrick ruszył za nim, wiedziony narastającą ciekawością. Chwilę później wzbili się ponad wierzchołki drzew i skierowali na północ. Wykorzystując termiczne prądy powietrzne, unosili się coraz wyżej. Kilkanaście minut później Kirrick dojrzał kępę drzew porastającą skalisty występ.

Tomar obniżył lot i wylądował na najwyższym z dębów porastających kręgiem niewielką, polanę pokrytą bujnym trawiastym kobiercem. Nawet w półmroku wieczoru Kirrick dojrzał mnóstwo leśnych kwiatów, tulących na noc miękkie płatki. To był doprawdy przepiękny zakątek. Ale najbardziej niesamowity zdawał się panujący tu całkowity spokój.

- Co to za miejsce, Tomarze? - spytał rudzik przyciszonym głosem.

- Czemu pytasz? Czyżby budziło w tobie jakieś szczególne uczucia? - Tomar z błyskiem w oku spojrzął na swojego małego towarzysza.

- Mam wrażenie, że to jakiś święty krąg. Wyczuwam niezwykłą aurę - kontemplacji, a jednocześnie wielkiej mocy.

- Jesteś doprawdy wyjątkowym ptakiem, Kirricku. Tutaj, przed wiekami, odbyło się pierwsze zebranie Wielkiej Rady Sów. Zdarzyło się to u zarania Birddom, gdy wszystkie gatunki żyły ze sobą wedle prastarego porządku Natury. W dzisiejszych, mrocznych czasach trudno uwierzyć, że kiedyś panowały tu harmonia i szczęście, a życie było wspaniałe. Potem jednak pojawiło się śmiertelne zagrożenie dla niewinności i piękna naszej krainy. Człowiek. To on pierwszy wniósł chaos i grozę do Birddom. I właśnie z powodu ludzi uformowała się Rada Sów. Człowiek stał się naszym głównym wrogiem, burzącym odwieczny porządek rzeczy. Zaczął niszczyć nasze siedliska i prześladować wszystkie żywe stworzenia. Strach przed człowiekiem zdławił wszelką radość w Birddom, i nikt już nie czuł się bezpieczny. Na szczęście znalazł się ptak, który potrafił wznieść się ponad jednostkowe interesy poszczególnych gatunków. Ptak ów zrozumiał, że musimy się zjednoczyć w obliczu wspólnego wroga, jeżeli mamy w ogóle przetrwać.

Była to, już dość leciwa, sowa płomykówka i to ona została pierwszą Wielką Sową. Nazywała się Praeda i powszechnie słynęła z wielkoduszności, hartu ducha i mądrości. W trakcie nieformalnej narady ze swoimi pobratymcami wyraziła własne niepokoje, po czym wysłała ich wszystkich jako emisariuszy z zadaniem wezwania po jednym ptaku z każdego gatunku na wielki zlot. Z początku jej propozycja spotkała się z ogólną niechęcią, bo większość ptaków interesowała się jedynie własnymi sprawami. Sowy jednak cieszyły się wielkim szacunkiem w Birddom i w końcu ich autorytet działał swoje. Każdy skrzydlaty mieszkaniec naszej krainy zrozumiał wreszcie, jak poważnym zagrożeniem stali się ludzie, i pojął, że można im się przeciwstawić, solidarnie współdziałając.

W oczach Tomara widać było dumę z przodków i nagle jakby ubyło mu lat.

- Ów niezwykle zlot odbył się w noc świętojańską i dla postronnych oczu musiał przedstawiać fascynujący spektakl. Ptaki wszelkiej maści oraz wielkości obsiadły drzewa kręgu i usadowiły się na polanie. Żaden gatunek nie zajmował uprzywilejowanego miejsca, nikt się nie boczył i nie obawiał sąsiada. Zięba siedziała na jednej gałęzi z jastrzębiem, krzyżodziób przy synogarlicy. Tracz z zadowoleniem wylegiwał się na trawie u boku zazwyczaj wojowniczej mewy srebrzystej. Z pewnością każdy był podniecony i pełen nadziei. W końcu wszystkie oczy skierowały się na Praedę, która zatrzepotała skrzydłami, po czym odchrząknęła i rozpoczęła przemowę.

Kirrick z napięciem chłonał słowa starego puszczyka. - I co powiedziała? Co takiego? - spytał niecierpliwie.

- Jej orędzie przeszło do historii, Kirricku. Sowy do dziś pamiętają je dokładnie, bo jego treść pieczołowicie przekazują sobie z pokolenia na pokolenie. A więc Praeda odezwała się w te słowa.

„Przyjaciele. Dziękuję, że zechcieliście tu dzisiaj przybyć. Zaznaliście w swoim życiu czasów szczęścia i dobrobytu, i zapewniam, że one jeszcze powrócą! Nie wolno nam jednak karmić się ułudą. Nieprzyjaciel jest bowiem straszny i groźny. Przyszłe pokolenia ocenią nas po tym, co uczynimy i postanowimy dzisiejszej nocy. Nie wolno nam ich zawieść! Człowiek, bez wątpienia, jest najpotężniejszym wrogiem, z jakim przyszło nam się do tej pory zmierzyć. Każdy obecny tu ptak mógłby z pewnością opowiedzieć o kimś bliskim, kto padł ofiarą drapieżnika. Drapieżniki jednak zabijają, żeby przeżyć i nasza strata była zawsze wpisana w odwieczne koło śmierci i przetrwania. Człowiek tymczasem uśmierca żywe istoty bez umiaru, dla samej przyjemności zabijania. Musimy więc na zimno ocenić sytuację. A jest ona następująca: Człowiek nigdy nie opuści Birddom i nie zmieni też swojej natury. Dlatego to my musimy się zmienić.

Musimy tak zreformować swoje życie, by zminimalizować zagrożenie ze strony ludzi. Bezpowrotnie bowiem minęły dni, gdy ta kraina należała tylko do nas. Czas więc stworzyć tajemny świat, niedostępny i niezrozumiały dla Człowieka. Dla niego musimy stać się niemal niewidzialnymi istotami - przemykającymi cieniami, budzącymi ciekawość, jednak zbyt nieuchwytnymi, by ludzie mogli dokonywać na nas swych niecznych czynów. By to osiągnąć, niezbędne jest wprowadzenie pewnego porządku i dyscypliny. Każdy ptak musi myśleć o bezpieczeństwie wszystkich skrzydlatych braci, a nie tylko swej rodziny czy swojego gatunku. Ktokolwiek spostrzeże najmniejsze zagrożenie, powinien natychmiast poinformować o nim inne ptaki. Tylko w ten sposób uda nam się przetrwać”.

Czyż nie była to wspaniała przemowa? I wszystkim obecnym dała wiele do myślenia, zapadła więc po niej długa cisza. W końcu przerwał ją mysikrólik, najmniejszy spośród zgromadzonych, i wiele ptaków musiało bardzo wysilać słuch, żeby dosłyszeć jego drżący, cieniutki głosik.

„Praedo, to co mówisz, jest bardzo roztropne. Wszyscy znamy ludzi i lękamy się ich, i nikt z nas nie jest przy nich bezpieczny. Musimy działać wspólnie, żeby przeżyć, ale przede wszystkim potrzeba nam mądrości. Każdy z ptaków w Birddom wie, że sowy słyną z wiedzy i inteligencji. Wasz gatunek jest głęboko szanowany i podziwiany. Dlatego w was nasza nadzieja - tylko wy możecie znaleźć sposób, by nas wszystkich ocalić”.

Ponoć po tych słowach ze wszystkich ptasich gardeł wyrwał się taki krzyk aprobaty, że aż zadrżała ziemia, a inne zwierzęta struchlały ze strachu w swoich norach i legowiskach, słysząc ten niespotykany rejwach.

W taki oto sposób została powołana do życia Wielka Rada Sów, a przez kolejne lata Praeda przewodziła jej mądrze i skutecznie. Pod

jej przywództwem Birddom stało się zjednoczoną krainą, a Rada opracowała reguły, dzięki którym wszystkie ptaki żyły we względnym bezpieczeństwie. Człowiek nie wyrzekł się zła i wciąż dużo ptaków ginęło z jego ręki. Ale nie były to już takie pogromy, jak onegdaj, i największy kryzys przeminął. Przez następne wieki kolejne pokolenia Wielkich Sów chroniły Birddom od katastrof - naturalnych bądź sprowokowanych przez Człowieka. Mądrość i zdrowy rozsądek tych wspaniałych ptaków pomogły nam przezwyciężyć powodzie, okresy głodu, zatrucie środowiska i bezpardonowe niszczenie naszych naturalnych siedlisk. Każda Wielka Sowa przyjmowała tę zaszczytną funkcję z wdzięcznością, ale i ogromnym poczuciem odpowiedzialności za zachowanie tradycji przekazywanej od czasów Praedy. To było jej dziedzictwo i ponoć w czasie zebrania Rady każdy z jej członków czuł przy sobie obecność pierwszej Wielkiej Sowy. Dzisiejsza Wielka Sowa, Cerival, wywodzi się bezpośrednio z linii jej potomków.

Tomar zamilkł na dłuższy czas, pogrążony we wspomnieniach, które zdawały się sprawiać mu wiele bólu. Kirrick wyczuwał, że to, co za chwilę usłyszy, będzie przepojone smutkiem. Ale na razie rozkoszował się ciszą i pachnącym, ożywczym powietrzem wieczoru. W końcu jednak tak dużo pytań zaczęło mu się cisnąć do gardła, że odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę Tomara, po czym powiedział:

- Praeda musiała być doprawdy wspaniałym ptakiem, skoro zdołała zjednoczyć Birddom i wyprowadzić nasz kraj na bezpieczne wody. Ale z pewnością i obecna Wielka Sowa oraz cała Rada mogłyby coś zrobić, żeby wreszcie powstrzymać szalejący terror. Sroki mordują mój gatunek!

Stary puszczyk spojrział na Kirricka ze smutkiem i zatroskaniem.

- Sroki mordują ptaki wszystkich gatunków - zauważył Tomar

poważnym głosem, a następnie opowiedział Kirrickowi o zagładzie, która zbiera swe żniwo jak kraj długi i szeroki. Opowiedział o unicestwieniu skowronka i słowika. Powtórzył zasłyszane wieści o systematycznych i zaplanowanych pogromach.

- Powiedz mi, kto za tym wszystkim stoi? - poprosił rudzik.

I wówczas po raz pierwszy usłyszał o Slyekinie. Kiedy Tomar zaczął o nim mówić, w jego ton wdarła się gorycz i jeszcze inna, o wiele twardsza nuta. Slyekin na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym specjalnym spośród swoich pobratymców. Należał do wręcz niedużych srok i od wczesnej młodości utykał na jedną nogę. Był za to obdarzony wyjątkową inteligencją, przebiegłością, a - przede wszystkim - nikczemnością. Już jako pisklę wykazał się okrucieństwem i podstępnością: zaledwie kilka godzin po wykluciu wymordował całe swoje rodzeństwo. Porzucony przez przerażonych jego podłością rodziców, żywił się martwymi ciałami swych sióstr i braci, aby utrzymać się przy życiu. Potem, jako młody ptak, zemścił się na matce i ojcu - kazał zamordować ich w brutalny, przemyślny sposób, a potem przynieść ich głowy do swojego zbójckiego siedliska.

Sadyzm i okrucieństwo zapewniły mu sławę, ale to dzięki inteligencji zdołał szybko awansować w szeregach krukowatych i to pomimo fizycznej ułomności, która w innej sytuacji uczyniłaby z niego przedmiot kpin, a nawet skazała na odrzucenie przez pobratymców. Swoją władzę Slyekin szybko umocnił, odwołując się do brutalnej siły i krwiożerczej pasji. Otoczył się tępymi, ale potężnie zbudowanymi „przyjaciółmi”, którzy pomogli mu podporządkować sobie pozostałych. Niewiele srok, czy w ogóle jakichkolwiek ptaków, ma z gruntu czarne, przepojone złem serca. Łatwo jednak można nimi manipulować, szczególnie gdy im się obieca profity przekraczające ramy ich wyobraźni. Podczas gdy rosła potęga Slyekina, żadna sroka

nie podawała w wątpliwość jego rozkazów, ani nie zastanawiała się, jakie tak naprawdę zbierze zyski, gdy już wódz osiągnie swój cel. Dla niektórych świadomość dominacji nad innymi gatunkami, jakże mile łechcząca ich dumę, była już wystarczającą nagrodą za wierność. Inni z kolei tak bardzo się lękali krwawej zemsty, że nie mieli odwagi protestować przeciwko mordom. Nagle jakby każda sroka zatraciła zdolność samodzielnego myślenia i formułowania opinii. Ich charakterzy łamano, niczym niewolnikom, by służyły jedynie swemu panu i władcy, posłusznie wprowadzając w życie jego „wielki plan”. Żeby jednak osiągnąć swój wymarzony cel - unicestwienie wszystkich innych gatunków ptaków - Slyekin przede wszystkim potrzebował informacji, których nie mógłby znaleźć pośród krukowatych. I dlatego postanowił zaskarbić sobie przychylność Wielkiej Rady Sów - źródła wszelkiego dobra i porządku w Birddom.

Wkradł się w łaski obecnej Wielkiej Sowy - Cerivala. Zjawił się w roli pokornego ucznia, poszukiwacza prawdy i mądrości, a potem swoją gorliwością do nauki, płaszczeniem się i pochlebstwem zdołał omotać najmądrzejszego ptaka swego pokolenia. I tak najnikczemniejsza ze srok została akolitą Wielkiej Sowy. Slyekin udawał, że zamierza poświęcić życie na wypełnianie poleceń mistrza, a w zamian dowiadywał się wszystkiego o każdym ptasim gatunku zamieszkującym Birddom. Poznał ich zwyczaje, zawołania, pieśni - a przede wszystkim wszelkie słabe i mocne strony. Po pewnym czasie jego obecność u boku Cerivala stała się dla wszystkich tak oczywista, że nikt nawet nie próbował protestować, gdy Slyekin zaczął pojawiać się także na zebraniach Rady - a o to głównie mu chodziło.

Podczas posiedzeń zawsze pilnie słuchał i szybko się uczył. Aż w końcu, pięć lat temu, gdy dowiedział się już wszystkiego, na czym mu zależało, niespodziewanie przepadł jak kamień w wodę. Po roku

znów wypłynął - w swojej strasznej sławie - i ponownie przejął władzę nad krukowatymi, teraz jednak uzbrojony w dostateczną wiedzę, by swój podły plan wprowadzić w życie. Zaczęły się masowe rzezie ptaków, a sowy nigdy więcej nie zwołały Rady.

3.

Zapadła już ciemność, gdy Kirrick i Tomar skierowali się z powrotem w stronę Tanglewood. Ale Kirrick był zbyt podekscytowany, żeby odczuwać zmęczenie. Tak wiele jeszcze pragnął się dowiedzieć! Opowieści o Radzie Sów i dniach dawno minionych niesłychanie rozbudziły jego wyobraźnię. W latach wczesnej młodości nic praktycznie nie słyszał o historii Birddom i owych jakże ważnych wydarzeniach, zrozumiał jednak, że zdrada Slyekina znacznie zmniejszyła wpływy i potęgę sów. Jednakże w Tomarze wyczuwał siłę ducha i mądrość, które z pewnością stanowiły kwintesencję tego, co reprezentowała sobą Rada. Bardzo chciał lepiej poznać starego puszczyka, chociaż nie miał już najmniejszych wątpliwości, że może mu w pełni zaufać.

Kiedy usiedli na pochyłej jodle, Tomar ledwo zdążył zwinąć skrzydła, a już Kirrick zarzucił go gradem pytań. Co się stało z Radą? Co spotkało Wielką Sowę, Cerivala? Czy wciąż jest wśród żywych? I czy Tomar zostanie następną Wielką Sową? Tomar zaczął cierpliwie wyjaśniać, że członkowie Rady, w liczbie dwunastu, powrócili do swoich siedlisk, rozrzuconych po całym Birddom i nie spotkali się od dnia wykrycia zdrady. Gdy zaś chodzi o Cerivala, to - o ile Tomarowi było wiadomo - nadal żył i fizycznie miał się dobrze.

Jednak cała sytuacja bardzo go przygnębiła, a Birddom straciło wiele ze swojej potęgi, gdy ten wspaniały ptak przestał myśleć o potrzebach kraju.

- A jak wybierana jest Wielka Sowa? - zapytał Kirrick. - Przecież teraz, jak nigdy dotąd, Birddom potrzebuje silnego przywództwa.

- Zazwyczaj Wielka Sowa, gdy już zostanie wybrana, pełni tę funkcję do końca swoich dni. Niemniej członkowie Rady mogą obalić Wielką Sowę i wykluczyć ją z Rady. To jeden z najważniejszych sposobów sprawowania kontroli nad liderem, jednak by do tego doszło, zgodę musi wyrazić jedenastu pozostałych członków.

Tomar mówił o tym ze smutkiem w głosie, pamiętał bowiem dobrze gorzkie potyczki słowne z młodszymi członkami Rady, do jakich doszło po zdradzie Sleykina. Część z nich żądała usunięcia Cerivala. Uważali, że stracił autorytet. Tomar jednak argumentował, że pośpiech jest złym doradcą, a Wielkiej Sowy w żadnym razie nie należy uważać za wroga. Zaproponował, by wszystkie sowy udały się do swoich siedzib i przemyślały własne błędy, które pozwoliły Sleykinowi tak bardzo urosnąć w siłę. Tomar wskazywał, że każdy powinien się skoncentrować na tym, jak można unicestwić zło. I nie zapominać, że mądrość i jedność posłuży Radzie lepiej niż niesnaski i gniew. Przyznał przed Kirrickiem, że jednak wątpi, by któryś z członków Rady do tej pory znalazł rozwiązanie obecnych problemów Birddom.

- Czemu więc ich wybrano? I właściwie jak można zostać członkiem Rady?

Kirrick nie krył swojej fascynacji tematem, a w jego oczach błyskała taka gorliwość, że Tomar poczuł, jak robi mu się cieplej na sercu. Oto właśnie ptak, jakiego potrzebował.

- Od czasu do czasu Rada powołuje nowych członków. Zazwyczaj na miejsce sowy, która odeszła z tego świata. Ale - jak już

wspomniałem - sowy okryte niesławą mogą zostać wykluczone (co się także zdarzało) na tej samej zasadzie, na jakiej wyklucza się lidera: jednaście sów przeciwko jednej - takie jest niepodważalne prawo. Sowa kandydująca do Rady, musi najpierw być uznana za godną tego szczytu przez swoich pobratymców. Musi też mieć wolę zostania członkiem Rady, ponieważ ta rola wymaga wielu wyrzeczeń. Przede wszystkim taka sowa nigdy nie może połączyć się z nikim w parę. I od tej reguły nie ma odwołania. Tak ustalono przed wieloma wiekami. Uznano, że skoro Rada ma służyć całemu Birddom i podejmować decyzje wpływające na życie wszystkich ptaków - w tym sów - jej członkowie muszą unikać konfliktu interesów i kierować się obiektywnymi, pozbawionymi emocji sądami, co mogłoby być trudne, gdyby musiały brać pod uwagę dobro najbliższych.

Tak więc, mój młody przyjacielu, zapewne rozumiesz, że nigdy sowy nie garnęły się masowo do członkostwa w Radzie! Oczywiście żartuję. Nie ma większego honoru, niż zostać wybrańcem mającym służyć naszej krainie w roli jednego z przywódców. Lubię myśleć, że przez te wszystkie lata i ja, jako członek Rady, przyczyniłem się do dobrobytu Birddom. A moja służba trwa już bardzo długo, widziałem więc w tym gremium wielu nowych przedstawicieli. Ale Cerival, mój serdeczny przyjaciel, był w niej od zawsze, przewodząc nam z wielkim hartem ducha i mądrością. Jego obecne załamanie i desperacja, wywołane niewyobrażalną zdradą, smucą mnie niewypowiedzianie, i między innymi z tego powodu jestem zdecydowany, by pokrzyżować nikczemne plany Slyekina i przywrócić pokój - zarówno w naszym Birddom, jak i umyśle swojego przyjaciela.

By osiągnąć swój cel, Tomar musiał się zmierzyć z mrocznym geniuszem Slyekina. Stary puszczyk dobrze wiedział, że Slyekin był pilnym i bystrym uczniem i że dlatego nie należy lekceważyć tego

przeciwnika. Pokonanie go będzie bardzo trudne. Z racji wieku puszczykowi przypadła rola generała w wojnie ze srokami, a jego największym atutem była potęga umysłu. I właśnie dzięki swojej niezwykłej inteligencji Tomar zdołał opracować plan, mogący doprowadzić do położenia kresu dominacji krukowatych w Birddom. Jeżeli ów plan by się powiódł, byłby to bolesny i ostateczny cios zadany ambicjom Slyekina. A w Kirricku Tomar znalazł wreszcie ptaka dość młodego i odważnego, by mógł podjąć się ciężkiego zadania. Tomar potrzebował rudzika dla wprowadzenia swojego planu w życie. Potrzebował go jako posłańca. Herolda. Ambasadora. Kirrick będzie musiał wyruszyć na trzy długie wyprawy - o wiele niebezpieczniejsze niż cokolwiek, co do tej pory spotkało go w życiu.

Podczas gdy Tomar i Kirrick rozmawiali nocną porą o Slyekinie, on sam również dużo mówił. A dokładniej - wydierał się na całe gardło. Wezwał bowiem Traskę, swojego zastępcę, do własnego siedliska - mieszczącego się na mrocznym pustkowiu, bagnistym i spowitym zimnym oparem. Wezwanie przyniosło Trasce dwóch zbirów, wiernych giermków wodza - dwa potężne gawrony o beznamiętnym spojrzeniu i zabójczo ostrych dziobach. Wprost nie sposób było odrzucić takiego „zaproszenia”.

Z początku rozmowa ze Slyekinem toczyła się w uprzejmym tonie na tematy ogólne, co wprawiło Traskę w jeszcze większy niepokój, niż uczyniłyby to wrzaski. Ostatecznie Traska sam często odwoływał się do podobnego chwytu. Nagle jednak i bez żadnych wstępów Slyekin zapytał, jak wyglądają postępy konfraterni Traski w eliminacji przydzielonego im gatunku.

Nie było sensu kłamać. Traska wiedział doskonale, że Slyekin miał wszędzie mnóstwo szpiegów, więc z pewnością już wiedział o

fiasku obławy na Kirricka. Przedstawił więc sprawę rzeczowo, opowiadając o karygodnych zaniedbaniach swoich podwładnych, nie uchylając się jednak przy tym od własnej odpowiedzialności jako przywódcy. Slyekin zaczął się pieklić i Traska szykował się już na najgorsze. Niespodziewanie jednak ton rozmowy uległ zasadniczej zmianie i Slyekin wyjaśnił już spokojnym tonem, co należy w tej sprawie zrobić. Traska miał osobiście zająć się eliminacją Kirricka. Musiał przeobrazić się w łowcę. Jego konfraterni zostanie przydzielone inne zadanie, a podczas nieobecności Traski będzie nią zarządzać któryś z adiutantów.

Traska pojął w lot, że w ten sposób jego władza zostanie znacznie osłabiona, mimo to popadł w euforię. Po pierwsze dlatego, że otworzyła się przed nim szansa osobistej zemsty na Kirricku - o jakże słodko będzie własnym dziobem rozszarpać rudzika! Ale przede wszystkim dotarło do Traski, że jest dla Slyekina niezbędnym. Na tyle niezbędnym, że wódz zdławił w sobie chęć odwetu. Traska poczuł niesłychany przypływ mocy. Pohamowanie krwiożerczych instynktów stanowiło w oczach Traski oznakę słabości Slyekina i po raz pierwszy Traska zaczął wątpić w potęgę przywódcy. Z czasem owe wątpliwości miały się rozrosnąć w sposób nieproporcjonalny do rzeczywistości i przyczynić się do rojeń o innej przyszłości dla królestwa srok - i innym wodzu.

Na razie jednak marzenia zostały rozwiane przez bezceremonialną odprawę sprzed oblicza Slyekina oraz krótkie pożegnanie, wypowiedziane tonem cichym, acz przejmującym grozą:

- Tym razem postaraj się mnie nie zawieść!

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Kirrick obudził się z głębokiego snu, w czasie którego nic mu się nie śniło. Wcześniej długo rozważał założenia planu Tomara i ogarniało go zwątpienie, czy uda mu się wprowadzić je w życie. Jednak z godziny na godzinę

umacniała się w nim wola działania, i w końcu ruzdzik nie mógł się już doczekać, kiedy jego mądry towarzysz opowie mu więcej o Darrealu, pierwszym z kilku potężnych ptaków, którym Kirrick miał złożyć wizytę.

Ledwo więc stary puszczyk wychynął ze swojej dziupli, mrugając oczami w łagodnym świetle późnego popołudnia, Kirrick zaczął go bombardować pytaniami.

- Prr! Zwolnij trochę! Mój umysł wciąż drzemie! - mruknął Tomar.

Ale sam czuł podniecenie związane z nadchodzącą akcją - wkrótce długie miesiące planowania miały przynieść owoce. O ile Kirrick wypełni misję. Jego odwaga i siła zostaną wystawione na ciężką próbę - będzie musiał odbyć trzy wyczerpujące wyprawy i to praktycznie bez chwili odpoczynku, ponieważ czas naglił i nie można było sobie pozwolić na żadną zwłokę. Misja małego ruzdzika musiała się dopełnić do czasu Wielkiej Uczt. Mimo to Tomar był przekonany, że Kirrick nie zawiedzie. Zarówno puszczyk, jak i ruzdzik uwierzyli w powodzenie planu.

Wiele jednak zależało od przypadku i łutu szczęścia, a niebezpieczeństwa czyhały zarówno ze strony wroga, jak i fizycznych trudów przedsięwzięcia. Niemniej entuzjazm Kirricka i wiara w logikę przyjętej strategii napełniały nadzieją starego puszczyka. Tomar więc ochoczo opowiedział ruzdzikowi o Darrealu, a potem dwóch konspiratorów zabrało się do dopracowania szczegółów działania. Niekiedy uwagi Kirricka sprawiały, że puszczyk wprowadzał drobne modyfikacje do planu. I chociaż obaj zdawali sobie sprawę z potrzeby pośpiechu, wiedzieli także, iż powodzenie misji zależy od omówienia każdego kroku, który ruzdzik miał wkrótce postawić na niebezpiecznej ścieżce wiodącej ku lepszej przyszłości Birddom.

W końcu, gdy nastała głęboka noc, oba ptaki usiadły przytulone na wysokim konarze - doprawdy niezwykle przedstawiając sobą

widok - po czym zamilkły przed snem. Przygotowania dobiegły końca - kości zostały rzucone. Dobrobyt całej krainy zależał od czystości ich serc i trzeźwości umysłów. Kirrick miał ponieść nadzieje przyszłych pokoleń na swych maleńkich, wątlých skrzydłach. Czekala go największa przygoda życia.

Traska słynął ze swoich umiejętności łowcy - tak niezwykłych, że wzbudzały lęk wśród wszystkich jego pobratymców. Gdy opuszczał kryjówkę Slyekina, wiedział, że trop już wystygł, w duchu więc przeklinał nieudolność Skeeta i Skulka. Nie opuszczała go jednak ufność we własne zdolności. Był przekonany, że odnajdzie rudzika, a potem bezlitośnie go zgładzi. I właściwie cieszył się perspektywą samotnego pościgu., Jako przywódca musiał polegać na podwładnych. Jako myśliwy zależał tylko od siebie i swojej przebiegłości. A to mu zdecydowanie bardziej odpowiadało.

Bo też od kiedy Traska sięgał pamięcią - był zawsze zdany tylko na siebie. Matka opowiedziała mu, jak została banitką, gdy dopadła ją niespodziewanie choroba, która zdeformowała jej wygląd. Inne sroki natychmiast ją wyгнаły. Co gorsza, tuż przed infekcją związała się z pewnym samcem, a świadomość, że ukochany ją odrzucił z powodu choroby, złamała jej serce i pogrążyła w rozpacz. Podobnie jak okrucieństwo wszystkich tych, których uważała za serdecznych przyjaciół. Po kilku miesiącach wyznała swojemu maleńkiemu synkowi, że wcześniej - jako jedna ze stada - przyłączała się do ataków na inne gatunki ptaków bez żadnych wyrzutów sumienia. Kiedy jednak sama stała się obiektem prześladowań, zdała sobie sprawę, że nigdy nie powinna się być godzić na podobną niegodziwość. Samotna, wykluczona ze społeczności, nie miała możliwości odzyskania pozycji, nikt też nie był gotów przyjść jej z pomocą. Własna rodzina wyrzekła się jej równie gorliwie jak reszta pobratymców.

Musiała więc umykać z domowych pieleszy - jedynych, jakie znała od pisklęcia - przerażona i oszołomiona. Potem frunęła samotnie przez wiele kilometrów, gorączkowo poszukując miejsca, gdzie mogłaby złożyć jajo, jednocześnie gotując się z oburzenia na niesprawiedliwość, której doświadczyła. Kilkakrotnie na swej drodze spotkała inne sroki, wszystkie jednak traktowały ją równie bezlitośnie jak członkowie jej własnego stada. W końcu, wyczerpana, opadła na ziemię i ostatkiem sił zawlokła się w gęstwinę krzewów, gdzie złożyła jedno jedyne jajo na cienkiej podściółce z mchu, który zdołała zagarnąć dziobem, nie ruszając się z miejsca.

Była to zaledwie marna namiastka gniazda, ale zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zapewnić jaju odpowiednią temperaturę, choć ciepłota jej własnego ciała była znacznie obniżona na skutek zmęczenia i wycieńczenia chorobą. Nie mogła też wyruszyć na poszukiwanie żywności, bo wówczas musiałaby opuścić gniazdo i narazić jajo na wyziębienie. W normalnych warunkach samiec dostarczałby jej pożywienie, ona jednak nie miała nikogo u boku. Głodowała więc i czekała tylko, by z jaja wylęgło się jej długo oczekiwane pisklą.

Matka opowiedziała Trasce, że radość i ulga, które poczuła, gdy tylko się wykluł, szybko ustąpiły miejsca przerażeniu - jak ona sobie poradzi z wykarmieniem maleństwa od pierwszych chwil szeroko rozwierającego dziób. Wiedziała, że musi zdobyć jedzenie dla synka, a jednocześnie zdawała sobie sprawę z czyhających na niego niebezpieczeństw - drapieżników, a przede wszystkim wychłodzenia - w czasie, gdy sama uda się na polowanie.

Udawało jej się znaleźć dość jedzenia dla pisklęcia, nigdy jednak nie miała czasu, by upolować coś dla siebie, bała się bowiem, że jeśli zostawi maleństwo zbyt długo samotne - ono nie przetrwa. Każda wyprawa po pokarm zużywała jej już i tak nadwątlone siły, zapewne więc zdawała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jest umierająca. Do

dalszego działania popychała ją tylko determinacja, by zachować swoje dziecko - swego Traskę - przy życiu. W końcu jednak nadszedł dzień, gdy uznała, że zrobiła wszystko, co mogła i powinna.

Była pewna, że teraz już Traska przetrwa. Położyła się więc u jego boku w gnieździe i, konając, opowiedziała o krzywdach zaznanych od członków swojego stada. Spoglądając wstecz na swoje życie, Traska pojął, że to właśnie w owej chwili w jego sercu zakiełkowały pierwsze ziarna nienawiści. Kiedy obudził się następnego ranka, matka leżała zimna i sztywna - nie żyła. Zmogła ją postępująca choroba, a przede wszystkim głód.

Jedyną satysfakcją w jej krótkim życiu musiała być świadomość, że synek nie zaraził się od niej groźną chorobą. Bo rzeczywiście, Traska był dorodnym i okazałym samcem. Ale niestety infekcja uszkodziła mózg i - wraz z ciężkimi przeżyciami z dzieciństwa - wpłynęła znacząco na jego charakter.

Od czasu śmierci matki wszystkie myśli i działania Traski były naznaczone złem. Traska świetnie zdawał sobie z tego sprawę i bardzo go to cieszyło. Okrucieństwo stało się jego drugą naturą, nic więc dziwnego, że już we wczesnej młodości zwąchał się ze Slyekinem. Zawsze wspominał ich dawne wspólne wyczyny z perwersyjną przyjemnością. Obaj lubowali się w nikczemności i inspirowali nawzajem do strasznych czynów, co jeszcze bardziej spaczyło ich dusze.

W oczach Traski Slyekin uosabiał wszystko to, do czego on jako młody samiec sroki aspirował. Slyekin miał władzę, do której Traska lgnął niczym ćma do płomienia. Młodzian pilnie obserwował, w jaki sposób wódz traktował podwładnych. Zachwycała go bezwzględność i krwiożerczość Slyekina, beznamietne odwoływanie się do przemocy dla wzmocnienia własnego autorytetu. Slyekin zapewne też się radował, gdy widział, jak pilnie uczeń go naśladuje, a często wręcz prześciga w okrucieństwie. Trafnie wybrał faworyta. Musiał już

dawno dostrzec w Trasce idealne narzędzie do wprowadzenia w życie planu wytrzebiecia wszystkich innych gatunków ptaków. Odkrył, że Traskę zachwyca perspektywa masowych mordów i przewodzenia licznym kohortom srok zmuszonym do uległości i wypełniania jego woli.

Traska z kolei w głębi serca wiedział, że Slyekin musiał niekiedy przeżywać chwile obawy, iż uczeń w pewnym momencie zbyt urosnie w potęgę i spróbuje obalić mistrza, by samemu zostać wodzem wszystkich krukowatych. Na szczęście niesłychana próżność Slyekina i niezachwiana wiara we własną niezniszczalność nie dały owym obawom dojść na dobre do głosu. Poza tym obaj świetnie się razem bawili.

Po wielu miesiącach u boku Slyekina młody Traska opuścił w końcu siedlisko wodza i udał się w rodzinne strony. Tam zemścił się krwawo na ptakach, które wygnały jego matkę. Za swoją bezduszną zapłaciły srogo, gdy Traska wrywał im z piersi jeszcze wciąż pulsujące serca, a potem kąpał się w ich krwi. Do dziś na to wspomnienie podły ptak dyszał z radosnego podniecenia. Żadna sroka (naturalnie prócz Traski), nie przeżyła, by opowiedzieć o owym bestialskim mordzie, sam Traska zaś nie czuł z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia, natomiast od razu rozpoczął poszukiwania odpowiedniej dla siebie konfraterni. Obecnie, gdy została mu ona odebrana, rozumiał, że nadszedł czas, by dokonać nowych, jeszcze wspanialszych czynów. Ale w pierwszej kolejności należało wypełnić powierzone mu przez Slyekina zadanie, bo konsekwencje porażki byłyby straszne.

Traska udał się w lesistą okolicę, gdzie ostatnio widziano Kirricka, po czym niespiesznie, metodycznie zaczął przeczesywać zagajnik, w którym Skulk i Skeet osaczyli rudzika. Wypatrywał guana i pojedynczych piór. Wiedział, że Kirrick musiał być przerażony pościgiem, a w sytuacjach zagrożenia i stresu wiele ptaków wrywało

sobie pióra. Rudzik jednak nie był pierwszym lepszym ptakiem, więc frustracja i gniew Traski znacznie wzrosły, gdy jego poszukiwania okazały się bezowocne.

Kiedy bardzo starannie przeszukał cały teren i nie natrafił na żaden trop, zrozumiał, że będzie potrzebował dużo szczęścia, by odnaleźć rudzika. Należało więc na chłodno rozważyć sytuację. Dokąd mógł się udać Kirrick? Był zupełnie osamotniony. Jego gatunek został najprawdopodobniej całkowicie wytrzebiony przez sroki - jak Birddom długie i szerokie od dawna nie widziano żadnego innego rudzika. Co on, Traska, zrobiłby na miejscu Kirricka? Gdzie by uciekał?

Kirrick i Celine zostali zapędzeni na terytorium Traski ze wschodu. Kirrick niewątpliwie wiedział, że południe jest praktycznie opalone przez sroki, dysponujące tam potężnymi siłami. Ostatecznie wszystkie ptaki, a w zasadzie ich niedobitki, miały świadomość, że właśnie na południu bije serce królestwa srok. A więc Kirrick poleciał na zachód lub na północ. Który jednak obrał kierunek? Po tym, jak Skulk i Skeet ułatwili sobie życie rzucając się na królika, rudzik miał czas na krótką chwilę wytchnienia. Ale z pewnością nie zdążył opracować sensownego planu ucieczki. Panika najprawdopodobniej pchnęła go ku stronom położonym jak najdalej od głównych siedlisk prześladowców. I z tym przekonaniem Traska wzbił się w powietrze, po czym skręcił ku północy.

4.

Teraz, gdy zbliżało się rozstanie, Kirrick ze smutkiem myślał o opuszczeniu starego puszczyka. W tym krótkim czasie bardzo polubił Tomara, a na dodatek w jego towarzystwie - po długim okresie ciągłego zagrożenia życia - odnalazł poczucie bezpieczeństwa. Poza tym Kirricka niepokoiło czekające go zadanie i - nie po raz pierwszy - zaczął wątpić, czy podoła pokładanym w nim nadziejom. Wiedział jednak, że gdy już wyruszy w drogę, podnieta przygody doda mu siłę, a okoliczności towarzyszące podróży nie pozwolą na pielęgnowanie negatywnych myśli. Rudzik będzie musiał przede wszystkim skupić się na przetrwaniu. Wyprawa do Darreala potrwa długo, powiedzie przez nieznanne obszary i z pewnością okaże się najeżona niebezpieczeństwami. Kirrick nie był też pewien, z jakim spotka się przyjściem, kiedy już dotrze do celu.

- Cóż, nigdy się tego nie dowiesz, jeśli nie wyruszysz w drogę - rzucił Tomar, po czym łagodniejszym tonem dodał: - Czas nagli, nie jestem pewien, czy tutaj nadal jesteś bezpieczny.

- Jakże żałuję, że nie lecisz razem ze mną! - odparł rudzik.

- Ja także żałuję - mruknął puszczyk.

- Nie martw się, Tomarze. Z pewnością cię nie zawiodę! - wykrzyknął śmiało Kirrick i natychmiast wzbił się w niebo. Zawisł

jeszcze na chwilę w powietrzu, jakby oddawał puszczykowi salut, a chwilę później pomknął przed siebie niczym strzała.

Tomar spoglądał za odfruwającym rudzikiem i po cichu błogosławił go na drogę, po czym wpełznął do swojej dziupli i zapadł w niespokojny sen.

Kirrick tymczasem skierował się na zachód ku odległym górcom, o których opowiadał mu Tomar - tam bowiem znajdował się cel jego pierwszej podróży. Gdy tylko opuścił Tanglewood, wybrał trasę przelotu. Postanowił ominąć skupiska ludzkie, leżące nieco na południu, bo ostrzeżenia Tomara i dawne legendy nie zachęcały do kontaktu z Człowiekiem. Poza tym Kirrick dobrze wiedział, że na obszarach miejskich dominowały sroki, chętnie żywiące się odpadkami wyrzucanymi przez ludzi, jak i zwłokami zwierząt, które ginęły pod kołami maszyn używanych przez Człowieka.

Zdecydował się na drogę, która miała go powieść ponad wyludnionym, skalistym terenem, niegościnnym i jałowym nawet w tej najpiękniejszej porze roku. Na przestrzeni wielu kilometrów trudno będzie o owady i robaki, no i odpadnie możliwość korzystania z pożywienia wykładanego dla ptaków w ludzkich ogrodach. Kirrick miał jednak pewność, że dzięki hojności Natury nie zginie z głodu. Najważniejsze, że trasa, którą miał lecieć, da mu największe szanse uniknięcia kontaktu z wrogiem. Po długich rozmowach z Tomarem Kirrick lękał się bowiem srok jeszcze bardziej niż przedtem. Teraz, gdy zrozumiał w pełni niegodziwość ich przywódców, pojął też, jak wiele zależy od powodzenia misji. Nie tylko jego własne życie, ale przyszłość całego Birddom zależała od wypełnienia zadania. Frunął więc równym tempem, zachowując ostrożność i pilnie wypatrując wszelkiego możliwego zagrożenia. Czekala go długa podróż, w której sprzymierzeńcem była rozważa, nie pośpiech. Ledwo jednak przebył kilka kilometrów, a już spotkała go niefortunna przygoda.

Przelatywał właśnie nad małym zagajnikiem, gdy dobiegł go ostry krzyk przerażenia. Zanim dotarło do niego, co się dzieje, nieomal zderzyła się z nim samiczka sikory modrej, w ślepej panice umykająca przed goniącą ją parą srok. Dwóch granatowoskrzydłych zabójców zaśmiewało się głośno i, goniąc za sikorą, niemiłosiernie z niej szydziło.

Kirrick spostrzegł, jak bardzo wyczerpany jest mały ptaszek i z gorzkiego doświadczenia wiedział, że jego koniec jest bliski. Miałby jeszcze cień szansy na przetrwanie, gdyby Kirrickowi udało się odciągnąć prześladowców. Rudzik zdawał sobie sprawę, że sroki go zauważyły, nie miał też już czasu, by poszukać kryjówki. Brawurowo więc rzucił się trawersem i przeciął powietrze tuż przed dziobami myśliwych. Jedna ze srok rzuciła się w pogoń za Kirrickiem - szybko jednak zrezygnowała ze swojego zamiaru. Łukiem powróciła do swojego towarzysza i przyłączyła się do pościgu za sikorką. Ostatecznie ci zbrojcy mieli swoje rozkazy. W tym momencie Kirrick zrozumiał, że mała sikora, jak wiele innych drobnych ptaków przed nią, jest już skazana na śmierć. Pojął też, że wystawił misję na wielkie niebezpieczeństwo, zdradzając miejsce swojego pobytu. Równie dobrze mógłby usiąść na czubku drzewa i wykrzykiwać: „Tu jestem! Łapcie mnie, jestem tutaj!”.

Przygnębiony, z ciężkim sercem, odfrunął z miejsca kaźni.

Traska uznał, że w tropieniu Kirricka będzie musiał skorzystać z pomocy innych krukowatych. Gawrony i kawki, wrony i sójki nienawidziły srok za to, co wyczyniały. Ale bały się ich, chociaż jako gatunki spokrewnione z oprawcami, cieszyły się względnym spokojem, w czasie gdy trwała zagłada innych ptaków. Same nie brały udziału w masakrze, oferowały jednak pomoc i informacje w zamian za własne bezpieczeństwo. Sroki rzadko musiały korzystać z siatki szpiegowskiej krukowatych, nigdy jednak do tej pory nie miały do

czynienia z uciekinierem tak dzielnym i rezolutnym jak Kirrick. Traska więc zaczął przemierzać pobliskie okolice, szukając swych krewniaków, przepytując ich i badając. Jeśli zdarzyło się, że nie otrzymywał satysfakcjonujących odpowiedzi na zadawane pytania, odplącał dziką brutalnością, szybko więc rozniosło się pośród krukowatych, że z tą konkretną sroką nie należy zadzierać.

Tym razem okrucieństwo Traski nie popłaciło, ponieważ usłudni kuzyni podsuwali mu mnóstwo fałszywych tropów, by powiedzieć to, co w ich opinii chciał usłyszeć. Owe ptaki również zapłaciły srogo za swoją głupotę. Frustracja Traski narastała. Trop wystygł już na dobre. Wciąż jednak frunął na północ, choć niepewny, co powinien dalej robić. Wiedział tylko jedno - że nie może zawieść, bo konsekwencje byłyby tak straszne, że aż bał się o nich myśleć. Tylko jakim cudem mógłby odnieść sukces? W swoich łowach kierował się już tylko instynktem, który podpowiadał, że Kirrick musiał ruszyć w te strony. Jego pościg był gorączkowy, w przeciwieństwie do ostrożnej ucieczki rudzika po spotkaniu ze Skulkiem i Skeetem. A mimo to, szczęśliwym trafem, Traska zbliżał się coraz bardziej do swojej ofiary.

Podróżując, nieustannie przepytывał miejscowych przedstawicieli krukowatych i dzięki temu w końcu otrzymał informacje, na które tak niecierpliwie wyczekiwał. Do swojej konfraterni powrócił właśnie gawron, który w czasie patrolu znalazł się nad pobliskim strumieniem - nieopodal miejsca, gdzie Kirrick spotkał Anisse, przyjazną perkozicę. Ów gawron usłyszał, jak Anisse opowiadała o młodym rudziku swojemu partnerowi. I choć spotkanie perkozicy z ruzdikiem było przelotne i krótkie, najwyraźniej mały ptaszek wywarł na niej wyjątkowo silne wrażenie.

A więc wreszcie los zaczął sprzyjać Trasce. Z relacji gawrona wynikało, że Anisse nie miała pojęcia, przed kim lub przed czym umyka ruzdzik. Dowiedziała się jedynie, że Kirrickowi zagraża

jakieś bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo. W tej sytuacji Traskà postanowił, że spotka się z perkozicą. Najpierw jednak wypytał gawrona, gdzie się znajduje najbliższa konfraternia srok, a potem udał się na rozmowę z jej przywódcą. Wystarczyło tylko wspomnieć imię Slyekina, a Traska od razu otrzymał wszelką pomoc, jakiej oczekiwał i wkrótce pięć srok skierowało się w stronę strumienia, nad którym mieszkała Anisse.

Potężna burza z piorunami i ulewnym deszczem zmusiła Kirricka do szukania schronienia w przyjemnej, zadrzewionej dolinie. Błyskawice ostro przecinały niebo, a za każdym ogłuszającym uderzeniem gromu, Kirrick kulił się w sobie i wciskał w listowie. Podróżował już ponad dwa tygodnie od czasu incydentu z sikorką, i przez te wszystkie dni nie oszczędzał się ani przez chwilę - frunął szybko i tylko z rzadka odpoczywał. Mimo to pokonał zaledwie połowę dystansu dzielącego go od pierwszego celu, a przecież czekały go jeszcze dwie, równie dalekie wyprawy.

Przemoknięty do szpiku kości Kirrick trząsł się z zimna. Ponownie też ogarnęły go wątpliwości, czy zdoła udźwignąć brzemię, które na jego barkach złożył stary puszczyk. Musiał jednak zrobić wszystko, na co tylko pozwalały mu siły. Może Tomar znajdzie innego jeszcze adiutanta, który uda się w kolejne niebezpieczne misje? Na razie najważniejsze, by udało mu się wykonać obecne zadanie. Powinien się spieszyć, w tej chwili jednak musiał przeczekać nawałnicę. Z tą myślą, wyczerpany i przygnębiony, Kirrick zapadł w niespokojną drzemkę.

Śnił o swoich rodzinnych stronach i o Celine. Ich gniazdo znajdowało się blisko pobocza drogi, na skraju lasu, niedaleko od siedzib Człowieka. Stąd para rudzików miała częsty kontakt z ludźmi, którzy zawsze okazywali im serdeczne zainteresowanie. Jednak we śnie Kirricka opowieści Tomara o Praedzie, Radzie Sów i podłości

Człowieka zlały się z prawdziwymi wspomnieniami z przeszłości, wywołując przerażające obrazy. Przyjaźni ludzie z dawnych czasów stali się nagle złowrodzy i niebezpieczni. Ich rozciągnięte w uśmiechu usta odsłaniały ostre kły, stworzone do rwania małych ciał na strzępy. Oczy, które w rzeczywistości świeciły z radości na widok rudzików, teraz rzucały złowrogie błyski spod ciężkich powiek. Sen Kirricka wkrótce przekształcił się w koszmar, gdy ludzie zmienili się w olbrzymie sroki, przed którymi Kirrick wraz z Celine próbowali gorączkowo umykać. Paniczny strach obudził w końcu rudzika. Ale długo jeszcze drżał na całym ciele i czekał, by opuściły go zmyły. Po jakimś czasie, wyczerpany, ponownie zapadł w drzemkę - tym razem na szczęście głęboką i pozbawioną snów.

Obudził się zaraz po ustaniu burzy. Powietrze było świeże i rześkie, a światło dużo ostrzejsze, pomimo że słońce jeszcze na dobre nie wychyliło się zza chmur. Przede wszystkim jednak Kirricka uderzyła niezwykła cisza, jaka nastąpiła po nawałnicy. Choć wkrótce zorientował się, że nie była ona całkowita. Dobiegające z niewielkiej oddali brzęczenie przyspieszyło bicie jego serca i uświadomiło mu, jak bardzo jest głodny. Sfrunął więc z wysokiej gałęzi na pobliski krzew okryty świeżo rozkwitłymi kwiatami. Uwijało się nad nimi wiele owadów zbierających nektar, a jeszcze większe ich roje unosiły się nad dzwonkami i glistnikami porastającymi gęsto leśne podszycie. Kirrick rozpoczął łowy i delectował się każdą zdobyczą. Pod kilkoma liśćmi znalazł soczyste pędraki i zaczął pożerać je łapczywie. I tak bardzo się zapamiętał w tym ucztowaniu, że całkiem zapomniał o zachowaniu bezpieczeństwa.

Tymczasem inne stworzenia leśne również poszukiwały pożywienia. One także chciały zaspokoić poranny głód. Niemal bezszelestnie, miękkimi ruchami, pewien niewielki, ale zabójczo niebezpieczny łowca zaczął umiejętnie podchodzić rudzika. Oczy wbite w ptaszka

były czarne i błyszczące, a ruda sierść drapieżnika połyskiwała od wilgoci traw. Mała łasica przez jakiś czas ostrożnie zbliżała się do Kirricka, po czym zaatakowała z prędkością błyskawicy.

Deszcz, który wcześniej tak przygnębił rudzika, teraz okazał się jego wybawieniem, ponieważ kropla wody zwisająca z pobliskiego liścia odbiła, niczym zwierciadło, gwałtowny ruch łasicy. Kirrick instynktownie poderwał się do lotu, i tylko przyrodzona mu szybkość i zwrotność pozwoliła uniknąć śmierci. Łasica zakłęta szpetnie pod nosem, wypluła z pyszczka dwa niewielkie piórka, po czym udała się w dalszą drogę, na poszukiwanie łatwiejszej zdobyczy. Tymczasem głęboko wstrząśnięty przygodą Kirrick przysiadł na wysokiej gałęzi drzewa i próbował uspokoić oddech.

- Ty głupi ptaku! - napomniał się w głos. - Jak mogłeś być tak bezmyślny! Zamiast zważać na bezpieczeństwo, niepohamowanie pastęś brzuch!

Ledwo wypowiedział te słowa, a spłynęła na niego wielka ulga, że jednak udało mu się wymknąć śmierci. Wybuchnął radosnym, dźwięcznym śmiechem, i śmiał się tak długo, aż łzy zaczęły płynąć mu z oczu i zmoczyły piękny, cynobrowy gorset.

Nikogo nie było u boku Anisse, gdy zauważyła zbliżającą się srokę. Podobnie jak większość ptaków perkozica dobrze wiedziała, co wyczyniają sroki i głęboko pogardzała tymi mordercami. Nie czuła jednak strachu na widok samotnej sroki skaczącej rażno w jej stronę. Była dostatecznie duża i miała dość ostry dziób, by czuć się całkiem bezpiecznie.

- Czego tu szukasz? - wykrzyknęła, gdy sroka znalazła się w zasięgu jej głosu.

- Och, chciałem tylko zamienić z tobą kilka słów - odparł Tra-ska.

- A niby na jaki temat? - w Anisse obudziła się nieufność. - Ja nie mam nic wspólnego z waszym gatunkiem.

- Szukam pewnego rudzika. Czy przypadkiem nie wiesz, dokąd mógł się udać? - spytał cichym, ale złowrogim głosem.

- Nic nie wiem o żadnych rudzikach. Nie zwracaj mi więc dłuższej głowy! - zachnęła się perkozica i postąpiła krok do przodu.

W tym samym momencie, z różnych stron, opadły ją cztery inne sroki, dotkliwie raniąc w głowę i szyję. Z głębokich skaleczeń polała się krew, i chociaż Anisse dzielnie walczyła, zadając bolesne ciosy dziobem, wkrótce została całkiem ujarzmiona. Na surowe polecenie Traski, sroki odskoczyły na bok, on sam zaś spojrział gniewnie na przerażoną perkozicę.

- Nie znoszę pytać kilka razy o to samo! - wrzasnął jej prosto w twarz. - Mów więc natychmiast, dokąd poleciał rudzik!

Anisse w desperacji rozejrzała się na boki, szybko jednak zdała sobie sprawę z beznadziejności własnego położenia. Będzie musiała wszystko powiedzieć. I tak Traska dowiedział się o wizycie Kirricka w Tanglewood, u wiekowego puszczyka. Słyszając te słowa bezwzględny samiec sroki zaczął w zamyśleniu kiwać głową. Wiele słyszał o Tomarze od Sleykina, wiedział więc, że puszczyk jest przeciwnikiem, którego należy się obawiać. Szybko jednak otrząsnął się z wątpliwości i raz jeszcze zerknął na rozpląszczoną przed nim perkozicę.

- Dziękuję - rzucił złowieszczo słodkim głosem. - Jak widzisz, wyznanie prawdy nie kosztowało wiele.

Powiedziawszy to, zwrócił się w stronę towarzyszących mu srok.

- Zabijcie ją! - rozkazał, po czym wzbił się w powietrze.

Kirrick leciał wysoko nad ziemią, a poniżej krajobraz nieustannie się zmieniał. Rudzik przefrunął nad wolno wijącymi się, połyskliwymi wodami wielkiej rzeki, po czym skierował się jeszcze bardziej

na zachód, w stronę imponujących szczytów majaczącego na horyzoncie pasma gór. Powietrze stawało się coraz chłodniejsze i bardziej rzeźkie. Część najwyższych zboczy pokrywał nadal śnieg, którego do tej pory nie zdołały stopić wiosenne promienie słońca.

Tomar powiedział Kirrickowi, że siedlisko Darreala znajduje się w górach okalających rozległe jezioro. Darreal był kanią rudą, należał więc do bardzo rzadkiego gatunku, żyjącego już tylko w tych niegościnnych, niedostępnych górach. Ów gatunek został niemal całkiem wytrzebiony - jednak tym razem nie przez sroki, ale przez Człowieka, który od zarania polował na kanie i inne jastrzębiowate. Klan Darreala był ostatnim w Birddom i jego przetrwanie zależało głównie od mądrości przywódcy. Darreal był otoczony wielkim szacunkiem z powodu swojej odwagi i rozumu, przewodził też Wielkiemu Zgromadzeniu Sokołów i Jastrzębi. Tomar wiedział, że ten niezwykle ptak cieszył się wielkim poważaniem, stąd mógł - jeśli Kirrick zdołałby go przekonać do sprawy - w znaczący sposób przyczynić się do obalenia władztwa srok.

Puszczyk i rudzik omówili tę kwestię ze wszelkimi szczegółami, teraz jednak, gdy Kirrick zbliżał się do celu, w głowie dźwięczała mu tylko jedna myśl - czy przypadkiem Darreal nie zechce go natychmiast pożreć!

Lecąc w stronę Tanglewood, Traska obmyślał kolejne etapy swojego działania. Szybko doszedł do wniosku, że obecnie nie powinien się posuwać do konfrontacji z Tomarem. To mogłoby pokrzyżować dalekosiężne plany Slyekina względem sów i ściągnąć na Traskę gniew wodza. Nic w tej chwili nie sprawiłoby nikczemnej sroce większej przyjemności niż zmuszenie puszczyka do wyjawienia miejsca pobytu rudzika - niestety, nie był to odpowiedni moment, by ściągać na siebie gniew pana i władcy. Traska musiał w takim razie bez „pomocy” Tomara odnaleźć Kirricka i wykonać zadanie.

Kontynuował więc poszukiwania w przyjęty dotąd sposób - szybko wytropił, gdzie się znajduje najbliższa konfraternia srok i ruszył tam, by porozmawiać z jej przywódcą. Gdy przybył na miejsce, właśnie trwały radosne celebracje, został więc natychmiast zaproszony do wspólnego świętowania. Mimo zniecierpliwienia i pośpiechu, Traska zdołał utrzymać nerwy na wodzy i spokojnie wysłuchać chępliwych opowieści, jak owa konfraternia właśnie wypełniła przyznaną jej zadanie. Teraz już ani jedna sikora modra nigdy nie wzbije się w powietrze. Traska pochwalił pobratymców za skuteczność działań, po czym zaczął rozpytywać o rudzika.

Przywódcą stada nie wykazał najmniejszego zainteresowania sprawą, był bowiem zbyt pochłonięty pysznieniem się własnymi sukcesami. Traska miał wielką ochotę wyrwać mu z gardła język, by wreszcie ukrócić te idiotyczne przechwałki, rozumiał jednak, że nie poradziłby sobie z taką liczebną przewagą. Już niemal dał za wygraną i przestał zadawać pytania, gdy niespodziewanie w sukurs przyszła mu jedna z pary srok najbardziej fetowanych, bo będących zabójcami ostatniej sikory.

- Aha! Właśnie sobie przypomniałem coś, co może cię ucieszyć, brachu. Jakiś czas temu natknęliśmy się na rudzika. Był cholernie wkurzony i czupurny. Niemal odrąbał mi dziób!

- Czemu go nie zabiłeś?! - spytał Traska z jadowitą wściekłością.

- To nie nasza sprawa. Dostaliśmy rozkaz wybicia sikor modrych i wywiązaliśmy się z tego zadania koncertowo!

Po tych słowach rozległ się radosny rechot, a samiec, który je wypowiedział, jeszcze dumnie wyduł pierś.

- I co stało się z tym ruzdikiem? - Traska dla odmiany przybrał słodki, przymilny ton.

- Ech, dał sobie spokój i poleciał dalej. Był z niego jednak kawał zawadiaki - odrzekł napuszony ptak.

- Dokąd się skierował? - dopytywał się Traska.

Tym razem odpowiedział mu drugi samiec z fetowanej pary.

- Pofrunął przed siebie, prosto jak strzała. Przez chwilę go obserwowałem, ale wkrótce skupiłem uwagę na innym celu.

Zaśmiał się okrutnie pod nosem wspominając w duchu, jak słodkie było owo „skupienie”.

- Dokąd się skierował? - powtórzył zniecierpliwiony Traska.

- Co takiego? Ach, wybacz brachu. Czyżbym nie powiedział? Pofrunął na zachód.

Traska nie zabawił tam już długo - tyle tylko, by zadośćuczynić wymogom grzeczności, po czym wymknął się bez słowa i ruszył w swoją drogę. Tak naprawdę miał ochotę posiedzieć wśród pobratymców i oddać się dzikim uciechom, jednak zwyciężyła w nim żądza osiągnięcia sukcesu. Kiedy opuścił towarzystwo srok, usiadł na czubku wysokiego drzewa i wbił wzrok w stronę zachodu. O ile zdążył się zorientować, Kirrick znajdował się w drodze od wielu dni. Najbardziej gnębił Traskę fakt, że nie miał pojęcia, jaki mógłby być cel podróży rudzika. Raz jeszcze zaczął się zastanawiać, czy nie udać się z powrotem do Tanglewood i nie przeprościć starego puszczyka, w końcu jednak porzucił ten pomysł. Przede wszystkim straciłby za wiele czasu. A to oznaczało, że teraz musiał tylko polegać na szczęściu i własnej przemyślności.

Traska uparcie wpatrywał się w bezkresną dal, jakby wzrokiem miał zamiar przesyć niezmierne przestrzenie i jakimś cudem dojrzeć przeklętego rudzika. I niespodziewanie jego uwagę przykuł pewien szczegół. Cienka linia ciągnęła się prosto przez wiele kilometrów w kierunku, który on sam musiał obrać. Wzdłuż owej linii - będącej autostradą - dudniąc przemieszczał się sznur ciężkich pojazdów. Szybkość i wytrzymałość owych maszyn fascynowały Traskę, szybko więc zdecydował, co powinien uczynić. Tylko jak to zrobić?

Podczas gdy się zastanawiał, jak wprowadzić swój plan w życie, okazja nadarzyła się sama. Stara ciężarówka z otwartą paką zatrzymała się przy stacji serwisowej, mniej więcej kilometr od miejsca, w którym siedział Traska. Samiec sroki bez wahania wzbil się w powietrze i wkrótce wylądował na miękkiej słomie, w którą zakopał się tak głęboko, że wystawały mu jedynie oczy i dziób. Czuł przy tym dziwne podniecenie. Wszystkie dzikie stworzenia nienawidziły ludzi za ich bezmyślne okrucieństwo, w Trasce jednak owa cecha niekiedy wzbudzała szczerą podziw. Ostatecznie sam miał podobną naturę.

Kilka minut później dobiegł go głęboki warkot silnika i ciężarówka ruszyła w drogę, kierując się ku zachodowi.

Kirrick był wyczerpany, ale i zachwycony, gdy wreszcie dotarł do celu podróży. Wiedział, że czas nagli, niemniej jego ciało gwałtownie się domagało odpoczynku. Dzień miał się ku końcowi, ruzdzik postanowił więc, że odłoży swoje spotkanie z Darrealem do następnego poranka, gdy będzie bardziej rześki i wymowny.

Szukając miejsca do wylądowania, dostrzegł szkarłatną łacę, która sprawiła, że ślinka napłynęła mu do dzioba. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak głodny, a jednocześnie nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu - to był doprawdy cud, że na tej wysokości i o tak wczesnej porze roku udało mu się natrafić na poletko poziomek. Błyskawicznie skierował się w dół i zaczął łakomie pochłaniać soczyste, słodkie owoce. W głębi ducha wiedział, że powinien zachować większą ostrożność - ostatecznie miał świeżo w pamięci przygodę z łąsicą - ale pokusa napełnienia brzucha dojrzałymi owocami okazała się zbyt nęcąca i Kirrick rzucił się do ucztowania.

Gdy szelest w pobliskich krzewach uświadomił mu, że nie jest na polance sam, ze strachu niemal wyskoczył ze skóry. Na szczęście tym razem nie był to żaden drapieżca, ale mała, brązowa myszka,

która wychynęła spoza długich źdźbeł trawy i - niemal u boku Kirricka - zaczęła nieśmiało skubać poziomki.

Niemal w tej samej chwili na niebie zamajaczył ciemny punkt, stopniowo powiększający się i niebezpiecznie zbliżający ku ziemi. Swoim bystrym wzrokiem Darreal wypatrzył mysz oraz siedzącego obok niej rudzika. Przez moment jeszcze wisiał na niebie z rozpostartymi skrzydłami, unoszony prądem powietrza, ale gdy tylko podmuch wiatru zmalął, zapikował w dół, błyskawicznie rzucając się na bezradną ofiarę. Nie spadł jednak na rudzika, ale w swoje potężne szpony pochwycił nieszczęsną mysz. Kirrick zmartwiał, gdy gryzoń wyzionął ducha tuż na jego oczach. Darreal tymczasem krążył nisko ze zdobyczą w szponach, a gdy spostrzegł, że rudzik zamarł w bezruchu, ruszył szybko w jego stronę, jakby ponownie zamierzał zaatakować. Nie mógł jednak liczyć na pomyślne łowy, gdy trzymał w szponach mysz - musiałby zrezygnować z pewnego łupu na rzecz dość wątpliwego.

Frustracja Darreala szybko przeszła w zdumienie, gdy Kirrick odzyskał rezon i wymówił jego imię.

- Szukam ptaka z twojego gatunku o imieniu Darreal. Czy przypadkiem go nie znasz?

- Lepiej niż ktokolwiek inny. Ja bowiem noszę to imię. A ty kim jesteś?

- Nazywam się Kirrick i przebyłem długą drogę, żeby cię odnaleźć.

Ledwo rudzik wypowiedział te słowa, a poczuł, że ogarnia go niezwykle zmęczenie.

- A czy dasz radę przefrunąć jeszcze kilka kilometrów? - spytał Darreal, tym razem o wiele przyjaźniejszym tonem. - Zawiodę cię w bezpieczne miejsce, gdzie będziesz mógł spokojnie wypocząć. Porozmawiamy zaś rano.

I tak oto, w kolejnym niezwykłym duecie, kania i rudzik poleciały skrzydło w skrzydło ku domowi Darreala.

Ciepła słońca, jednostajny ruch i warkot motoru ukołysały Traskę do snu. Ciężarówka tymczasem pokonała wiele kilometrów. Traska obudził się dopiero wtedy, gdy samochód się zatrzymał i dobiegły go ludzkie głosy. Jakaś autostopowiczka prosiła o podwiezienie i podczas gdy wspinała się na siedzenie obok kierowcy, Traska wygrzebał się ze słomy, otrząsnął z suchych źdźbeł i zeskoczył z przyczepy.

Szczyście mu sprzyjało. Na poboczu drogi czekał już bowiem gotowy posiłek w postaci rozjechanego jeża. Traska szybko wbił dziób w gnijące szczątki i zaczął się posilać mięsem nieszczęsnego zwierzaka. A gdy już się nasycił, usiadł na szczycie pobliskiego drzewa, aby spokojnie przemyśleć swoje położenie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował. Co gorsza, nie miał pojęcia, gdzie przebywał Kirrick. Prowadził swój pościg po omacku, kierując się jedynie instynktem, który szczęśliwie w przeszłości nigdy go nie zawodził. Nadszedł jednak czas, by logicznie rozważyć sytuację. I odgadnąć, czemu Kirrick udał się w tak niebezpieczną podróż.

- Spójrzmy na fakty - mruknął cicho. - Rudzik zobaczył się z Tomarem. A potem niespodziewanie przemierzył setki kilometrów, by znaleźć się w całkowicie obcych mu stronach. Dlaczego?

Traska zamachał skrzydłami, aby zrzucić z siebie źdźbło siana wyjątkowo działające mu na nerwy.

- Może wybrał się na poszukiwanie innego rudzika? Skąd jednak Tomar miałby wiedzieć cokolwiek o rudzikach? Bardziej prawdopodobne więc, że stary puszczyk wysłał Kirricka z posłaniem do jakiejś innej sowy. Czemu jednak tak daleko i akurat tutaj?

Traska wpadł w jeszcze większą furię, gdy zdał sobie sprawę, jak trudno będzie odnaleźć rudzika na tym rozległym, kompletnie nieznanym mu terytorium. Ucieszył się jednak, że los szybko pozwolił mu dać upust wściekłości. Widząc młodego samca kawki, który miał

nieszczęście przelatywać nieopodal, Traska poderwał się do lotu, po czym z całą brutalnością zaatakował młokosa. Kilka minut później powrócił na wysokie drzewo z dziobem unurzany we krwi, ponownie gotów do koncentracji na czekającym go zadaniu. Natomiast młody samczyk kawki nie miał szans na poderwanie się do lotu. Leżał krwawiący, z połamanymi skrzydłami, czekając już tylko na okrutną śmierć w paszczy jakiegoś drapieżnika.

Traska doszedł do wniosku, że musi się dowiedzieć, jakie sowy żyją w okolicy i w tym celu po raz kolejny posłużył się srokami. Intuicja podpowiadała mu, że wyprawa Kirricka ma związek z Radą Sów. Zaczął więc przepytować swoich krewniaków, jak się nazywa i gdzie mieszka najbardziej poważana sowa w okolicy. Pobratymcy jednogłośnie poinformowali go, że niedaleko gniazduje samiec sowy śnieżnej o imieniu Isidris. Wszystkie sroki mówiły też o nim z trwogą. Najbardziej przesądna z nich nazwała go nawet sową-duchem, bo - poruszając się bezszelestnie na podobieństwo białej zjawy - zabił wielu jej kompanów. Traska jednak pogardzał podobnymi zabobonami i w końcu od bardziej pragmatycznych ze swoich kuzynów dowiedział się, że dom Isidrisa znajduje się w górzystym terenie zaledwie o dzień lotu od miejsca, w którym teraz byli.

Traska postanowił błyskawicznie zmobilizować miejscowe sroki. Ich przywódca był słaby i nieporadny, więc przemyślny samiec natychmiast go zdominował. Należące do owej konfraterni ptaki zostały z miejsca rozesełane w świat z poleceniem, by dniem i nocą wszystkie krukowate pilnie patrolowały niebo i utworzyły kordon na trasach wiodących ku wschodowi i na południe. Traska wiedział, że Kirrick będzie musiał wrócić do Tomara, uczulił więc swoich szpiegów na możliwość przelotu rudzika.

- Tomar z pewnością dąży do wskrzeszenia Rady Sów - nieustannie pomrukiwał Traska i natychmiast popadał w przygnębienie,

bo sowy stanowiły dla niego o wiele potężniejsze wyzwanie niż uparty, ale ogólnie rzecz biorąc, nic nieznaczący mały ptaszek.

Na razie jednak podły zbójca wyruszył z wizytą do Isidrisa. Mógł spokojnie opuścić posterunek, miał bowiem pewność, że ktoś z grupy krukowatych zawiadomi go, gdy tylko spostrzeże Kirricka. A skoro każdy skrawek nieba był pilnie patrolowany, jedno nie ulegało wątpliwości - ruzdzik znalazł się w potrzasku.

5.

Kirrick spał długim, głębokim snem. Obudził się, gdy słońce stało już wysoko na niebie i z radością spostrzegł, że czeka na niego suty posiłek i świeża woda. Kiedy najadł się i napił do woli, rozejrzał się za Darrealem, a wówczas, jakby telepatycznie odpowiadając na jego wezwanie, samiec kani zapikował w dół z wielkiej wysokości, po czym przysiadł u boku rudzika.

- Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu - zagaił. - Czy wypocząłeś należycie?

- Owszem, dziękuję bardzo - odrzekł Kirrick uprzejmie.

- Jesteś wyjątkowo dzielny - zauważył Darreal. - Dzielny, ale niemądry. Wczoraj o mały włos nie postradałeś życia.

- Mnie nie tak łatwo zabić... jak już wielu miało okazję się przekonać - odpowiedział rudzik, wydymając dumnie pierś.

- Ha, więc natknąłem się na groźnego przeciwnika - zaśmiał się cicho Darreal. - Muszę w takim razie pamiętać, by cię niczym do siebie nie zrazić. Przede wszystkim powiedz mi jednak, Kirricku, co cię skłoniło do tej niebezpiecznej wyprawy?

Kirrick opowiedział o ucieczce przed srokami oraz o Tomarze i jego planie pokonania wroga. Darreal, oczywiście, wiele słyszał na temat Rady Sów - Zgromadzenie Sokołów i Jastrzębi, któremu

przewodził od lat, zostało sformowane na jej podobieństwo. Poza tym w dawnych czasach sowy, jastrzębie i sokoły często konsultowały się w momentach zagrożenia i ogólnego niepokoju. Stąd Darreal ubolewał nad rozpadem Rady - niezwykle ważnej dla utrzymania dobrobytu Birddom. Znał też doskonale Tomara i żywił wielki szacunek dla starego puszczyka. Teraz dodatkowo wzbudziły w nim podziw śmiałość i dalekosiężność planu przyjaciela. Zaczął wypytywać o szczegóły, szukając słabych punktów, uściślając te i owe kwestie. Kirrick wyjaśnił cel swoich kolejnych wypraw, a także ważką rolę, jaką w wielkim planie przewidziano dla Darreala i jego towarzyszy ze Zgromadzenia.

- Kiedy będziecie potrzebować naszego wsparcia? - spytał Darreal tak entuzjastycznym tonem, że serce Kirricka napełniło się wielką radością. A więc pomyślnie wypełnił swoją pierwszą misję - zdołał zdobyć poparcie tego potężnego ptaka. Wyjawiał więc Darrealowi dalsze detale planu - a samiec kani tylko kiwał głową, nie ukrywając swojego zachwyty dla rozmachu przedsięwzięcia.

- Doskonale, Kirricku. Na jutrzejszy wieczór zwołam zlot wszystkich przywódców sokołów i jastrzębi. Naturalnie, ciebie nie może na nim zabraknąć. Nie obawiaj się jednak tych groźnych drapieżców, będziesz bezpieczny u mojego boku. Daję ci też słowo, że nie zawiedzimy Birddom. Zjawimy się na miejscu w godzinie próby... i godzinie triumfu zarazem!

Kirricka rozpieęła radość. Wiedział, że do planu trzeba będzie jeszcze przekonać całe Zgromadzenie, ale najważniejsze, że w Darrealu zyskał potężnego i przekonanego do sprawy sprzymierzeńca, który z pewnością zrobi wszystko, by wywiązać się z przyrzeczenia. Myśli Kirricka skierowały się ku Tomarowi. Jakże stary puszczyk ucieszy się z sukcesu pierwszej misji! Chwilę później z marzeń wyrwał go głos kani.

- Skoro tak bardzo polubiłeś sowy, powinieneś się również

spotkać z Isidrisem! - powiedział ze śmiechem Darreal. - Poza tym, to ważne, żeby Isidris przemówił na Zgromadzeniu. Cieszy się wielkim mirem wśród moich pobratymców.

- Słyszałem o Isidrisie od Tomara. Podobno był wyjątkowo mądrym członkiem Rady Sów i zaufanym przyjacielem starego puszczyka. Gdzie mógłbym go znaleźć?

Darreal opowiedział Kirrickowi nieco więcej o sowie śnieżnej. Isidris mieszkał w niewielkiej, skalnej jaskini, na zboczu najbardziej stromej góry w tym regionie, niecały dzień drogi od gniazda Darrealala. Miał już swoje lata, cieszył się jednak nadal niezawodnym wzrokiem i nadzwyczaj bystrym umysłem. Jako członek Rady żył samotnie - nigdy nie połączył się z żadną samicą i nie dochował potomstwa. Słyszał natomiast z idealnie bezszelestnego lotu i uchodził za niedoścignętego mistrza łowów.

- Isidris jest niezwykle mądry, więc sam nieraz szukałem jego rady w chwilach zwątpienia - wyznał Darreal. - Jemu z pewnością możesz zaufać. Bardzo bym pragnął, żeby Rada znów podjęła swoją misję. Naszej krainie brakuje mądrych rozstrzygnięć sów.

Kirrick pokiwał w zadumie głową, a potem - obiecując, że zjawi się u Darrealala nazajutrz rano - wyruszył na poszukiwanie grotty sowy śnieżnej, błogo nieświadomy czyhającego tam na niego niebezpieczeństwa.

Gdy Traska znalazł się u wlotu do jaskini Isidrisa, oznajmił swoją obecność, nawołując szacownego samca sowy głośnym, chrapliwym skrzekiem, lekceważącym w tonie, jakby przyzywał sługę. Wrzeszczał i czekał, czekał i wrzeszczał, jednak bez rezultatu. W końcu zniecierpliwiony - dumnie wypinając pierś - zbliżył się jeszcze bardziej do jaskini i niemal w tym samym momencie przeszył go ostry ból, gdy zza ucha ktoś wyrwał mu kępkę piór. Odwrócił się błyskawicznie, lecz nikogo nie zobaczył. Ponownie skierował się ku

jaskini i wówczas ujrzał Isidrisa, mrużącego oczy w świetle dnia. W dziobie samiec sowy wciąż dzierżył jedno czarne pióro.

- Cóż za grubiański sposób witania gości! - zagrzemiał z oburzeniem Traska.

- Gość to ktoś, kto został zaproszony - zauważył Isidris - i komu nieobce są przynajmniej podstawy dobrego wychowania.

- Wybacz mi - Traska natychmiast zmienił front, odzywając się przymilnym głosem. - Chodzi o to, że koniecznie muszę z tobą porozmawiać. A ponieważ czas mnie nagli, zapomniałem o manierach. Bardzo mi teraz wstyd z tego powodu.

Fałszywa słodycz na jadowitym języku, pomyślał Isidris, ale wyszedł z jaskini i stanął naprzeciwko Traski.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś najmądrzejszym i najbardziej poważanym ptakiem w tych okolicach - podlizywał się Traska, przekonany, że pochlebstwem zjedna sobie Isidrisa.

- Cóż za trafna uwaga! - wykrzyknął Isidris rozbawionym tonem.

Traska nie wychwycił ironii. Uznał słowa sowy za wyraz zrozumiałości i postanowił nadal kadzić Isidrisowi.

- Tak mądry i bystry ptak jak ty z pewnością wie o wszystkim, co się dzieje w jego dominium. Bez wątpienia więc spostrzegłbyś, gdyby jakiś intruz - choćby najmizerniejszej postury - pojawił się na twoim terytorium.

- Owszem. Ciebie dostrzegam wyraźnie. Choć trzeba przyznać, że bardzo się postarałeś, by uświadomić mi swoją obecność - zakpił Isidris. - Domyślam się jednak, że nie siebie masz na myśli?

- Poszukuję rudzika o imieniu Kirrick. Miał się zjawić u ciebie z pewnym szczególnym posłannictwem.

- Czemuż miałby się u mnie zjawiać jakiś ruzdik, a przede wszystkim - dlaczego on cię tak bardzo interesuje?

- Niesie dla ciebie wiadomość od Tomara, puszczyka z Tanglewood. To i moje rodzinne strony - skłamał gładko Traska. - Tomar kazał mi towarzyszyć Kirrickowi w powrotnej drodze, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Świat bywa groźny dla tak małych ptaków jak rudziki.

- Też doszły mnie podobne słuchy - rzucił ironicznie Isidris. - Obawiam się jednak, że odbyłeś swoją podróż nadaremno, twój go przyjacielu bowiem tu nie ma i nigdy nie było. Owszem, dość dobrze znam Tomara, nie słyszałem jednak nigdy o rudziku imieniem Kirrick. A teraz żegnam.

Isidris odprawił Traskę równie lekceważącym tonem, jakim wcześniej Traska nawoływał Isidrisa. Samcowi sroki nie pozostało więc nic innego, jak tylko patrzeć z rozdziawionym ze zdumienia dziobem na bezceremonialnie odwracającą się sowę, która zaraz też zniknęła w mroku groty.

Czyżby się jednak pomylił? A jeśli tak, to gdzie powinien się teraz udać? Gdzie szukać tropu? Nie. To niemożliwe. Traska był przekonany, że w tę całą historię w taki czy inny sposób uwikłana jest Rada Sów. Isidris z pewnością kłamie. Pokrzepiony tą myślą Traska dziarsko wskoczył do jaskini. Uderzył go odór rozkładających się zwierzęcych szczątków. Jako padlinożercy nie przeszkadzało mu to jednak wcale, więc zuchwale ruszył przed siebie.

- Isidrisie, mam do ciebie jeszcze parę pytań. Czy zechciałbyś mi poświęcić nieco więcej swojego cennego czasu?

W momencie, gdy Traska zniknął w czarnych czeluściach groty, Kirrick dofrunął do niewielkiej polanki przed domem Isidrisa. Wylądował na małym pieńku, nieopodal wejścia i zaczął zbierać myśli.

Jak należy powitać tak szacowną sowę, zastanawiał się Kirrick. Nie bardzo wiedział, bo w wypadku Tomara, stary puszczyk odezwał

się pierwszy. Teraz natomiast to rudzik miał zakłócić spokój Isidrisa, układał więc w głowie stosowną, dworną przemowę.

Gdy wydawało mu się, że wreszcie znalazł odpowiednie słowa i gdy już otwierał dziób, by się odezwać, z głębi jaskini dobiegły go podniesione, gniewne głosy, a potem głośnie, niskie dudnienie. Kirrick instynktownie rozejrzał się za jakąś kryjówką, a dojrawszy niewielką szczelinę u wejścia do groty, pospiesznie się w nią wciśnął. Chwilę później wpatrywał się ze zdumieniem w czarno-białą kulę z piór, wypadającą z wnętrza jaskini.

Traska pozbiierał się z ziemi i otrząsnął, by zrzucić z siebie kurz i lepkie pajęczyny. Dyszał z oburzenia i furii.

- Popełniłeś wielki błąd! - wykrzyknął w głąb groty.

- Znikaj stąd, bo za chwilę naprawię swoją pomyłkę - odparł groźnym tonem Isidris i Traska z trzepotem skrzydeł poderwał się w górę.

Isidris tymczasem stanął na progu swojego domu i spoglądał za odlatującą sroką. Kirrick natychmiast skulił się w sobie i zamarł w bezruchu. Zdecydowanie nie miał ochoty jeszcze bardziej rozszerzać sowy, która przed chwilą tak obcesowo obesła się ze swoim gościem! Niespodziewanie okazało się, że Isidris doskonale zdaje sobie sprawę z obecności Kirricka.

- Musi być ci tam bardzo niewygodnie - zauważył.

Kirrick wysunął się ze szczeliny ostrożnie, w każdej chwili gotów do ucieczki. Isidris odezwał się jednak przyjaznym głosem.

- To ty jesteś Kirrickiem, prawda? Nie bój się, w tak bezceremonialny sposób traktuję jedynie nieproszonych gości.

- Skąd znasz moje imię? - zdziwił się rudzik.

- Miałem okazję je usłyszeć zaledwie kilka minut temu - odparł Isidris i opowiedział Kirrickowi o rozmowie z Traska.

- Oczywiście, skłamał - powiedział rudzik. - Chociaż w jednym

się nie pomylił. Rzeczywiście przybywam od Tomara z Tanglewood. Czy wiesz, o kim mówię?

- Znamy się z Tomarem od bardzo dawna. I wielokrotnie się przekonałem, że jest mi szczerze przyjazny. Ale o co chodzi z tą sroką?

- Myślałem, że zmyliłem pościg - odrzekł Kirrick. - Ale widać sroki poty nie spoczną, póki nas wszystkich nie wymordują. Dlatego właśnie moje posłannictwo jest tak ważne i pilne.

Powiedziawszy to, rudzik zrelacjonował swoje przeżycia i przedstawił plan Tomara. Isidris słuchał z wielką uwagą, ale w milczeniu, i tylko od czasu do czasu potakiwał skinieniem głowy. Kiedy Kirrick skończył, samiec sowy jeszcze długo siedział głęboko pogrążony w myślach, aż w końcu odezwał się w te słowa:

- Kirricku, jesteś bardzo ważnym ptaszkiem dla całego Birddom. Sroki nie zdają sobie jeszcze sprawy z wagi twojej misji, ale tak czy owak zrobią wszystko, by cię zabić. Jak do tej pory szczęście ci sprzyjało. Niemniej, wszędzie wokół czyhają szpiedzy i wrogowie. Ten samiec sroki, który mnie dziś odwiedził, wie, że będziesz powracał na południowy wschód, do Tomara. Wówczas znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Isidris urwał i zajął się wygładzaniem swoich śnieżnobiałych piór.

- Zostań tu i poczekaj na mnie w ukryciu - podjął po chwili. - Nie pokazuj się nikomu na oczy. Wkrótce do ciebie powrócę.

Ledwo Isidris wypowiedział te słowa, a już zamachał swoimi silnymi skrzydłami, wbił się w niebo i skierował na południe. Kirrick powrócił zaś do skalnej szczeliny, by tam poczekać na powrót sowy. W jakiś czas później z ciężkim sercem słuchał opowieści Isidrisa o kordonie krukowatych. Wspólnie omówili trudne położenie rudzika, po czym opracowali plan ucieczki. Do jego realizacji potrzebowali

jednak pomocy sokołów i jastrzębi.

- Pofrunę razem z tobą - zdecydował Isidris. - Wśród członków Zgromadzenia mam wielu przyjaciół. Moje słowo będzie się dla nich liczyć.

I tak rudzik i sowa wybrali się wspólnie do siedziby Darrealu. Ale ruszyli sekretną drogą, aby skryć się przed wzrokiem ciekawskich i bezpiecznie dotrzeć na miejsce.

Kirrick śmiało stanął przed sokołami i rezolutnie opowiedział swoją historię, choć niewiele brakowało, a odwaga by go zawiodła na widok tak wielu przerażająco ostrych dziobów i potężnych szponów. Z początku głos nieco mu się łamał, ale gdy już zaczął wyjaśniać, w jak ciężkim położeniu znalazły się wszystkie małe ptaki, zyskał na pewności siebie, a w jego tonie pojawiła się pasja zrodzona z wiary we własne racje. W oczach pobłyskiwał mu gniew, gdy mówił o rzezi niewinnych istot, a jednocześnie nieznacznie wydymał z dumy czerwony puch na piersi, gdy uświadamiał sobie, jak ważna rola przypadła mu w udziale. Członkowie Zgromadzenia wysłuchali go z dużą uwagą. Sami, będąc bystrookimi drapieżnikami, już jakiś czas temu spostrzegli, jak bardzo zmniejszyła się populacja drobnych ptaków w okolicy. Jednak z racji ich sławy doskonałych łowców, niewiele małych stworzeń miałyby śmiałość, by stanąć przed nimi i szczegółowo opowiedzieć o okrucieństwie srok. Wszyscy więc byli pod wielkim wrażeniem tego, że Kirrick wykazał dość odwagi, by podjąć się tak dalekiej i najeżonej niebezpieczeństwami wyprawy.

Kirrick tymczasem zaczął mówić z szacunkiem i ciepło o Tomarze, a swoją wojowniczą postawą jakby wyzywał na pojedynek każdego, kto odważyłby się zakwestionować mądrość planu puszczyka. Szczegółowo zrelacjonował swoje debaty z Tomarem i Zgromadzenie dowiedziało się o zdradzie Slyekina oraz rozpadzie Rady Sów.

Isidris, chociaż sam był członkiem owej Rady, a na dodatek dobrym przyjacielem sokołów i jastrzębi, nie wypowiadał się na temat problemów w Radzie oraz przyczyn jej upadku. W zasadzie trzymał się cały czas na uboczu. Niemniej sama jego obecność dodawała wagi posłannictwu Kirricka i planowi Tomara.

Następnie głos zabrał Darreal. W pełni poparł rudzika, podkreślając, że przyłączenie się do wielkiego planu pozwoli zebranim okryć się bojową chwałą i nieśmiertelną sławą. W końcu Isidris opowiedział o swoim spotkaniu z Traską, a także wyjawiał, jaką obmyślił strategię, by umożliwić Kirrickowi bezpieczną ucieczkę na południe. Poprosił sokoły o wsparcie dla rudzika i niemal wszyscy zgromadzeni ochoczo wyrazili zgodę.

Jedynym, który zgłosił zastrzeżenia był młody samiec sokoła wędrownego. Z nachmurzoną miną siedział nieco poza kręgiem, po czym oznajmił, że nie widzi powodu, by jastrzębie i sokoły mieszały się do cudzych spraw.

- Nie ma jakichkolwiek niesnasek między nami a srokami. Nie wyrządzają nam żadnej szkody.

- Jak na razie - wtrącił Isidris. - Czy sądzisz jednak, że zadowolą się wymordowaniem jedynie małych ptaków? Im zależy na całkowitej dominacji, nadejdzie więc i wasza kolej. Bo chociaż każdy z sokołów jest z osobna potężnym, groźnym ptakiem, nie stanowicie liczebnie wielkiej siły.

- Isidris ma słuszość - odezwał się Darreal. - Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby wykorzystać zło.

- Jednak nadal uważam, że to nie nasza sprawa - sprzeciwił się młody sokół buńczucznie. - Ja przede wszystkim muszę myśleć o własnej rodzinie.

- Ale przecież tutaj chodzi o lepszą przyszłość dla twoich dzieci!
- wykrzyknął Kirrick.

- Dość tego! - zdecydował stanowczo Darreal. - Kirricku, możesz liczyć na nasze wsparcie. Przyjdziemy ci z pomocą, gdy nadejdzie czas.

Te słowa zostały entuzjastycznie przyjęte przez Zgromadzenie, po czym sokoły i jastrzębie udały się do swoich siedlisk. Ci, którzy pozostali, zaczęli omawiać plan dywersji, mający umożliwić Kirrickowi ucieczkę. Sroki i inne krukowate patrołowały wszystkie szlaki. Cóż, należy więc na ich użytek zorganizować odpowiedni spektakl. Tymczasem Darreal wezwał przed swoje oblicze sokoła, który przeciwstawił się większości Zgromadzenia.

- Rozumiem twoje obiekcje, Jesparze. My też nie decydujemy się na działanie z lekkim sercem. Ale słuszość jest po stronie Kirricka. Weź pod uwagę los ptaków, których śpiew już przestał rozbrzmiewać nad naszą doliną.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzucił Jespar kłótliwie. - Czy do pracy nie pojmujesz, Darrealu, że możemy żyć z krukowatymi w zgodzie i harmonii? One są nieszkodliwe.

- Powiedz to Kirrickowi! - zachnął się Darreal. - Drobne ptaki nie stanowiły żadnego zagrożenia dla srok. A jednak zostały wymordowane, bo takie było widzimisię okrutnego wodza. Któż jest w stanie stwierdzić, do czego posunie się ptak o tak wypaczonym umyśle i zdeprawowanej duszy? Musimy się bronić, póki jeszcze czas.

- Musimy się bronić, owszem - zgodził się młody sokół. - Ale powinniśmy się bronić tutaj, na naszym terenie, którego znajomość da nam znaczną przewagę nad przeciwnikiem.

- A gdzie ma przebiegać granica tego terytorium, Jesparze? Na linii rzeki? Na krańcu tej doliny? A może na skraju gniazda?

Z tymi słowami Darreal się odwrócił i przyłączył do Kirricka i Isidrisa, omawiających szczegóły wymknięcia się rudzika z potrzasku. Jespar został więc pozostawiony sam sobie i - wciąż nachmurzony - wkrótce się oddalił.

Chwilę później Isidris wyraził obawę, która również gnębiła kanię i rudzika.

- Nie ufam temu sokołowi. Myślę, że musimy zmienić swoje plany, Kirricku. Akcja dywersyjna zostanie przeprowadzona, by nie wzbudzać podejrzeń wroga na wypadek, gdyby poznał nasze zamiary. Niemniej, musimy obmyślić dla ciebie inny sposób ucieczki. I chyba wiem, jak to zrobić. Poczekajcie tu na mnie, wrócę niebawem. Muszę się spotkać z przyjaciółką z dawnych lat.

Powiedziawszy to, sowa śnieżna odleciała. Darreal natomiast czuł ściskanie w sercu za każdym razem, gdy sobie uświadamiał, że ktoś ze Zgromadzenia mógłby okazać się zdrajcą. Znał Jespara od lat, od czasu gdy sokół wyklął się z jaja. Jego ojciec był lojalnym członkiem Zgromadzenia i niejednokrotnie wykazał się wielką śmiałością sądów, bólem więc przejmowała Darreala myśl, że jego syn mógłby się dopuścić jakichś haniebnych czynów. Nie wolno jednak było sobie pozwolić na żadne ryzyko. Darreal przeprosił więc Kirricka i wzbił się w niebo, by odnaleźć Jespara.

Kiedy Darreal powrócił do domu, wokół panowały już ciemności. Zastał Kirricka i Isidrisa w doskonałych humorach, ze śmiechem omawiających szczegóły śmiałej ucieczki rudzika. Śmiech jednak szybko zamarł im w gardłach, gdy ujrzeli posępną minę i smutek w oczach kani. Darreal ponuro, łamiącym się głosem, opowiedział jak - podążając za Jesparem - dotarł do konfraterni srok, a potem z bezradnością i wielkim żalem obserwował zdradę sokoła. Poczekał, aż Jespar opuści konfraternię, i postanowił się z nim rozmówić.

Jespar przyznał, że poinformował Traskę i inne sroki o sposobie, w jaki Kirrick zamierza wymknąć się z potrzasku. Zarzekał się jednak, że nie zdradził planu Tomara. Na to nie pozwolił mu honor. Uznał jedynie, że jeżeli Kirrick zostanie pojmany, sokoły nie będą

musiały wyruszać na wschód, by stawić się na wezwanie puszczyka. W jego mniemaniu warto było poświęcić jednego, małego ptaka za cenę utrzymania pokoju z krukowatymi.

Darreal bez wahania zgładził zdrajcę, a ból po egzekucji tylko nieznacznie łagodziła myśl, że dzięki temu misja Kirricka nie zostanie skazana na niepowodzenie.

Następny dzień powitał wszystkich przepiękną pogodą - na idealnie czystym niebie nie majaczył ani jeden obłok - choć Kirrick życzyłby sobie raczej innej aury, nisko bowiem wiszące, ciemne chmury stanowiłyby dodatkową osłonę przed wścibskimi oczami. Tak czy owak w rudziku kłębiły się różne emocje. Czuł niepokój przed kolejną daleką wyprawą. Był radośnie podniecony i przerażony zarazem. Wierzył w powodzenie planu Isidrisa, a jednocześnie wiedział, co by go spotkało, gdyby wpadł w zasadzkę przygotowaną przez Traskę. Kiedy nadeszła chwila pożegnania, Kirricka ogarnął smutek. W tych górzystych stronach spotkał prawdziwych przyjaciół, wśród których czuł się dobrze i bezpiecznie. Gdzieś w głębi serca miał wielką ochotę przekazać komuś innemu ciężar misji, a samemu pozostać z Darrealem i jego rodziną. Jednakże zdawał sobie doskonale sprawę, że obecne poczucie bezpieczeństwa jest czystą iluzją. Jedyłą nadzieją na przetrwanie wszystkich gatunków ptaków było pomyślne wprowadzenie w życie zamierzeń Tomara.

Z zamyślenia wyrwał Kirricka Darreal, który postanowił przypomnieć rudzikowi o względach praktycznych.

- Przed tobą długa i niebezpieczna podróż. Musisz się więc dobrze posilić, a nie bujać myślami w obłokach. Potrzeba ci wiele sił, Kirricku. Nigdy o tym nie zapominaj.

Tak więc niemal cały ranek rudzik spędził na napychaniu brzucha. Dzięki temu przestał deliberować nad trudami czekającej go wyprawy.

A kiedy słońce sięgało zenitu, u boku Kirricka zjawił się Isidris.

- Jesteś gotowy do drogi? - zapytał.
- Tak - odparł dzielnie rudzik.
- A więc czas, byś poznał moją przyjaciółkę Estelle. Opowiedziałem jej wczoraj o tobie i ona nie może się doczekać, żeby cię poznać. Spotkamy się z nią niedaleko stąd. Musimy się jednak spieszyć, bo czas nagli. Sokoły są niemal gotowe do swojej akcji.

Kiedy nadeszło południe, Darreal wraz z grupą innych jastrzębi i sokołów wzbił się w niebo i wspólnie rozpoczęli dziwny, spiralny taniec na tle ostrego błękitu nieba. Wspólnie unosili się i opadali, by za chwilę powtórzyć te same rytualne ruchy. Tym razem jednak przyłączyły się do nich jeszcze dwa inne ptaki. Symetria ich tańca była porywająca, wiele więc stworzeń wbijało wzrok w niebo, by z podziwem patrzeć na popisy drapieżników.

Chwilę później, niewiadomo skąd, nadleciały cztery inne ptaki, tym razem jednak wniosły do choreografii chaos, nie harmonię. Rzucały się z ostrym krzykiem i wysuniętymi szponami na Darreala i jego kompanów. Tylko błyskawiczne reakcje pozwalały sokołom uniknąć śmierci. I nie minęło wiele czasu, a Darreal z przyjaciółmi rzucił się na atakujących i nagle doszło do widowiskowej batalii.

Jedynie sroki pozostały obojętne na rozgrywające się na niebie widowisko. Dzięki Jesparowi poznały plan sokołów, Traska zaś przykazał im, by nie dały się zwieść i bacznie wypatrywały rudzika. Trudno było jednak nie zwracać uwagi na rozgrywający się nieopodal spektakl. Dla wszystkich obserwatorów walka wydawała się jak najbardziej rzeczywista. Zwinność i szybkość sokołów sprawiały, że potyczki wyglądały na autentyczną walkę na śmierć i życie, tym bardziej że z każdą chwilą coraz więcej ptaków przyłączało się do

bitwy. Teraz już ponad dwadzieścia drapieżników biło się o dominację w powietrzu.

Aż w końcu, na sekretny znak Darreala, wszystkie sokoły przebrały pozorowaną batalię i bez wahania rzuciły się na wypatrzone wcześniej ofiary spośród krukowatych. Ich atak był błyskawiczny i już za pierwszym uderzeniem spowodował wielkie spustoszenie. Krew i pióra srok pokryły gęsto ziemię poniżej pola walki.

Traska kłął szpetnie pod nosem. Coś podobnego nigdy nie powinno się wydarzyć. Jespar nie powiadomił go o planowanym ataku na krukowate, a tymczasem sokoły i jastrzębie najwyraźniej postanowiły krwawo się rozprawić z kordonem szpiegów. Na wszelki wypadek przemyślny samiec sroki wycofał się na bezpieczne pozycje i z dalszej odległości obserwował masakrę swoich pobratymców, jednocześnie cały czas wypatrując samotnego rudzika. Kiedy jednak otrząsnął się z pierwszego szoku, zaczął przegrupowywać swoje siły i ponownie ustawiać kordon. Gdy już minął moment zaskoczenia, Traska wiedział, że liczebnie ma zdecydowaną przewagę nad sokołami. Drapieżniki też musiały zdawać sobie z tego sprawę, bo - po jeszcze kilku atakach - rozerwały szyk i co do jednego zniknęły z pola widzenia.

Traska triumfował. Sokoły i jastrzębie nie osiągnęły zamierzonego celu. Oczywiście, zginęło wiele srok, ale przecież ich życie nie miało większej wartości. Poza tym, wkrótce zostaną pomszczone. Bo naturalnie tak bezczelnej napaści nie można puścić w niepamięć. Rewanż jednak może poczekać. To ostatecznie nie było największym zmartwieniem Traski, ale miejscowych konfraterni. Dla okrutnej sroki teraz liczyło się tylko jedno - Kirrick nie może uciec.

Sunąc majestatycznie po rzece, łabędzica od niechcienia rzucała okiem na bitwę toczącą się na wysokościach, nie ulegało jednak

wątpliwości, że nie jest szczególnie zainteresowana rozgrywką dra-
pieżników. Płynąc, wyginała skrzydła w wysoki łuk nad tułowiem,
ochraniając w ten sposób maleńkie łabędziątka podróżujące na jej
grzbiecie. Łabędzica od czasu do czasu wykręcała wdzięcznie smu-
kłą szyję, co dla postronnego oka mogło się wydawać gestem piesz-
czoty wobec potomstwa. Tak naprawdę jednak odchyłała się do tyłu,
by łatwiej jej było prowadzić rozmowę.

- Wszystko w porządku, Kirricku?

- Jak najlepszym. Dziękuję, Estelle - odparł rudzik, odskakując
nieznacznie, by uniknąć zderzenia z błoniastą łapą jednego z małych
łabędzi.

- Nie wychylaj się tylko - ostrzegła Estelle. - Jeszcze wciąż grozi
ci śmierć. Powiem ci, gdy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Rudzik wcisnął się więc w miękki, biały puch, tuląc się do piskląt
łabędzicy, która tymczasem płynęła dostojnie w dół rzeki, śledzona
jedynie przez jedną parę oczu. Wisząc bowiem wysoko na niebie,
Isidris pilnie śledził drogę ucieczki Kirricka. Cierpliwie unosił się w
przestworzach, bacząc, by żadna ze srok nie zaatakowała rudzika. Na
nic podobnego jednak się nie zanościło. Kordon Traski nie wykazy-
wał najmniejszego zainteresowania łabędzicą sunącą powoli z bie-
giem rzeki.

I w taki oto sposób rudzik wymknął się z obławy. Przez wiele ki-
lometrów chronił się w puchu na grzbiecie Estelle, i wychylił się
spoza skrzydeł łabędzicy dopiero, gdy dotarli do szerokiego ujścia
rzeki.

- Nadszedł czas naszego rozstania, Kirricku - powiedziała mięk-
ko Estelle. - W tym miejscu nasze drogi muszą się rozejść. Na szczę-
ście od dłuższego czasu nie dostrzegłam ani jednej sroki, czy innego
krurowatego. Myślę więc, że jesteś bezpieczny.

- Jak mógłbym ci się odwdziżyć za to, co dla mnie zrobiłaś? - spytał Kirrick.

- Doprowadzając swoją misję do szczęśliwego końca i zostając zbawcą wszystkich ptaków w Birddom - odrzekła Estelle. - Ruszaj więc żwawo przed siebie i niechaj nasz Stwórca dodaje sił twoim skrzydłom.

6.

Tomar chorował od dłuższego czasu i czuł się bardzo osłabiony. Od kilku dni nie miał nic w dziobie, bo był zbyt wycieńczony i spowolniony, żeby upolować cokolwiek godnego uwagi. W końcu więc głód wypędził go w okolice ludzkich pól i farm. Puszczyk wiedział, że wiele drobnych ssaków łapało się tam we wnyki i mogło dzięki temu stanowić łatwy łup. Taki sposób pozyskiwania posiłku nie napawał go dumą. Poza tym Tomar zdawał sobie sprawę, że naraża się na poważne ryzyko, decydując się na korzystanie z pułapek człowieka - będzie musiał się posilać na ziemi, bez możliwości zanieśienia zdobyczy do gniazda położonego wysoko na drzewie. Nie miał już jednak innego wyjścia.

Szybował więc bezszelestnie tuż poniżej linii drzew, żeby jego sylwetka nie odcinała się wyraźnie od granatu nieba. Nie miał bowiem zamiaru zginąć od kuli wystrzelonej ze sztucera jakiegoś farmera. Lecąc, pilnie przeszukiwał wzrokiem grunt poniżej i wprost nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, gdy ujrzał królika leżącego w płytkim żlebie na skraju pola. Tomar nie spostrzegł śladu żadnej pułapki, ale królik najwyraźniej znajdował się w stanie agonii - szarpały nim konwulsje, a jego szyja wyginała się pod nienaturalnym kątem.

Puszczyk wylądował obok nieszczęsnego, konającego zwierzęcia. Gdy drgawki nieco ustąpiły, królik odwrócił się w stronę dużego ptaka i spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie tykaj mnie! - wykrztusił. - Jeżeli spróbujesz mnie zjeść, najprawdopodobniej również umrzesz!

Ledwo królik wypowiedział te słowa, kolejny spazm przebiegł przez jego ciało.

- Zlituj się nade mną i zadaj mi szybką śmierć - wydyszał błagalnie po chwili. - Pamiętaj tylko, żeby się mną nie żywić.

Tomar pojął w lot, co się dzieje. Jednym, potężnym uderzeniem dzioba przetrącił kark biednemu, otrutemu królikowi, a potem przysiadł tuż przy jego zwłokach i zamyślił się tak głęboko, że aż zapomniał o głodzie. Po chwili zaś wpadł na niezwykle błyskotliwy pomysł, pociągający za sobą rozliczne i wspaniałe możliwości. Trucizna!

Podczas gdy puszczyk siedział pogrążony w rozważaniach, cała armia rozmaitych owadów przypuściła inwazję na truchło ledwo co zdechłego zwierzęcia. Mrówki i chrząszcze dziarsko atakowały każdy otwór ciała królika, by pożreć go od wewnątrz. Obecność puszczyka gwarantowała im, że żaden padlinożerca nie pojawi się w pobliżu w najbliższym czasie, zajęły się więc niepokonanym ucztowaniem. W końcu Tomar otrząsnął się z zamyślenia i wbił wzrok w małe istoty rozprawiające się ze zwłokami królika.

Po chwili nieomal wybuchnął gromkim śmiechem. Przecież to było dziecinnie proste! W odruchu radosnego uniesienia wzbił się w górę, wywinął dwa kozły i wykręcił efektowną pętlę w powietrzu, po czym - ciężko sapiąc - wylądował na pobliskim drzewie.

- Stary głupcze! - napomniał się w głos. - Ledwo ci sił brakuje, żeby dotrzeć do następnego dnia, a ty je marnotrawisz na bezsensowne popisy!

Niemniej nadal rozpieiała go niezmierna radość. Teraz będzie musiał tylko szybko wprowadzić drobne poprawki do planu, a szansa pokonania srok wielokrotnie wzrośnie.

Gdy zapadł zmrok, Traska nabrał przekonania, że wypadki nie potoczyły się zgodnie z jego oczekiwaniami. Chociaż wydawało mu się, że dzierży wszystkie atuty, niespodziewanie okazało się, że komuś innemu przypadła w udziale wygrywająca karta. Z minuty na minutę był coraz bardziej pewien, że Kirrick wymknął się z pierścienia obławy. I chociaż nie pojmował, w jaki sposób przekłębemu ruzdzikowi mogła się udać ta sztuka, szósty zmysł podpowiadał, że tak się właśnie stało.

Jak zwykle wyładował swoją wściekłość na nieszczęśnikach, którzy fatalnym zbiegiem okoliczności znaleźli się w jego pobliżu, po czym przysiadł w bezruchu i zamyślił się głęboko. Nie ulegało wątpliwości, że będzie musiał na nowo podjąć pościg bez najmniejszej zwłoki. Zanim jednak wyruszył w pogoń, wezwał do siebie tutejszego przywódcę srok i nakazał, by przez kolejnych pięć dni jego pobratymcy pilnie patrolowali wszystkie szlaki. Krukowate z okolicy wzburzył ów rozkaz, bo niczego teraz tak nie pragnęły jak natychmiastowego odwetu na sokołach i jastrzębiach. Nikt jednak się nie ośmielił otwarcie sprzeciwić Trasce, ustalono więc, że sroki, gawrony i ich kuzyni nadal będą pełnić straż. Traska zaś, usatysfakcjonowany rozwojem wypadków, zaczął rozważać, co sam powinien uczynić.

Mógł wrócić na południowy wschód, w okolice Tanglewood, w nadziei, że Kirrick się tam zjawi, by zameldować Tomarowi o swoich dokonaniach. Jakiś cichy głos podpowiadał jednak Trasce, że ruzdzik nie postąpi w tak przewidywalny sposób. Jespar zdradził, że sokoły i jastrzębie podejmą dywersyjną akcję, by umożliwić Kirrickowi przedostanie się na północ. Teraz jednak, gdy wydarzenia

przybrały niespodziewanie dramatyczny i krwawy obrót, Traska nie był już pewien, czy mógł wierzyć w słowa młodego sokoła wędrownego. Oczywiście, na wszelki wypadek wysłał liczną kohortę srok, by strzegły nieba na kierunku północnym, żaden jednak z jego szpiegów nie dostrzegł niczego choć w najmniejszym stopniu przypominającego rudzika. Co gorsza, atak sokołów skupił się na centralnej sekcji kordonu, nie można więc było wykluczyć, że w czasie walki rudzik niepostrzeżenie zdołał się wymknąć trasą wiodącą na południowy wschód, ku domostwu Tomara.

Traska coraz intensywniej wysilał umysł, i coraz wyraźniej dostrzegał zamiary wroga. Zrozumiał, że rudzik - mając świadomość pułapki zastawionej przez sroki - postanowił jednak raz jeszcze rzucić mu wyzwanie i wyruszyć w następną podróż, by wypełnić jakieś kolejne zadanie wyznaczone mu przez Tomara. Kiedy Jespar opowiadał, że rudzik skieruje się ku północy, Traska był przekonany, iż Kirrick po pewnym czasie zatoczy szeroki łuk, by ruszyć ku Tanglewood. Teraz jednak, gdy głębiej zadumał się nad problemem, doszedł do wniosku, że rudzik rzeczywiście zmierzał na północ. A to z kolei oznaczało, że sprawy przedstawiały się o wiele poważniej, niż się z początku wydawało. Im bardziej zagęszczała się intryga - a to zdawała się potwierdzać druga wyprawa Kirricka - tym większy strach narastał w umyśle Traski. Plan Tomara mógł się okazać śmiertelnie groźny dla krukowatych i tylko on sam, Traska - mógł zapobiec wcieleniu owego planu w życie.

- Za wszelką cenę trzeba powstrzymać Kirricka!

Tomar zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu stanąć oko w oko z wielkim niebezpieczeństwem. Stary puszczyk wiedział więcej o ludziach, niż jakikolwiek inny ptak żyjący obecnie w Birddom, miał więc świadomość, że najmniejsze zagrożenie stanowią młode okazy tego groźnego gatunku ssaków. Przez wiele godzin puszczyk pozostawał w pobliżu farmy, odpoczywając i bacznie lustrując teren.

Chociaż głód skręcał mu kiszki, dzielnie trwał na swoim posterunku. Nie wolno mu było przepuścić tak dogodnej okazji. I w końcu jego cierpliwość przyniosła pożądane rezultaty. Tomar aż zeszywniał ze strachu i podniecenia, gdy ujrzał młodego chłopca przemierzającego pole. Najwyraźniej wyrostek zamierzał sprawdzić zastawione w okolicy wnyki.

Stary puszczyk sfrunął z pobliskiego drzewa na ziemię i wylądował na samym skraju zaoranego gruntu. Gdy tylko chłopiec się do niego zbliżył, Tomar zaczął niemrawo przemieszczać się w stronę lasu, bezradnie powłócząc za sobą skrzydłami. Co rusz udawał, że się potyka i próbuje wzbic w górę, aż w końcu swoim zachowaniem przykuł uwagę chłopca. Dziecko podeszło bliżej, i wówczas puszczyk zwrócił w jego stronę głowę, a jego wielkie oczy wyrażały strach i cierpienie.

Chłopiec podbiegł i zaczął przemawiać do Tomara kojącym tonem:

- Zdaje się, że jesteś bardzo wyczerpany, mój staruszk. No, już, już. Nie bój się. Nie zrobię ci nic złego.

Z niespodziewaną delikatnością syn farmera uniósł w ramionach puszczyka, posapując przy tym, zdumiony sporą wagą ptaka. Tomar pozostał idealnie nieruchomy w ramionach chłopca, gotowy jednak, by w wypadku zagrożenia natychmiast rozwinąć swoje duże skrzydła i wzbic się w niebo, ku wolności. Niemniej na razie czuł się bezpieczny w towarzystwie dziecka.

Chłopiec przeszedł z puszczykiem przez długie pole i skierował się w stronę zabudowań gospodarczych, chwilowo zapominając o sprawdzeniu wnyków. Przystanął przy niewielkiej szopie, otworzył szerzej nogą uchylone drzwi, potem popchnął je ramieniem i wszedł do mrocznego wnętrza, by delikatnie postawić Tomara na szerokiej ławie.

- Nie ruszaj się stąd - zakomenderował życzliwym, miękkim głosem. - Za chwilę przyniosę ci coś do jedzenia.

Tomar w żadnym razie nie zamierzał się ruszać. Nie mógł wprost uwierzyć we własne szczęście - jego plan rozwijał się nadspodziewanie pomyślnie. Chłopiec wkrótce powrócił, po czym podsunął pod dziób puszczyka rozpaczliwie wijącą się mysz, którą trzymał za ogon. Tomar żarłocznie pochwycił młodego gryzonia i przełknął z uczuciem niezmierniej satysfakcji. Dziecko sprawiało wrażenie bardzo zadowolonego i zaraz też podsunęło Tomarowi kolejny kuszący kąsek. Puszczyk rozwarł szeroko dziób i pozwolił, by chłopiec nakarmił go jeszcze jedną myszą, po czym zahukał w wyrazie podziękowania.

- Najadłeś się? To dobrze. Teraz odpocznij, póki nie poczujesz się lepiej. Twoje skrzydła z pewnością szybko się zagoją.

Gdy tylko chłopak wyszedł z szopy, Tomar zaczął się pilnie rozglądać dookoła. Jak zwykle w podobnych pomieszczeniach, znajdowały się tu rozmaite narzędzia, potrzebne w różnych porach roku do prac na farmie. Puszczyk zaczął szybkimi podskokami przesuwając się wzdłuż ławy, bystrym wzrokiem omiatając z gruba ciosane półki przybite hufnalami do tylnej ściany szopy. Stały na nich pojemniki rozmaitych kształtów i wielkości - słoiki, puszkki, butelki - wszystkie oklejone jaskrawymi etykietami, opisującymi ich zawartość. Na starszych pojemnikach - których etykiety swego czasu odpadły lub wyblakły - widniały naklejki wykonane własnoręcznie przez farmera, starannie wykaligrafowane, by wykluczyć pomyłkę w ich użyciu.

Jednak wszystkie te wielobarwne etykiety na nic się zdały puszczykowi, który przecież nie umiał czytać. Nie miał nawet pojęcia, co oznacza pomarańczowy kwadrat, przekreślony czarnym krzyżykiem, lub obrazek czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami, umieszczony na puszkach i butelkach. Tomar załamany wpatrywał się w stojące rzędem pojemniki. W końcu potrząsnął smętnie głową i mruknął pod nosem:

- A więc, panie mądrało, sprawa wcale nie jest taka prosta, jak

się z początku zdawało. Rusz więc dobrze głową, starcze. Musisz znaleźć rozwiązanie!

Podczas gdy Tomar deliberował nad swoim problemem, syn farmera siedział w rodzinnej kuchni i zjadał kolację. Kiedy zaspokoił głód - a jak wszystkie dzieci dorastające na wsi odznaczał się dobrym apetytem - wymknął się cichcem z domu, nie mogąc się już doczekać, by ponownie popatrzeć na puszczyka. Idąc przez podwórkę, przypomniał sobie jednak, że nie zajął się do tej pory wnykami.

Wpadł do szopy, gdzie Tomar pozdrowił go uprzejmym pohukiwaniem. W odpowiedzi chłopiec wyciągnął ostrożnie dłoń i delikatnie pogładził pióra puszczyka. Zaraz jednak zajął się swoimi obowiązkami i zaczął gromadzić przedmioty niezbędne do sprawdzenia starych oraz założenia nowych wnyków i pułapek. Chwytał kilka drucianych pętli, a potem z lodówki wyjął trochę jarzyn i podrobów na przynętę. W końcu raz jeszcze podszedł do miejsca, w którym siedział Tomar. Stał na palcach i z pobliskiej półki zdjął niewielką buteleczkę. Puszczyk wiedział, że musi zadziałać szybko, póki dziecko znajduje się w pobliżu. Wskoczył więc na ramię chłopca i delikatnie zaczął skubać go w ucho.

- Chcesz pójść za mną? Hm, rzeczywiście siedzenie w tej szopie musi być dosyć nudne. W porządku. A więc ruszajmy.

Chwilę później chłopiec zdecydowanym krokiem skierował się ku polom. Był silnym wyrostkiem, niemniej puszczyk bardzo ciążył mu na ramieniu. Tomar natychmiast to wyczuł i przesunął się nieznacznie, po czym delikatnie zamachał skrzydłami, żeby się nie opierać na chłopcu całym ciężarem.

W taki sposób syn farmera i duży ptak szczęśliwie dotarli do krańców gospodarstwa. Tam chłopiec delikatnie postawił Tomara na niewielkim pieńku, a sam zajął się siidłami. Najpierw wyjął z nich martwą wiewiórkę, której sztywne zwłoki wrzucił do worka. Potem zaś umieścił w siidłach kawałek soczystej rzepy na przynętę i skropił

kilkoma kroplami trucizny z przyniesionej buteleczki.

Tomar przyglądał się temu bardzo uważnie, nie umknęło mu więc, jak niewiele siły potrzebował chłopiec, by odkorkować, a potem z powrotem zamknąć buteleczkę. Chwilę później dziecko podeszło do pieńka i, radośnie pogwizdując pod nosem, ponownie posadziło sobie puszczyka na ramieniu, by ruszyć ku kolejnej pułapce. W następnych sidłach nie było ani przynęty, ani ofiary. A więc jakieś niezszcześnie zwierzę uniknęło przytrzaśnięcia, za to leżało zapewne gdzieś w poszyciu leśnym, wijąc się w agonii po zjedzeniu trucizny.

Chłopiec zaklął cicho. Był praktycznym dzieckiem, zdawał więc sobie sprawę, jak ważna jest ochrona zwierząt gospodarskich i pól przed szkodnikami. Miał jednak również dobre serce, stąd przykro mu było, że niekiedy jego działania przysparzały żywym stworzeniom cierpień. Wolał, gdy umierały szybko i od razu. Niemniej ponownie wyjął buteleczkę i postawił obok siebie na ziemi, sam natomiast sięgnął po kolejną przynętę.

W tym samym momencie Tomar ruszył do działania. Chwycił pojemniczek w szpony i machając swoimi wielkimi skrzydłami - nagle cudownie wygojonymi - wzbił się w powietrze, szybując ku linii drzew. Chłopiec z szeroko rozwartymi oczami i ustami rozdziawionymi ze zdumienia, spoglądał na niknącą sylwetkę sowy. Tomar obejrzał się jeszcze raz za siebie, po chwili jednak chłopiec zniknął mu z oczu, puszczyk zaś skierował się w stronę domu.

Przez wiele dni i nocy Kirrick fruwał ku północy. Obecna podróż przejmowała go jeszcze większym strachem niż poprzednia wyprawa. Ostatecznie jastrzębie i sokoły każdego mogły wprawić w trwożne onieśmienie, cóż więc dopiero mówić o orłach? Ale Kirrick nie miał wyjścia. Przyszłość Birddom spoczywała na jego

skrzydłach. Ta druga podróż była długa i wyczerpująca - stanowiła niezwykle test dla siły i wytrzymałości rudzika. Tym bardziej że konieczność ucieczki przed Traską nie pozwalała na wypoczynek. W końcu do lotu popychała Kirricka jedynie świadomość, jak wiele zależy od powodzenia misji. W drodze przeżył też wiele przygód i niebezpieczeństw (a relacje o nich sprawiły, że ten dzielny ptaszek szybko przeszedł do legendy), i wiele razy zaglądał w oczy śmierci.

Niewiele brakowało, a nigdy nie dotarłby do miejsca przeznaczenia, gdyż - mniej więcej w połowie drogi - zapadł poważnie na zdrowiu. Infekcja była gwałtowna i bardzo zjadliwa - Kirrick miał kłopoty z oddychaniem i ostatecznie nie mógł wzbić się do lotu. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że coś jest z nim nie w porządku po krótkim popasie. Kiedy - napełniwszy brzuch i zaspokoiwszy pragnienie - wleciał w górę, poczuł, że skrzydła ma jak z ołowiu i nie może nabrać wysokości. Wszystko zaczęło mu się rozplýwać przed oczami, a pierś przeszywał ostry ból. Kirrick z początku starał się dzielnie ignorować słabość, szybko jednak się zorientował, że już nie zdoła daleko zalecieć.

Na szczęście w owym czasie przefruwał nad gęsto zalesionym terenem, bez trudu więc znalazł odpowiednie miejsce do lądowania i odpoczynku. Zamierzał tylko odzyskać oddech, a potem poszukać jakiejś kryjówki, gdzie mógłby spokojnie przespać chorobę. Jednak infekcja rozwijała się w tak szybkim tempie, że nie dany mu był taki luksus. Nie minęło kilka minut, a Kirrick nie mógł już się podnieść z ziemi. Przez dwa kolejne dni walczył o życie. Leżał bezradny, szarpany bólem i dręczony okropnymi sennymi marami.

W takim stanie był łatwym łupem dla każdego drapieznika, bo okrywała go jedynie cienka warstwa zbutwiałych liści, które zdołał na siebie narzucić, zanim choroba zmoęła go na dobre. O dziwo

jednak, infekcja niszcząca go od środka, stała się jednocześnie jego wybawieniem. W gorączce bowiem Kirrick zaczął wydawać z siebie przedziwne dźwięki - głośne, wysokie, niosące się upiornym echem po całym lesie. Były tak niesamowite i niepodobne do jakichkolwiek krzyków wydawanych normalnie przez ptaki, że na ich odgłos zwierzętom jeżyła się sierść na karku, w rezultacie czego omijały miejsce pobytu Kirricka szerokim łukiem.

Rudzik powoli dochodził do siebie, ale w końcu udało mu się przewyciężyć koszmarną chorobę. Nie wiedział, ile dni stracił zmorzony słabością, ale gdy tylko wyzdrowiał, postanowił przede wszystkim dobrze się najeść i nabrać sił przed dalszą podróżą. Obawiał się, że zwłoka może narazić na szwank plan Tomara, wiedział jednak, że o ile się nie pokrzepi, niewiele zdziała. Cały czas miał świadomość, że jest ścigany, frunął więc rozglądając się pilnie dokoła i unikał kontaktu z innymi stworzeniami, żeby przypadkiem nie zdradziły trasy jego podróży. Kirrick już poznał poczynania wroga i nie chciał kiedykolwiek jeszcze znaleźć się w pobliżu bezwzględnej Traski. Żaden ptak jednak nie może stać się niewidzialny, toteż i Kirrick nie zatarł za sobą tropów tak dokładnie, by ich nie mógł odczytać sprawny, przemyślny łowca. A Traska - nie dość, że utalentowany w podchodach - był na dodatek wyjątkowo zawzięty.

Chytry Traska nie podjął natychmiastowej pogoni za Kirrickiem, ale zaszył się w samotności, by spokojnie przemyśleć rozwój wydarzeń. Wiedział, w jakim kierunku udał się rudzik i - mając świadomość, że z jakiegoś powodu Kirrick dążył do spotkania z sokołami - uznał, że kolejna misja małego ptaka potoczy się według podobnego scenariusza. A więc, z kim tym razem rudzik zamierzał się skontaktować? Tomar bez wątpienia zaczął poszukiwać sojuszników i to wśród największych i najpotężniejszych skrzydlatych mieszkańców

tego kraju. Jastrzębie i sokoły były - każdy z osobna - najdoskonalszymi maszynami do zabijania zaprojektowanymi przez Stwórcę. Liczebnie nie przedstawiały jednak imponującej siły, nie mogły więc bezpośrednio zagrozić krukowatym. Co by się jednak stało, gdyby...?

Traska aż się zatchnął, kiedy pociągnął dalej swoją myśl, kierując się logicznymi przesłankami. Wszystko wskazywało, że rudzik wybiera się na spotkanie z orłami! Gdyby do tego doszło, wszystkie dotychczasowe osiągnięcia sroka zostałyby obrócone wniwecz. Oczywiście, jeżeli Kirrick dopełniłby misji. Zdrowy rozsądek podpowiadał, by powiadomić o wszystkim Slyekina i ostrzec go przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Ale wówczas ucierpiałby prestiż Traski, a co gorsze - w tym wypadku „ostrzeżony”, wcale nie musiałoby oznaczać „zabezpieczony”.

Ostatecznie jednak przeważała niebotyczna próżność podłego samca sroki - nie ma mowy, by go przechytrył i pokonał jakiś pospolity rudzik. O, nie! Traska wiedział już, dokąd i w jakim celu podąży Kirrick, a więc uznał, że tym razem bez trudu zdoła pokrzyżować zamiary tego pokurcza. Oczywiście, gdyby oba ptaki wyruszyły jednocześnie, samiec sroki bez trudu prześcignąłby małego rudzika, teraz jednak musiał go odnaleźć na rozległych przestrzeniach nieznannej krainy. Szansy powodzenia musiał więc upatrywać w inteligentnym zastawieniu kolejnej pułapki. A gdy pojął, co powinien uczynić, posilił się pospiesznie i udał w pościg za Kirrickiem.

Tomar, w pełni zadowolony, rozsiadł się wygodnie w gnieździe w dziupli krzywej jodły. Był dumny z siebie i własnych osiągnięć. Żałował jedynie, że nie ma u boku Kirricka, by mu opowiedzieć o swoich ostatnich posunięciach. I gdy tylko zaświtała mu ta myśl, przed oczami stanął mu rudzik i niebezpieczeństwa, którym zapewne mały

ptaszek musiał stawić czoło. Puszczyk ciężko przeżywał brak wieści od Kirricka, wierzył jednak głęboko, że trafnie wybrał posłańca i że ruzdzik go nie zawiedzie.

Jemu więc też nie wolno było zawieść ruzdzika. Nowy, wspaniały koncept znacznie zwiększał szanse powodzenia pierwotnego planu, wymagał jednak drobiazgowego dopracowania. Tomar zdawał sobie sprawę, że musi poświęcić owemu pomysłowi więcej czasu, a potem zawrzeć niezwykle, wręcz nie do pomyślenia sojusz.

Ostatecznie stary puszczyk strawił całą noc na rozważaniach - przede wszystkim nad tym, co mógłby zaproponować w zamian za pomoc w walce z wrogiem. Tuż przed tym, zanim mdły brzask rozjaśnił niebo, Tomar pokiwał głową z zadowoleniem i dopiero wówczas pozwolił sobie na chwilę drzemki. Wreszcie wykoncytował, co powinien zaoferować owadom za ich wsparcie.

7.

Kirrick leciał przed siebie jak strzała, niekiedy zerkając na rozpościerający się poniżej krajobraz - od jakiegoś czasu wręcz zapierający dech w piersiach z powodu niezwykłej piękności. Gęsto zalesione doliny ustąpiły miejsca wybujałym, skalistym wzgórzom. Ich podnóża pokrywały gęste, liliowo-brunatne wrzosowiska okalające bystre potoki i migotliwe wodne oczka. Na ich powierzchni tańczyły żwawo promienie słońca, tu i ówdzie zaś strumyki opadały z progów skalnych wysoką kaskadą, zasilającą większe roztoki, osiagające w dalszym biegu niespotykane głębie.

Kirrick uświadomił sobie, że zbliża się do celu podróży, a im bliżej się go znajdował, tym bardziej uczucie strachu ustępowało euforii i niecierpliwemu wyczekiwaniu przygody. Orły! Kirrick nadal był pod wrażeniem osobowości Darreal, Tomara i Isidrisa. Teraz jednak miał spotkać kogoś, kto śmiało mógłby się tytułować królem wszystkich ptaków. I teraz on, skromny rudzik, miał przekonać do działania tak majestatycznego ptaka! Ogarnęło go zwątpienie. Jednak wierzył w mądrość planu starego puszczyka. Ostatecznie mógł ją już raz zrewidować w konfrontacji z jastrzębiami i sokołami, był więc przekonany, że i teraz - przy odrobinie szczęścia - spotka się z równie przychylnym przyjęciem.

Nagle, niespodziewanie błysk cynobru przykuł uwagę Kirricka. Rudzik zamarł w locie i z mocno bijącym sercem zwrócił głowę w stronę niezwyklej, podniecającej wizji. Z pewnością nie był to żaden miraż! Ani wytwór wybujałej wyobraźni!

Aha! Znów ujrzał ten błysk nad janowcem - poniżej, po prawej stronie. Bez wątpienia znajdowała się tam precudnej urody samiczka rudzika! Wbrew wszystkim wcześniejszym znakom na niebie i ziemi! Kirrick już bowiem zdążył pogodzić się z myślą, że pozostał ostatnim okazem swego gatunku w tym kraju - pokonał przecież tak wielki szmat drogi i aż do tej pory nie widział ani jednego pobratymca. A tymczasem w tych odległych okolicach natknął się na przepiękną damę. Serce podskoczyło mu z radości i natychmiast sfrunął w stronę miedzianopiórej panny, w locie wyśpiewując pieśń powitania. I niemal w tym samym momencie zawył z bólu, gdy jego nogę drasnęła kulka śrutu. Miał już teraz tylko świadomość, że opada bezwładnie w dół i, koziołkując, zbliża się ku ziemi.

Gdy się ocknął, pierwszą rzeczą jaką ujrzał, było własne odbicie w czarnym zwierciadle ptasiego oka. Z powodu bólu, wiele wysiłku go kosztowało, by się skoncentrować, kiedy jednak udało mu się ta sztuka, zobaczył, że ma przed sobą piękne oblicze rudzikowej samiczki. Jej mina od wyrazu zatroskania i niepokoju przeszła do szczerzej radości, po upewnieniu się, że Kirrick w pełni odzyskał świadomość. A kiedy się odezwała, słodycz jej głosu sprawiła, że w sercu Kirricka natychmiast rozkwitła miłość.

- O! A więc doszedłeś do siebie. Przez długi czas tkwiłeś w głębokim omdleniu. Bałam się nawet, że już cię straciłam na zawsze. Widzę jednak, że niełatwo się poddajesz.

- Jakże ci na imię? - spytał rudzik słabym głosem.

- Nazywają mnie Portia i do tej pory sądziłam, że jestem jedynym rudzikiem pozostałym w Birddom. I gdyby ów mały człowiek osiągnął zamierzony cel, tak właśnie by się stało. Prawdę mówiąc,

tak mnie rozjuszył ów wyrostek, że gotowa byłabym wydziobać mu oczy!

Kirrick wybuchnął radosnym śmiechem.

- Ja natomiast nazywam się Kirrick, i nie mam nic przeciwko temu, żebyś w moim imieniu wzięła odwet na owej złośliwej latorośli ludzkiej.

Portia tymczasem spojrzała czule na zranionego rudzika.

- Twój akcent brzmi dziwnie dla moich uszu. Najwyraźniej nie pochodzisz z naszych okolic. Co więc cię przyniosło w te strony?

- Sława twojej piękności! - rzucił żartobliwie Kirrick, a Portia zarumieniała się aż po samą szyję. - Poważnie jednak mówiąc, to długa i zawiła historia.

- Cóż, z tą zranioną nogą i tak przez jakiś czas nie zdołasz się ruszyć - zauważyła Portia. - Poza tym, zawsze mnie pasjonowały ciekawe opowieści.

Rezolutnie przekrzywiła łepkę i cierpliwie zaczęła się wsłuchiwać w słowa Kirricka. Relacja z jego peregrynacji to fascynowała ją, to znów przerażała lub oburzała. Kirrick tymczasem, im głębiej spozierał w te piękne oczy, tym bardziej zapominał o rwącym bólu w nodze. W końcu, gdy zbliżał się do epilogu, w oczach Portii pojawiły się łzy.

- Jak mogłabym ci pomóc? - spytała po chwili.

- Cóż, przede wszystkim mogłabyś mi przynieść coś do jedzenia!

W odpowiedzi Portia podrapała go pieszczotliwie pazurkiem za uchem, po czym poderwała się w powietrze, by poszukać jakichś smakołyków. Gdy zaś tylko się oddaliła, cierpienie powróciło ze zdwojoną siłą i Kirrick - z trudem przezwyciężając mdłości - spojrzał w końcu na swoją zranioną łapkę. Ból zdawał się nie do zniesienia, on jednak zdołał nad nim zapanować. Potem, przerzucając cały ciężar na zdrową nogę, spróbował poderwać się do lotu. Postrzelona

łapka zdawała się obca, nie przeszkadzała jednak we fruwaniu. Problemem natomiast stało się nagle zupełnie coś całkiem innego. Jak wylądować na jednej nodze?

- Och, cóż - mruknął stoicko pod nosem. - To, co się wznosi w przestworza, wcześniej czy później musi opaść.

Chwilę później spróbował łagodnym ślizgiem wylądować w miejscu, w którym odnalazła go Portia. Manewr ów nie należał do najzgrabniejszych na świecie, obyło się jednak bez upadku i nadwężenia zranionej nogi, tak więc Kirrick spojrzął z dumą na Portię, gdy przysiadła obok niego z dziobem pełnym robaków. Portia przeszła go gniewnym wzrokiem, po czym położyła robaki na ziemi, przycisnęła je pazurkami i ostro napomniwała narwańca.

- Co to za bezsensowne zabawy? Jeśli wyobrażasz sobie, że ja będę cię doglądać, podczas gdy ty będziesz się oddawać idiotycznej ekwilibryście i ryzykować złamanie zdrowej nogi, to się grubo mylisz! Nie wąż się na głupie popisy, zanim twoja zraniona łapka w pełni nie wy dobrze je!

- Ale ja nie mam czasu do stracenia - podkreślił z mocą Kirrick.
- Muszę jak najszybciej wypełnić swoją misję. Od jej powodzenia zależy wiele ptasich istnień!

Portia spojrzała na Kirricka z powagą.

- Doprawdy, niezwykle z ciebie ptak, Kirricku. Wybacz mój gniew. Zrodził się jedynie z troski.

Przysunęła się bliżej do Kirricka i przez jakiś czas siedzieli razem przytuleni w kojącym milczeniu. Potem Portia zaczęła opowiadać Kirrickowi o swoim życiu i niebezpieczeństwach, jakim musiała stawić czoło. Okrucieństwo srok w tym regionie niczym nie ustępowało bestialstwu rozplenionemu na południu. W rezultacie makolągwy, strzyżyki, zięby i czyżyki uległy całkowitej eksterminacji, niewiele zaś innych gatunków drobnych ptaków mogło się poszczycić nie więcej niż kilkoma osobnikami. Portia widziała na własne oczy

masakrę swoich najbliższych oraz była świadkiem wymordowania dziesiątek innych rudzików przez krwiożercze sroki. Owe brutalne krukowate nie lęły się w tych górzystych terenach, przybyły tu jednak z południa, by dopełnić morderczego zadania.

Portia sama po wielokroć stawiała oko w oko z zagrożeniem i za każdym razem tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu unikała śmierci. Jej rodzina zachowała się przy życiu dłużej od innych, wykazując niezwykłą siłę i wytrzymałość. I nic w tym dziwnego, należeli bowiem do rudzikowej elity. Niemniej, w obliczu tak wielkiego zła, wszelki społeczny status stracił na znaczeniu. Drobne ptaki ginęły masowo, bez względu na pochodzenie. Tak więc rodzice Portii ostatecznie także padli ofiarą masowych mordów.

Trzeba było całego tuzina srok, by pokonać waleczną parę. Ojciec Portii bronił się bohatersko, zanim uległ i został rozdziobany, a matka zginęła w obronie swojej córki, która w końcu tylko łutowi szczęścia zawdzięczała ocalenie życia. Nim Portia opowiedziała Kirrickowi, jakim cudem uniknęła śmierci, ogarnął ją tak wielki smutek i żal po rodzicach, że głos zamarł jej w gardle.

Kirrick czule przygarnął skrzydłem do siebie urodziwą pannę i tulił dopóty, dopóki roniła łzy. W końcu, tak złączeni, oboje zapadli w sen. A tymczasem pieczołowicie zebrane przez Portię robaki, szybko rozpełzły się na wszystkie strony, wprost nie mogąc uwierzyć w tak wielkie i niespodziewane szczęście.

Traska bez wytchnienia fruła na zachód. W końcu przybył w górzyście rejony i z mety siłą podporządkował sobie sroki z miejscowych konfraterni. Gdy jeden z upartych przywódców stada próbował się sprzeciwić żądaniom przybysza, wówczas okrutny samiec natychmiast wykorzystał okazję, by pokazać wszystkim srokom swoją siłę i bezwzględność. Ciężko poranił buntownika, połamał mu skrzydła,

wydłubał oczy i broczącego krwią pozostawił na pastwę losu. Szybko więc rozniosła się wokół wieść, że z tym okrutnikiem lepiej nie zadzierać.

On tymczasem wypytywał, czy przypadkiem w okolicy nie pojawił się jakiś rudzik, chciał się też dowiedzieć jak najwięcej o zamieszkujących w pobliżu orłach, a zwłaszcza o ich przywódcy. Zaw sze padało jedno imię - Storne - wielki zys. Sroki nienawidziły go z głębi serca, ponieważ - z jego polecenia - orły prześladowały wszystkie gatunki krukowatych, żywiąc wobec nich pogardę za zamiłowanie do padliny, a przede wszystkim mszcząc się za ataki na drobne ptaki. Storne mógł więc się stać potężnym sojusznikiem Kirricka. Tym bardziej należało zrobić wszystko, co możliwe, by powstrzymać rudzika i nie dopuścić go do siedliska groźnego orła.

Przed wszystkim trzeba było na przestrzeni wielu kilometrów porozstawiać szpiegów - szczególnie na południe od doliny, w której gniazdował Storne. Każdy obserwator miał obowiązek natychmiast meldować o pojawieniu się rudzika. Ukształtowanie terenu sprawiało, że - aby dostać się do gniazda Storne'a - Kirrick musiał nadlatywać ze ściśle określonego kierunku, Traska wybrał więc najszybsze i najdziksze z miejscowych srok do pomocy w zastawieniu zasadzki. Pozostałe sroki i inne krukowate miały zabezpieczać tyły - ochraniać główny trzon bojowników przed ewentualnym atakiem orłów. A więc pułapka została zastawiona. Teraz należało już tylko spokojnie czekać - czekać, aż przekłety rudzik wpadnie w potrzask.

Konfraternia, której do niedawna przewodził Traska, została wybrana przez samego Slyekina do organizacji Wielkiej Uczty. Była to doroczna uroczystość odbywająca się u progu jesieni, kiedy ludzie obchodzili święta plonów, a zwierzęta powoli szykowały się do zimowego snu. Wybrano tę porę głównie dlatego, że obfitowała w smakowity żer dla srok. Z roku na rok uczty stawały się wspanialsze

i teraz przyciągały ptaki ze wszystkich konfraterni w Birddom. Slyekin uwielbiał Wielką Ucztę, bo - jako wódz - był zawsze fetowany, co schlebiało jego ogromnej próżności. Owo świętowanie rosnącej dominacji srok nad krajem dawało też okazję do organizacji rozmaitych widowisk ku uciesze gawiedzi. Zeszłoroczne „Miażdżenie drozda” spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem uczestników oraz było przyczynkiem do szalonego obżarstwa i orgii. Miało też aspekt czysto praktyczny, gdyż właśnie wtedy wybito ostatnie okazy tych śpiewających ptaków.

Na ten rok Slyekin szykował rozrywkę, która miała przebić wszystkie poprzednie atrakcyjnością - zelektryzować zebrane masy, a jemu samemu dostarczyć szczególnej, osobistej satysfakcji. Slyekin porosyłał po kraju co ostatnich członków dawnej konfraterni Traski, by wszystkich pobratymców zawiadomili o Wielkiej Uczcie. Był pewien, że gdy rozejdzie się wieść o planowanych na ten rok ucieszach, uroczystości przyciągną rekordową liczbę srok.

Ci sami posłańcy wezwali także przed oblicze Slyekina najokrutniejsze sroki z każdej konfraterni, więc teraz w ponurej siedzibie wodza gromadziło się coraz więcej bezwzględnych, przeżartych złem ptaków. Slyekin kazał im beczynn timer czekać - nie zamierzał ujawniać swoich planów do czasu, aż zjawi się ostatni wezwany - więc coraz częściej wybuchały krwawe awantury, których nie przeżyło kilka słabszych osobników.

W końcu jednak Slyekin uznał, że czas odsłonić swe zamiary. A postanowił ni mniej, ni więcej tylko porwać wszystkie sowy będące członkami Rady, z Wielką Sową, Cerivalem, na czele. Chcąc nie chcąc, sowy więc będą musiały odbyć jeszcze jedno wspólne zebranie. W jego trakcie Slyekin upokorzy potężne niegdyś ptaki, a potem je pozabija. To będzie wspaniałe ukoronowanie roku, w którym srokom udało się doszczętnie wytrzebić wszystkie drobne ptaki. Pozwoli też oswoić się krukowatym z myślą o ataku na znacznie większą

zdobycz - zagrzeje ich do walki, gdy się przekonają, jak w gruncie rzeczy łatwo rozprawić się z tymi niby to wspaniałymi i wybitnie mądrymi łowcami.

Wszystkie ptaki w Birddom uznawały dwanaście sów z Rady za prawodawców. Unicestwienie Rady było więc niezbędne, by Sleykin zyskał rzeczywistą władzę nad krajem. Ten zdradziecki morderca widział nieraz sowy w akcji i miał świadomość ich siły i potęgi. Więc dopiero gdy się ich pozbędzie, poczuje się naprawdę bezpiecznie. Kiedy już zabraknie sów, nic i nikt go nie powstrzyma od realizacji własnych ambicji.

Tak więc, jak rolnik szykujący się do plonów, Sleykin rozesał swe bataliony, by zebrały oczekiwane owoce. A jeżeli wszystko potoczy się gładko, już wkrótce pierwszych sześć sów z Rady znajdzie się w jego niewoli.

Kirrick i Portia zbudzili się wraz ze świtem. W pierwszej chwili żadne z nich nie miało ochoty oderwać się od kojącego ciepła drugiego ciała, szybko jednak uświadomili sobie, jak bardzo są wygłodniali. Portia wyruszyła na poszukiwanie pysznej przekąski, Kirrick natomiast rozejrzał się wokół siebie i bez większego trudu znalazł kilka soczystych jagód oraz tłustych pędraków, które miały stanowić doskonałe uzupełnienie śniadania.

Po powrocie Portii najedli się do syta, a potem - zachęcony przez samiczkę - Kirrick ostrożnie pokuśtykał w stronę strumienia, gdzie zaspokoił pragnienie i zażył ożywczej kąpieli. Oboje radośnie pluśkali się w wodzie, a kiedy Kirrick, niepomny swojej kontuzji, pośliznął się i wywinął kozła w wodzie, Portia zaniósła się perlстым śmiechem.

Ciepłe promienie słońca szybko wysuszyły pióra rudzików, a potem ptaki znowu wdały się w rozmowę, żeby jak najwięcej się dowiedzieć o sobie nawzajem. Tak bardzo pochłonęły je te opowieści,

że zanim się obejrzały, nadszedł wieczór, więc z lekkim poczuciem winy, ale i zachwycone rozwojem wypadków, postanowiły spędzić jeszcze jedną noc w tym samym miejscu i dopiero nazajutrz wyruszyć na spotkanie z przywódcą orłów. Przed snem wtulili się w siebie i Kirrick zapytał Portię, co wie na temat tych wielkich, królewskich ptaków.

- Od czasu, gdy sroki rozpoczęły swoje prześladowania, orły stały się naszymi obrońcami. Gdyby nie one, nie byłoby już żadnych drobnych ptaków. Storne natomiast jest władcą wszystkich orłów. To wspaniały ptak, wyjątkowych rozmiarów. Jest wszechmocny i potężny. A jednocześnie dobry i mądry.

- Znasz go osobiście? - zdumiał się Kirrick.

- Oczywiście. To Storne mnie uratował po tym, jak zginęli moi rodzice - Portia uśmiechnęła się nostalgicznie. - Szkoda, że nie nadleciał wcześniej, ale widocznie los tak chciał. Patrołował swoje dominium, samą obecnością odstraszał każdą srokę. Z jego polecenia robią tak wszystkie orły. Rzadko który krukowaty zaryzykowałby starcie z orłem. Niestety, gdy Storne zorientował się w sytuacji, sroki już zdążyły krwawo rozprawić się z moimi bliskimi, co do dzisiaj bardzo go smuci. Mieliśmy pecha natknąć się na jeden z bojowych oddziałów, tuż po tym, jak Storne skierował się na północ, gdzie dojrzał inne sroki atakujące parę szczygłów. Choć wciąż boleję nad swoją stratą, wiem, że ceną ocalenia moich bliskich byłaby śmierć szczygłów. A tego bym nie chciała. W każdym razie, gdyby nie Storne, w tych okolicach nie uchowałby się już ani jeden rudzik.

- Czemu nie opowiedziałaś mi tej historii wcześniej?

- Bo nie chciałam, żebyś się za bardzo spieszył do spotkania z orłami - odpowiedziała przewrotnie. - Poza tym uznałam, że tą informacją sprawię ci miłą niespodziankę.

- I sprawiłaś - przyznał Kirrick. - A z tobą u boku z pewnością uda mi się przekonać orły do naszej sprawy.

- I bez mojej pomocy bez problemu zauroczyłbyś Storne'a. Popatrz tylko, jak udało ci się zauroczyć mnie!

Portia zachichotała i całuśnie dziobnęła Kirricka w policzek. A potem oba rudziki jeszcze długo w noc układały plany na następny dzień. I Kirrick, i Portia zdawali sobie bowiem dobrze sprawę z wiążącego nad nimi wielkiego niebezpieczeństwa.

Pierwszego uprowadzono Cerivala. Ów mądry ptak nie był zdumiony kolejnym zdradzieckim aktem ze strony swojego dawnego ucznia i nie stawiał większego oporu kohorcie dwudziestu srok, które przybyły, by go pochwyć. Sroki, szykujące się do walki, były bardzo rozczarowane niespodziewanym obrotem sprawy. W rezultacie musiały się ograniczyć do kilku zaledwie ciosów dziobem i złośliwych uwag, gdy pędziły Cerivala do siedliska swego wodza.

Gdy minął pierwszy szok, Cerival przejrzał intencje Slyekina. Zastanawiał się, ilu członków Rady przeżyje porwanie i jakie upokorzenia szykował dla nich Slyekin. Szybko doszedł do wniosku, że raczej wszystkie sowy dotrą na miejsce porwania w jednym kawałku. Cerival znał na tyle swego dawnego protegowanego, by wiedzieć, że nikt z jego poddanych nie odważy się sprzeciwić rozkazom wodza. A wódz zapewne chciał mieć u siebie wszystkich zasiadających w Radzie - i to żywych.

Droga do siedliska Slyekina była długa i uciążliwa, a sroki dyszały żądzą zamordowania starej sowy, gdy tylko przystawała ze zmęczenia. Slyekin wydał jednak ścisłe polecenia, a niewykonanie ich groziłoby straszną karą. W końcu kohorta przywiodła więc Cerivala do kryjówki Slyekina położonej pośród ponurych, zimnych bagnisk. I tak po długim czasie Wielka Sowa stanęła ponownie oko w oko ze swym niegdysiejszym uczniem, obecnie zaś największym wrogiem.

- Cóż, starcze. Podobno nie walczyłeś zbyt dzielnie - rzucił kpiąco Slyekin.

- Warunki walki były nierówne - odrzekł Cerival. - Chętnie zmierzę się jednak z tobą w prawdziwym pojedynku. Jeden na jednego.

Słyszac te słowa pachołki Slyekina wysunęły się przed swego wodza, by go chronić.

- Stałeś się zbyt ważny, by osobiście załatwiać brudną robotę? - Cerival nie krył szyderstwa. - A może tchórz cię obleciał?

- Zabierzcie go i strzeżcie dobrze. Nie chcę, by choć piórko spadło mu z głowy, póki nie postanowię się z nim rozprawić. A wówczas, starcze, drogo zapłacisz za swoje słowa!

Portia szóstym zmysłem wyczuła zagrożenie i to uratowało rudziki. Kirrick frunął u jej boku niepomny, co się dzieje wokół, pogrążony w marzeniach, bujając w obłokach. Wyruszyli o brzasku, by jak najszybciej spotkać się ze Stornem i Kirrick wprost kipiał optymizmem. Teraz, gdy miał swoją Portię, nic złego nie mogło ich spotkać. Poza tym pogoda wyjątkowo dopisywała, piękno krajobrazów zapierało dech w piersiach, a na dodatek oba ptaki były nieprzytomnie w sobie zakochane.

Na szczęście Portia z dość dużej odległości wypatrzyła pierwszą srokę i zareagowała bez namysłu. Złożyła skrzydła i niczym kamień opadła na ziemię. Kirrick instynktownie poszedł za jej przykładem, chociaż jeszcze nie wiedział, co pchnęło Portię do tak dziwnego zachowania. Przy lądowaniu boleśnie uraził się w zranioną nogę, dzielnie jednak kuśtykał za Portią, która szybko rzuciła się ku kępie wysokich, gęstych wrzosów, by tam szukać schronienia. Przez cały czas nie spuszczała oka z lecącej sroki w nadziei, że zdążyła w porę zareagować na zagrożenie.

Niebezpieczeństwo jednak narastało. Wkrótce na niebie pojawił się kolejny czarno-biały ptak i teraz oba zmierzały dokładnie do

punktu, w którym Portia i Kirrick tak gwałtownie zapikowali w dół. Sroki krążyły w miejscu lądowania rudzików przez kilka chwil, które wydawały się wiecznością. W tym czasie Kirrick - zamarty w bezruchu - skrywał dzielnie Portię pod swoimi skrzydłami. W końcu, z ostrym skrzekiem, pierwszy z prześladowców ruszył w stronę doliny Storne'a, a wkrótce też pofrunął za nim jego kompan.

- Niewiele brakowało - sapnął Kirrick. - Ale ze mnie głupiec! Jakże mogłem myśleć o niebieskich migdałach, gdy wiadomo było, że z każdej strony czyha niebezpieczeństwo. Mieliśmy wiele szczęścia, że nas nie dostrzegli.

- Dostrzegli nas z całą pewnością - zauważyła Portia rzeczowym tonem. - Nie mogę tylko zrozumieć, czemu nie zdecydowali się na atak. Swoim krzykiem oznakowali naszą pozycję i niejako złapali nas w potrzask. Tym bardziej nie pojmuję, czemu tak po prostu odlecieli.

- Ja natomiast pojmuję to aż nazbyt dobrze! - wykrzyknął Kirrick. - Chodzi o Traskę!

Portia zadrżała na samo wspomnienie owego imienia. Kirrick zaś, przypominając sobie złowieszczy kordon krukowatych ustawiony w krainie Darrealu, zdał sobie sprawę, że Trasce udało się zastawić kolejną pułapkę. Przejrzawszy intencje wroga, Kirrick jęknął z rozpaczy, ale Portia go uciszyła, patrząc głęboko w oczy.

- Jeszcze nie zostaliśmy pokonani - pocieszała. - Ale przed nami rzeczywiście trudne wyzwanie, Kirricku. Sroki będą nas teraz pilnie wypatrywać na niebie.

- Wiem. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko ruszać na piechotę.

- A co z twoją nogą?! - zatrwożyła się Portia.

- Będzie musiała podążyć za mną - zażartował Kirrick. - No, już. Czas na nas. Nie wolno dłużej zwlekać.

Triumfalizm Slyekina wzrastał wraz z pochwyeniem każdej kolejnej sowy - członka Wielkiej Rady. Sadysta rozkoszował się upokorzeniem swoich wrogów i chrapliwie wyrzucał z siebie obelgi, ilekroć przed jego obliczem stawał kolejny czcigodny ptak. Nie minęło wiele czasu, a już sześcioro z najwyższego ptasiego gremium znalazło się na jego łasce i niełasce. Nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego - Slyekin zaplanował swoje posunięcia z najdrobniejszymi szczegółami. Przede wszystkim dlatego, że - w jego mniemaniu - nikt i nic nie stanowiło dla niego tak poważnego zagrożenia jak Wielka Rada Sów. Na szczęście bez lidera, Cerivala, wciąż pozostający na wolności jej członkowie nic sensownego nie byli w stanie zdziałać.

Slyekin wiedział, jak podejść pozostałych sześć najważniejszych w Birddom sów. Nie zamierzał bowiem pozostawiać czegokolwiek dziełu przypadku. Ci, których pochwyił w pierwszym rzucie, byli - poza Cerivalem - najmłodszymi i fizycznie najsprawniejszymi członkami Rady. Stąd Slyekin potrzebował nieco czasu, by złamać ich ducha i pogrążyć w ostatecznej desperacji. Oczywiście, pojedynczo żadna sowa nie sprostała kohorcie srok. Chociaż i tak kilku członków Rady opierało się wyjątkowo dzielnie i bojowo. Niemniej, gdy najsilniejsze sowy znalazły się w niewoli, zagrożenie ze strony Rady zostało zdecydowanie zminimalizowane. Pozostali członkowie prestiżowego zgromadzenia byli starymi, a więc słabymi osobnikami. Nie zdołają więc pokrzyżować planów Slyekina, dla którego nadchodziły lata sławy i chwały.

8.

Nie minęło wiele czasu, a Traska zaczął zacieśniać pierścień obławy. Kirrick i Portia rozglądali się rozpaczliwie, ale gdziekolwiek spojrzeli, widzieli jedynie nadciągające stada srok, opadające na ziemię i formujące tyralierę przesuwającą się w kierunku doliny, u której wlotu czyhał Traska niczym złowrogi pająk pośrodku pajęczyny. Ponadto para czarno-białych napastników cały czas patrolowała niebo na wypadek, gdyby rudziki porzuciły naziemną kryjówkę i wzbiły się w górę.

Tymczasem, im dalej Kirrick wędrował śladami Portii, tym bardziej dokuczala mu zraniona noga. Teraz ból już był ciągły, dzielny rudzik starał się go jednak ignorować i koncentrować się na narastającym zagrożeniu. Sroki były nieustępliwe i systematyczne. Szansa ucieczki z każdą chwilą się zmniejszała.

- Nie ma mowy, byśmy skończyli na tym wrzosowisku! - wykrzyknął buntowniczo Kirrick. - Nie możemy przecież zginąć w tak przełomowej chwili.

- Jakoś sobie poradzimy, najdroższy - odparła Portia, starając się podtrzymać na duchu ukochanego.

- Musielibyśmy jednak stać się niewidzialni, by stąd umknąć - rzucił zdesperowanym tonem Kirrick. - Albo uciec się do przemysłnego fortelu, jak w wypadku wyprawy na grzbiecie Estelle - dorzucił w zamyśleniu.

Portia spojrzała bystro na Kirricka.

- Czyżbyś wpadł na jakiś genialny pomysł? - spytała z nadzieją w głosie.

- Przyznaję, że pewna myśl przemknęła mi przez głowę - odparł Kirrick. - Portio, moja kochana, czy boisz się ciemności?

Dzielnie zaprzeczyła.

- A więc teraz wiele zależy od łutu szczęścia - mówił dalej Kirrick. - Od szczęścia i pomocy królików, które - sądząc po śladach - gnieźdzą się gdzieś w pobliżu.

Z każdą chwilą sroki zacieśniały pierścień obłączenia, a znękanie rudziki nerwowo wypatrywały możliwości ratunku. Portia coraz wyraźniej zdradzała objawy paniki.

- Trzymaj nerwy na wodzy - błagał Kirrick. - Wierz mi, tak czy inaczej wyjdziemy cało z tej przygody.

Portia jednak nie spoglądała już na Kirricka. Nagle jej oczy roz-
błysły i wykrzyknęła z podnieceniem:

- Tutaj! Musimy tu właśnie się skierować!

Kirrick uciszył ukochaną, bojąc się, że krzyk ściągnie prześladowców.

- Spójrz, Kirricku - ciągnęła podekscytowanym, jednak już zdecydowanym ściszym głosem. - Zdaje się, że możemy mówić o cudzie.

I rzeczywiście, chwilę później natknęli się na jeszcze wyraźniejsze ślady - owalne bobki sugerujące bliskość króliczych siedzib.

- Musimy jak najszybciej odnaleźć wejście do ich nor. Inaczej będziemy zgubieni.

Rudziki gorączkowo rozglądały się dookoła, wypatrując otworów wiodących do podziemnych tuneli królików. Portia dostrzegła je pierwsza. Niewiele brakowało, a by je przeoczyła, biorąc za cienie kładące się na wzgórzu, lecz na szczęście jej wzrok przykuł wychylający się z jednego z zaciemnionych miejsc ciemnobrązowy łeppek

królika, nastawiającego długie uszy, nasłuchującego, czy nie zbliża się zagrożenie. Chwilę później królik, najwyraźniej rozluźniony, pokicał w stronę pobliskiej kępy smakowitych, żółtych mleczy. Tymczasem Portia i Kirrick, z trudem powściągając panikę, przekradli się powoli w stronę uczującego zwierzaka. Niemal w tym samym momencie królik zastrzygł uszami i wyciągnął się w górę na swoich imponujących skokach.

- Proszę - szepnęła Portia - tylko nas nie zdradź!

Królik spojrział pytająco na rudziki, po czym bystro się rozejrzał dookoła, w lot pojmując, co się dzieje. Cztery wojownicze sroki dotarły właśnie do gęsto zakrzewionego miejsca - gdzie jeszcze minutę temu znajdowali się Portia i Kirrick - i teraz niebezpiecznie zbliżały się do króliczego pagórka.

- Szybko! Za mną! - zakomenderował królik. - Prześladowcy nie mogą was dostrzec. Postaram się wam pomóc - pokicam przez ten łan wysokiej trawy i w ten sposób może uda mi się was osłonić przed wzrokiem wroga.

Powiedziawszy to, przyjazny zwierzak zaczął skakać w stronę nory - powolnie, wręcz leniwie, żeby nie przyciągać uwagi srok - a oba rudziki ostrożnie ruszyły jego śladem. Ich nerwy były napięte jak postronki, jednak udało im się bez szwanku dotrzeć do króliczego domostwa. W tym samym momencie jedna ze srok zaskrzeczała na całe gardło. Kirrick i Portia zamarli w bezruchu, pewni, że zostali zdemaskowani. Szczęście jednak ich nie opuszczało. Okazało się, że owa sroka wdepnęła w gniazdo wyjątkowo wojowniczych mrówek i teraz machała bezradnie skrzydłami, popiskując z bólu, próbując strząsnąć z siebie bezlitośnie kęsające owady.

Korzystając z zamieszania, Kirrick i Portia wskoczyli do wnętrza mrocznej nory, a za nimi wpadł królik, blokując szybko wejście, choć - jak się niebawem okazało - zupełnie niepotrzebnie, bo żadne

niewpowołane oko nie dostrzegło rudzików. Chwilę później w trójkę ruszyli w dół długiego tunelu prowadzącego do dużego holu. Przestronność tego miejsca zdumiała Kirricka i pozwoliła zapanować nad klaustrofobią. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy nowemu, nieoczekiwanemu sprzymierzeńcowi. Żadne z rudzików nigdy wcześniej nie miało osobistego kontaktu z królikami. Często widywali te długouchy zwierzęta skaczące leniwie po pagórkach bądź szybkimi susami zmykające do nory w razie niebezpieczeństwa. Ale tylko tyle. Z ciekawością więc Kirrick przyglądał się królikowi, który odwzajemniał jego spojrzenie, uśmiechając się pod wąsem. A wąsy miał doprawdy imponujące, jednak tym, co przede wszystkim zafascynowało rudzika, były królicze zęby: długie, silne, wystające do przodu, niemal nienaturalnie białe i tylko gdzieniegdzie poznaczone sokiem roślin, którymi jeszcze tak niedawno delectował się królik. W końcu Kirrick złapał się na tym, że natarczywie wgapia się w gospodarza i szybko przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pomoc. Ja nazywam się Kirrick, a to jest Portia. Uratowałeś nas od niechybnej śmierci.

- Nigdy przedtem nie słyszałem, by rudziki gustowały w podziemiach - zażartował królik. - Ja mam na imię Oliver, i cieszę się, że mogłem wam pomóc. Powiedzcie mi jednak, jakiej to dopuściliście się zbrodni, że wysłano za wami aż tak liczne siły? - humor wciąż nie opuszczał Olivera.

Kirrick pokrótce przedstawił fakty, a królik nawet w najdramatyczniej szych momentach opowieści zachowywał spokój. Był najwyraźniej obdarzony dużą pogodą ducha, a uśmiech praktycznie nie schodził mu z pyszczka. Jednak przybrał o wiele poważniejszą minę, gdy Kirrick przyznał, że celem jego wyprawy jest spotkanie ze Stornem.

- Staramy się nie wypowiadać tego imienia w naszych korytarzach. Orły są bowiem naszymi śmiertelnymi wrogami!

- Nie mów tak. To wyjątkowo szlachetne ptaki - oburzyła się Portia.

- I najwyraźniej nie żywią się rudzikami - odparł Oliver z uśmiechem.

- Co to znaczy, że ich zgubiliście?!

Traska przesłuchiwał nieszczęsną parę rozplaszczonych przed nim srok, a jego gniew wzrastał z każdą minutą.

- Do tej pory nie możemy pojąć, co się stało. Widzieliśmy, że opadły na ziemię i mieliśmy pewność, że już się nam nie wymkną. Nie było sposobu, by się przedarli, otoczyliśmy je ścisłym pierścieniem. A potem nagle... ani śladu. Jakby rudziki wyparowały!

Tłumaczący się samiec sroki jękał się i szczekał dziobem, łudząc się wbrew rozsądkowi, że Traska przyjmie wyjaśnienia. Jednak wściekłość i bezwzględność w oku śledczego przywróciły niefortunnym ptakom poczucie rzeczywistości. Z pewnością Traska nie popuści nikomu i zemści się za niewypełnienie zadania. Będzie też chciał jak najszybciej wyładować na kimś swoją wściekłość. Wszystkie zgromadzone krukowate nie dowierzały więc własnym oczom, gdy Traska odwrócił się i wzbił w powietrze, nie karząc w żaden sposób zwiadowców. A gdy tylko jego sylwetka zniknęła za horyzontem, z gardeł zgromadzonych ptaków wyrwało się westchnienie ulgi.

Traska tymczasem kipiał gniewem. Leciał przed siebie, a wciąż gotowały się w nim wściekłość i rozgoryczenie pomieszane z innymi, bardziej pierwotnymi emocjami. Teraz już zwykłe wyładowanie złości mu nie wystarczy. Perfidny, okrutny samiec sroki frunąc, nieustannie lustrował mijany teren i wypatrywał pierwszej, nadarzącej

się ofiary. Narastało w nim wcześniej nieznane uczucie żądz, coraz gwałtowniej opanowujące jego ciało i umysł.

I wówczas ją ujrzał - samiuteńką, zupełnie nieświadomą czyjejs obecności. Młodziutka samiczka sroki pluskała się w strumieniu i cicho podśpiewywała dźwięcznym głosem - wyglądała jak dziecię Natury w pełnej harmonii z otoczeniem. Traska pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział kogoś równie pięknego, to jednak tylko rozbudziło jego gwałtowność. Jemu i tej damie nie były pisane ceremonialne zaloty. Ta samiczka, ledwo wyrosnięta z okresu pisklęcego, nie miała już mieć własnego, rodzinnego gniazda i samca, który pomagałby jej wychować młode.

Traska spadł na nią z nieopisaną brutalnością. Jej krzyki, szok i łyzy tylko coraz bardziej go podniecały. Była drobna i smukła - fizycznie nie mogła się więc w żaden sposób oprzeć Trasce. A gdy już zaspokoił pożądanie - gdy spłynęły z niego gniew i frustracja - zalała go fala poczucia winy i obudziły się wyrzuty sumienia. Ból, który w związku z tym poczuł w sercu zadziwił go, ale po chwili także rozsierzdził. Czemuż właściwie miał się litować nad tą samicą? Ona była słaba, on zaś silny. Należała więc do niego. Mógł zrobić z nią wszystko, na co miał ochotę. Tak naprawdę była nikim!

Nienawiść ponownie wezbrała w Trasce i okrutnik zaczął brutalnie dziobać samicę, aż zemdląła z bólu i szoku wywołanego gwałtem.

Kiedy Katya odzyskała świadomość, nie dojrzała nikogo w pobliżu. Choć była pokaleczona i posiniaczona - nie czuła bólu. Znajdowała się w stanie odrętwienia. Nie mogła pojąć, czemu stała się obiektem tak niepohamowanej nienawiści. W jednej chwili zatraciła poczucie szczęścia i radość życia - jakby ktoś je w niej zgasił jednym

dmuchnięciem, niczym świecę. Jej ciało było teraz tylko pustą, wypaloną skorupą. Ona, która do tej pory zaznała tylko tego, co dobre, została na zawsze naznaczona przez zło. Ojciec jej nienarodzonego dziecka nie znał jej imienia - ona nie wiedziała, jak on się nazywa. Nigdy go jednak nie zapomni i zrobi wszystko, by pomścić swoją krzywdę. To ziarnko nienawiści posiane w jej sercu stało się zalążkiem nadziei i wyznaczyło cel na przyszłość. Teraz, gdy leżała pokrwawiona i obolała, tylko myśl o odwecie trzymała ją przy życiu.

Rudziki posiliły się do syta w podziemnych norach, gdzie nie brakowało soczystych dżdżownic i pędraków. A kiedy już zaspokoili głód, ponownie spotkały się z Oliverem. Kirrick wyjaśnił, jak bardzo ważny w jego misji jest pośpiech, a przyjazny królik oferował się być przewodnikiem rudzików w płataninie tuneli i nerek przecinających pagórki leżące na pograniczu doliny Storne'a.

- Można dotrzeć niemal do samego orlego gniazda, ani razu nie wychodząc na powierzchnię - powiedział z dumą Oliver. - Choć nikt z nas, naturalnie, nie zapuszcza się w owe rejony, bo byłoby to praktycznie równoznaczne z samobójstwem. Orli wzrok jest nawet bardziej wyostrzony niż orle dzioby!

- Musimy ruszać tam jak najszybciej, Oliverze. Nie zdołamy zwyciężyć bez pomocy tych wielkich ptaków - powiedział Kirrick.

Wędrówka w podziemnym labiryncie trwała krócej, niż można było się spodziewać, chociaż bez pomocy królika rudziki nigdy nie odnalazłyby właściwej drogi. Wielokrotnie natykali się na rozwidlenia tuneli, Oliver jednak doskonale wiedział, gdzie się skierować, a Kirrick i Portia, pełni wdzięczności dla królika, bez namysłu szli za przewodnikiem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Oliver, gdy znaleźli się w wąskim przejściu, u którego wylotu majaczyło dzienne światło. Portia

i Kirrick spojrzeli tęsknie w ową stronę, nie mogąc się już doczekać, kiedy znajdą się na świeżym powietrzu i opuszczą klaustrofobiczne korytarze.

- Uważajcie na siebie, bo inaczej szybko postradacie życie! - ostrzegł królik.

- Nie martw się o nas! - zawołała pogodnie Portia. - Przeszliśmy zbyt wiele, by teraz skończyć w charakterze przekąski dla zgłodniałego orła.

9.

Kiedy Kirrick stanął przed obliczem potężnego zysa, w pierwszej chwili zdumiała go i zatrwożyła sama wielkość tego ptaka. Storne był bowiem najwspanialszym okazem swojego gatunku. Od dzioba do ogona mierzył równy metr, a jego brązowe pióra, złociste wokół głowy i szyi, wydawały się wyjątkowo połyskliwe. Przerażenie natomiast budził jego dziób - groźnie wygięty i złowieszczo masywny. Na szczęście w jego oczach pojawiła się przyjazna życzliwość, gdy witał Portię niczym honorowego gościa.

Portia z dumą przedstawiła Kirricka i Storne z uwagą wysłuchał jego relacji. Kirrick opowiedział o swoich przygodach i wyjaśnił szczegółowo cel podróży. Storne podziwiał dotychczasowe osiągnięcia małego ptaszka, a od czasu do czasu głośno się zaśmiewał, słuchając, jak dzielnie i przemyślnie Kirrick wymykał się srokom. Natomiast kiedy się dowiedział, że Traska ścigał rudziki niemal do granic orlego królestwa, zaczął się zastanawiać, jakie by tu zgotować powitanie kolejnemu „gościowi”. W końcu jednak się zgodził z opinią Kirricka, że na razie najrozsądniej będzie nie podejmować żadnej akcji. Nie nadszedł jeszcze czas na ostateczną konfrontację z wrogiem, choć jeżeli plan Tomara udałoby się wprowadzić w czyn, wkrótce pojawi się okazja do walnej bitwy.

Początkowo Storne odniósł się z dystansem do pomysłu starego puszczyka. W swoim dominium był niepodzielnym władcą, nigdy jednak nie wyprawiał się poza rodzinne góry - choć oczywiście w poszukiwaniu pożywienia i w obronie drobnych ptaków przemierzał wiele kilometrów. Zawsze jednak poruszał się na dobrze znanym mu terytorium. Dlatego też bardzo zaimponował mu Kirrick. Ten maleńki ptaszek odbył niezmiernie daleką drogę i orzeł w pewnym sensie zazdrościł dzielnemu ruzdzikowi niezwykłych przygód.

Niemniej nękały go wątpliwości dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, nie chciał pozostawiać swojego dominium bez ochrony, poza tym czuł się nieswojo na myśl o wyprawie w nieznane rejony, gdzie orły nie będą mogły uzyskać strategicznej przewagi wynikającej z samej znajomości terenu. Naturalnie, nie obawiał się żadnego żyjącego w Birddom ptaka; każdemu bez trudu sprostają w starciu. Jednak wyjątkowa podłość stwora, który mienił się wodzem srok - Storne nigdy nie nazwałby go ptakiem - budziła w nim niepokój.

Ale ostatecznie słuszność i sprawiedliwość stanowiły wartości niepodważalne, a Storne dodatkowo nienawidził srok za ich mordercze działania w okolicach należących do jego królestwa. Gdy usłyszał o masowym pogromie małych ptaków jak Birddom długie i szerokie, rozgorzał w nim ogromny gniew. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że plan Tomara jest bez zarzutu, zdawał też sobie sprawę z wagi zadania, jakie do spełnienia miały w nim jego legiony. Postanowił więc przyłączyć się do akcji. Zdusił w sobie wszelkie niepokoje i obiecał pełne wsparcie.

Kirrick nie posiadał się z wdzięczności. Fortuna wyraźnie sprzyjała jego misji. Udało mu się już dwukrotnie pozyskać potężnych sojuszników dla planu Tomara. Ba, wielki orzeł zdawał się nawet bardziej entuzjastyczny od Darreala. Teraz więc Kirricka czekała już tylko jedna wyprawa, w wyniku której mógłby powstać wspaniały

triumwirat, siłą rażenia wielokrotnie przewyższający kohorty krukowatych. Nie wolno jednak było zwlekać, jeżeli przygotowania miały się zakończyć w wyznaczonym czasie.

Cały upalny dzień upłynął rudzikom na rozmowach ze Storne'em. Wielki orzeł sprawował autokratyczne rządy, nie musiał więc zwoływać żadnego zgromadzenia i szukać akceptacji dla swej decyzji. W jego królestwie sprawa była prosta - wszystkie orły stawiają się na wezwanie władcy i pofruną, gdzie je poprowadzi.

Podczas gdy Storne i Portia wymieniali najświeższe wieści, Kirrick zastanawiał się nad swoimi dalszymi posunięciami. Czekąca go najdłuższa, najtrudniejsza wyprawa, na szczęście jednak będzie miał teraz ukochaną u boku. Ledwie jednak przyszło mu to do głowy, opadły go wątpliwości. Czy Portia zechce się z nim wybrać w tak daleką i niebezpieczną drogę?

Tymczasem w mrokach Tanglewood Tomar rozmyślał o Kirricku. Minęło już wiele czasu, a on nie miał żadnych wieści o rudziku. Czy ten maleńki ptaszek miał szansę przetrwać w obecnych, groźnych czasach, nie mówiąc już o wypełnieniu tak trudnej misji? W końcu stary puszczyk wzruszył stoicko wielkimi skrzydłami. Teraz już nie mógł pomóc rudzikowi, a miał na głowie także inne, ważne sprawy. Udał mu się fortel na farmie i znalazł się w posiadaniu trucizny. Pozostał jednak zasadniczy problem: w jaki sposób zrobić z niej użytek?

To, co w teorii wydawało się wyjątkowo błyskotliwym posunięciem, okazało się niezwykle trudne w realizacji. Jak bowiem puszczyk mógłby się porozumieć z owadami? Ptaki i ssaki - choć naturalnie miały własne języki - posługiwały się także wspólną mową, zrodzoną z konieczności obrony przed największym wrogiem: Człowiekiem. Możliwość ostrzegania się nawzajem stała się w pewnym

momencie zbawienna dla obu grup. Z owadami jednak ludzie walczyli w zupełnie inny sposób, do tej pory nie istniała więc jakakolwiek potrzeba wypracowania wspólnego systemu komunikacji.

Tomar wrócił myślami do złotego wieku Birddom, kiedy to Rada Sów miała władzę nad całym krajem. Każdy członek Rady był wybierany nie tylko ze względu na przymioty charakteru, ale także z powodu szczególnych umiejętności, które przyczyniały się do pomnożenia mądrości całego gremium. Wielka Sowa, Cerival, był najbardziej uczony ze wszystkich. Ale pozostałe sowy również wyróżniały się niezwykłymi talentami lub wiedzą dotyczącą innych istot zamieszkujących w Birddom. Do takich ptaków należała Caitlin - sóweczka - najmniejsza z rodziny puszczykowatych, za to słynna z potęgi umysłu. Posiadała wybitne zdolności porozumiewania się z różnymi istotami, i często była posłańcem Rady, oznajmiającym wszystkim stworzeniom jej postanowienia, lub zwiadowcą pozyskującym wiele cennych informacji. A więc Caitlin zapewne zdoła znaleźć dla Tomara odpowiedniego tłumacza. Starego puszczyka początkowo podbudowała ta myśl, jednak jego euforia szybko przemieniała.

- Czas wrócić do rzeczywistości - mruknął cicho. - Nie masz przecież żadnej możliwości kontaktu z Caitlin.

Sóweczka mieszkała w gęstych lasach rozciągających się pośród łagodnie opadających wzgórz, setki kilometrów na południe od Tangewood. Tomar zaczął przeklinać w duchu swój zaawansowany wiek i zniechęcenie. Jego umysł działał niezwykle sprawnie, lecz puszczyk nie był już w stanie wybrać się w podróż w odległe rejony. Dla niego więc Caitlin, której pomocy tak bardzo potrzebował, mogła równie dobrze nie istnieć. Co oznaczało, że stary ptak będzie musiał znaleźć inne rozwiązanie dylematu.

Znużony i przygnębiony Tomar zaszył się w gnieździe i zapadł w

drzemkę. Być może nowy dzień przyniesie nowe rozwiązania i nadzieje. Bo przecież tak wiele zależało od powodzenia planu.

Każda z sześciu sów była po kolei sprowadzana przed oblicze Slyekina. Niegodziwa sroka trzymała je w całkowitym odosobnieniu od dnia pojmania. Sowy były bardzo źle traktowane przez strażników, osłabły więc z głodu oraz z powodu psychicznego i fizycznego nękania. Slyekin starał się coraz bardziej je upokorzyć - kpił z nich, naśmiewał się z obecnego położenia i nieustannie podważał autorytet Rady. Wyzywał sowy od głupców, których naiwna prawomyślność otwarła drogę do władzy takiemu geniuszowi jak on. Bo czyż mogły zaprzeczyć jego niebywałym talentom strategicznym? A przy okazji nie przyznać, że ich władza okazała się słaba i bezużyteczna, gdy tylko on, Slyekin, zdecydował się wprowadzić swój wielki plan w życie?

Tak więc stawała przed nim każda z pojmanyh sów. Jedne zachowywały się apatycznie czy wręcz pokornie, inne wykazywały się dumą i walecznością, ale wszystkie pozostały bezradne w obliczu tak niesłychanej nikczemności. I właśnie świadomość owej podłości, nawet bardziej niż fizyczne zniewolenie, dręczyła sowie dusze. Sowy zawiodły wówczas, gdy kraj ich najbardziej potrzebował. Co więcej, dopuszczając Slyekina do wielu tajemnic, przyczyniły się do upadku Birddom.

Podczas gdy wódz srok coraz skuteczniej łamał ich ducha, niewola osłabiała ich ciała. Sam Slyekin natomiast nie posiadał się z radości. Jego taktyczne posunięcia przynosiły owoce. Machina działała z idealną precyzją. On, naturalnie, ani przez chwilę nie wątpił, że tak się właśnie stanie. Ostatecznie był niezwyknięzony. Był geniuszem. Był bóstwem!

Kirrick i Portia zdecydowali, że opuszczą królestwo Storne'a w ten sam sposób, w jaki tu przybyli - przez królicze tunele. Nie tylko

uznali tę drogę za najbezpieczniejszą, ale nie mogli się już doczekać, kiedy powiedzą Oliverowi o umowie, jaką zawarli ze Stornem. Kiedy potężny zys się dowiedział, że Oliver udzielił rudzikom tak nieoczonej pomocy, obiecał, że jego pobratymcy nie będą już polować na rodzime króliki. W przyszłości będą się udawać dużo dalej na poszukiwanie zdobyczy. Kirrick i Portia byli więc przekonani, że Olivera zachwyci wieść, iż ani on, ani żaden z jego bliskich czy przyjaciół nie zginie już w orlich szponach. Przynajmniej w ten sposób ptaki mogły się odwdziżyć długouchemu przyjacielowi za okazaną pomoc i zyczliwość.

Poprzedniego dnia Oliver obiecał, że nazajutrz będzie czekał na rudziki u wlotu do labiryntu, by szczęśliwie przeprowadzić je przez płataninę tuneli, a także pokazać bezpieczne wyjście, gdyby przypadkiem Traska ze swoimi kohortami patrolował miejsce, w którym Kirrick i Portia weszli do nory. I rzeczywiście, gdy tylko rudziki stały się u wejścia do króliczych korytarzy, natychmiast pojawił się przed nimi Oliver. Radosne okrzyki ptaków szybko jednak zamarły im w gardłach, gdy tylko Kirrick i Portia ujrzeli ponury wyraz pyszczka królika.

- Sroki są w naszych tunelach!

Chwilę później Kirrick i Portia z przerażeniem wysłuchiwali najnowszych wieści. Sroki, oczywiście, drobiazgowo przeszukiwały miejsce, gdzie tak tajemniczo zniknęły rudziki, a króliki przyglądały się z rozbawieniem, jak coraz to nowe stada czarno-białych łowców bezskutecznie przeczesywały pobliskie krzewy.

W pewnym jednak momencie nadleciał samotny samiec sroki i wówczas sytuacja uległa radykalnej zmianie. Oliver, znając historię Kirricka, od razu się domyślił, że musi być to ów osławiony prześladowca rudzika. Niewykluczone, że Traska już wcześniej odgadł, w jaki sposób Kirrick i Portia wymknęli się obławie, a może po prostu

dopisało mu szczęście. - Tak czy owak, on to właśnie zwrócił uwagę hordy srok na króliki. Szybko potężna kohorta opadła młodziutką króliczkę i zaatakowała bez litości. Inne króliki próbowały ruszyć jej z pomocą, ale zostały odparte, bo sroki miały nad nimi miażdżącą liczebną przewagę.

Tymczasem przerażona króliczka, poważnie poraniona, nie miała siły się opierać, gdy Traska zabrał się do przesłuchania. Szybko więc niegodziwiec się dowiedział, w jaki sposób rudziki wymknęły się z obławy, a także, że Kirrick ma teraz u swego boku nową samiczkę. Traska zareagował błyskawicznie. Rozkazał swoim oddziałom ruszyć w głąb króliczych nor, a tych, którzy nie chcieli służyć potraktował z bezlitosnym okrucieństwem. Na szczęście Oliver także nie zasypiał gruszek w popiele. Poleciał najsilniejszym młodym samcom ochraniać tyły i walczyć z wrogiem, a następnie wysłał grupy królików, by zablokowały tunele prowadzące do przejść umożliwiających przemierzenie pod ziemią całego pagórka. Potem opuścił swoich towarzyszy i popędził przed siebie, by ostrzec Portię i Kirricka przed groźącym niebezpieczeństwem.

Po wysłuchaniu opowieści Olivera Kirrick i Portia powrócili natychmiast do gniazda Storne'a i zdali potężnemu orłowi relację z najnowszego rozwoju sytuacji.

- Tak bezczelna napaść nie może ujść srokom bezkarnie. Poza tym, starcie z nimi będzie dobrą rozgrzewką przed czekającą nas walną bitwą.

Powiedziawszy to, Storne wzbił się w powietrze, by zebrać oddział szybkiego reagowania, który swą siłą znacznie przewyższy konfraternię srok. Kirrick doszedł do wniosku, że powinien wykorzystać nadarżającą się okazję i bez zwłoki udać się w drogę - z Portią lub bez Portii podjąć ciężką wyprawę na południe, by konsekwentnie realizować zamysł Tomara. Lojalność jednak nakazywała,

by rudziki pozostały na razie na miejscu, a nawet wzięły udział w batalii. Niewykluczone, że w jakimś maleńkim stopniu mogłyby się przyczynić do zwycięstwa. Poza tym, realnie rzecz biorąc, nie udało by im się wydostać z dominium orłów przy tak znacznej liczbie srok grasujących w okolicy. W końcu więc rudziki poderwały się w górę i ruszyły w ślad za wielkimi drapieżnikami, które - prosto jak strzała - zmierzały ku miejscu bitwy.

Sroki powoli i mozolnie przemieszczały się w króliczych tunelach, nic dziwnego więc, że ich frustracja wkrótce doprowadziła do kłótni i wzajemnych walk. Niestety, w starciu ze srokami zginęło kilka królików, a kilka zostało poddanych okrutnym torturom. Króliki jednak działały na doskonale znanym sobie terenie, podczas gdy krukowate znalazły się niespodziewanie w zupełnie obcym sobie świecie. I im dłużej przebywały w norach, tym bardziej wzrastała w nich niechęć do Traski, a jednocześnie malał strach przed jego zemstą. W końcu stanęły w miejscu.

- Mam już tego dość! - wykrzyknął w pewnym momencie jeden z rozdrażnionych ptaków. - Wracam na otwarte przestrzenie, na świeże powietrze, bo tam właśnie jest moje miejsce!

Większość jego pobratymców po cichu przyznała mu słuszność i wkrótce ptasi napastnicy znaleźli się w odwrocie. Jednak przezorny Traska czekał u wylotu korytarza i rzucił się gwałtownie na pierwszą parę srok wynurzającą się z nor. Niemniej, pozostałym ptakom udało się wyrwać z króliczych tuneli i chwilę później wzbily się z ulgą w niebo, rozkoszując się wolnością szerokich przestrzeni.

Popadły w tak wszechogarniającą euforię, że w pierwszej chwili - oszołomione - nie zrozumiały, co się dzieje, gdy niespodziewanie, nie wiadomo skąd, spadł na nie legion orłów. Oczywiście, żadna sroka nie była w stanie przeciwstawić się potężnym drapieżnikom,

stąd batalia wkrótce się przekształciła w druzgocącą klęskę niedawnych zwycięzców i rozpoczęła się masakra krukowatych.

Traskę ocalił od śmierci niezwykle instynkt samozachowawczy, który od razu mu podpowiedział, że niespodziewanie łowcy zmienili się w łowną zwierzynę. Traska bez namysłu wskoczył w królicze korytarze, byle tylko uniknąć śmierci w szponach orła. Kiedy znalazł się w podziemnym labiryncie, gnany strachem wybierał odgałęzienia na chybił trafił, byle tylko jak najdalej uciec od zagrożenia. W tej chwili już nawet przestał myśleć o rudzikach. Pędził na oślep, walczył o własne życie.

Ogarnęła go taka panika, że minęło sporo czasu, zanim zwoleń kroku. Ponieważ nie dobiegał go żaden odgłos pościgu, w końcu pozwolił sobie na krótki odpoczynek. Dyszał z rozwartym dziobem - był bardzo zmęczony ucieczką, a na dodatek w wąskich tunelach brakowało powietrza. Dotarło też do niego, że kompletnie się zagubił w króliczym labiryncie i teraz tylko szczęśliwy traf mógł go doprowadzić do wyjścia.

Kirrick i Portia zauważyli, że Traska znika w tym samym tunelu, który im pozwolił na ucieczkę przed srokami. Na znak rudzików, Storne wycofał się z bitwy i stanął u wlotu do nor, jednocześnie delektując się zwycięstwem. Sroki zostały poważnie przetrzebione, a niewielka garstka ocalałych umykała w przerażeniu. Storne nie widział sensu, by jego wojownicy rzucali się w pościg za niedobitkami, tak więc wkrótce dumne ptaki powróciły do swoich górskich siedlisk.

Sam Storne jednak pozostał jeszcze jakiś czas na miejscu, bo odczuwał smutek na myśl o rozstaniu z rudzikami. Kirrick natomiast, po chwilowej euforii wywołanej pomyślnym wynikiem starcia, posmutniał z obawy, że będzie musiał się pożegnać z ukochaną Portią. Do tej pory wszystko, co mówiła i robiła świadczyło o jej miłości i

przywiązaniu. Czy jednak zechce opuścić rodzinne strony i u jego boku narażać się na dalsze niebezpieczeństwa?

Portia zauważyła rozterkę rudzika i intuicyjnie wyczuła jej przyczynę.

- Już nigdy w życiu się z tobą nie rozstanę, mój najdroższy - zapewniła.

Kirrick i Portia po krótkiej przerwie poderwali się do lotu. Poczuli wielką ulgę na myśl, że teraz będą mogli podróżować w powietrzu, a nie przedzierać się mozolnie lądem. W towarzystwie Storne'a rudziki raz jeszcze opadły na ziemię, by się pożegnać z Oliverem. Królik nerwowo przestępował z nogi na nogę w obecności wielkiego orła, i tylko ostatnim wysiłkiem woli się powstrzymywał, by nie czmychnąć w bezpieczny mrok swoich tuneli. Portia tymczasem przedstawiła Storne'a i pocieszyła Olivera, że teraz już orły nie będą polować na króliki w tej okolicy, co Storne potwierdził uroczystym skinieniem masywnej głowy. Potem zwrócił się w stronę Kirricka.

- Szczęśliwej podróży, mój mały przyjacielu, i niczym się nie frasuj! Rozstawię strażę po obu stronach króliczego pagórka i jeżeli ten przekłety ptak pokaże się na moim terytorium, zgotuję mu gorące przyjęcie!

- A więc do widzenia! - odparł Kirrick. - I jeszcze raz dziękuję za pomoc. Do zobaczenia!

- W wyznaczonym czasie i miejscu - odpowiedział potężny orzeł. - Zjawimy się tam z pewnością, daję ci słowo!

Po tych słowach Portia i Kirrick wyruszyli w drogę. Kierując się pozycją słońca, obrali kurs na południe, by odbyć swoją najdłuższą wspólną wyprawę.

Slyekin uznał, że zwlekał już zbyt długo. Chociaż do uczy pozostało jeszcze kilka tygodni, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie

wszyscy członkowie Rady Sów znajdą się w jego lochach. Bo tylko pochwylenie pozostałej szóstki gwarantowało pełne powodzenie jego planu. Przede wszystkim jednak zależało mu na tym, by jeszcze bardziej pognębić Cerivala i jak najszybciej zadać ostateczny cios jego dumie i honorowi.

Slyekin postanowił wyłapać sowy po kolei - jedną po drugiej. Chciał powoli i z wyrafinowanym okrucieństwem gasić nadzieję w sercu Cerivala. Wezwał przed swoje oblicze zaufanych pachołków - bezwzględną piątkę, zgarną jak gang złodziei - i wydał im odpowiednie instrukcje. Ta grupa miała się udać w najdłuższą podróż, by zgarnąć sowę śnieżną - Isidrisa. Widok tego właśnie ptaka zniewolonego i upokorzonego będzie wyjątkowo bolesny dla Cerivala. Niemniej, z racji odległości, trzeba będzie długo czekać na tę przyjemność, by więc wcześniej zażyć rozrywki, Slyekin zdecydował się wyekspediować drugi oddział, by pochwylił którąś z sów żyjących bliżej jego siedliska.

Slyekin zaniósł się skrzekliwym śmiechem, gdy uświadomił sobie, jak niewielkie siły będzie musiał wysłać w tym wypadku. Wystarczą zaledwie trzy sroki z jego elitarniej kohorty, by zgarnąć Ca-itlin. Sóweczka nie zdoła stawić oporu, za to z pewnością dostarczy wszystkim wiele uciechy, gdy już znajdzie się w niewoli srok. Slyekin zarechotał z okrutną satysfakcją. Wiedział, że każda sowa zasiadająca w Radzie posiada zdolności, których on nigdy nie osiądzie, reprezentowała coś, co na zawsze pozostanie dla niego niedostępne! Jakże on ich wszystkich głęboko nienawidził. Wkrótce jednak te dumne ptaki będą się musiały przed nim płaszczyć. O, tak. Zmusi je, by padły przed nim plackiem. A potem je wszystkie pozabija!

10.

Podczas gdy Portia i Kirrick kierowali się na południe, a Traska, beznadziejnie zagubiony, błądził w meandrach króliczych nor, u Tomara zjawił się nieoczekiwany gość. Stary puszczyk - co zdarzało się już teraz niebywale rzadko - właśnie pomyślnie zakończył łowy i szykował się do śniadania, kiedy znajome oblicze pojawiło się w wylocie jego dziupli.

- No, no! Nie widziałem cię od wieków - ucieszył się Tomar. - Wyglądasz, jakbyś wróciła z kampanii wojennej.

To było delikatnie powiedziane. Głowę i grzbiet przyjaciółki puszczyka znaczyły niezliczone skaleczenia, a podziw Tomara dla gościa wzrósł jeszcze, gdy usłyszał, co się wydarzyło. Była to opowieść o wielkiej odwadze wobec bezwzględnej brutalności i na obliczu puszczyka wkrótce pojawił się wyraz zatroskania oraz ledwo hamowanego gniewu.

Anisse - ona to bowiem przybyła z wizytą - pozostała przez cały dzień u Tomara. Stary puszczyk zdołał dodać jej otuchy i obudzić nową nadzieję, gdy objaśnił plan, nad którym tak pilnie pracowali razem z Kirrickiem.

- Oby spełniły się twoje zamierzenia, Tomarze. Trzeba zrobić wszystko, żeby położyć kres tej tyranii - z mocą podkreśliła Anisse.

- Bardzo mnie martwi, że tak bardzo cierpiełaś, chociaż niewiele

miałaś wspólnego z całą przygodą - w głosie Tomara pobrzmiwało współczucie.

- Nie przejmuj się. Przeżyję - odrzekła perkozica. - Tak czy owak jestem dumna, że przynajmniej w małym stopniu mogłam wspomóc Birddom. A bałam się, że mimowolnie stałam się zdrajczynią, kiedy ta podła sroka wydusiła ze mnie wiadomość o twoim spotkaniu z Kirrickiem. Tym bardziej się cieszę, że wszystko zakończyło się szczęśliwie.

- Jeszcze za wcześnie, by mówić o zwycięstwie - powiedział z powagą Tomar. - Do tej pory nie mam żadnych wieści o Kirricku. Możemy tylko wierzyć, na przekór wszystkiemu, że ten maleńki ptaszek wypełni tak trudne zadania. To wielki ciężar jak na drobne skrzydła! Coś mi jednak podpowiada, że Kirrick nie zawiedzie. Niezwykły bowiem ptaszek z naszego rudzika!

- Też odniosłam podobne wrażenie, mimo że zawarliśmy ledwie przelotną znajomość. Cóż, teraz już nie możemy mu pomóc. Natomiast obojgu nam świetnie zrobi chwila wytchnienia i rozmowy.

I tak puszczyk z perkozica spędzili miłe popołudnie w swoim towarzystwie, a gdy nadciągnął mrok i nadeszła pora snu, Anisse postanowiła pozostać na noc w Tanglewood. W pobliskich krzewach znalazła miejsce na prowizoryczne gniazdo, mające jej zapewnić nieco wypoczynku.

- Bardzo się cieszę, że mnie odwiedziłaś, przyjaciółko - wyznał Tomar, tuż po tym, jak ptaki życzyły sobie dobrej nocy. - Jakie to szczęście, że zdołałaś zachować życie!

Już nazajutrz na jodle Tomara pojawił się kolejny gość, z którego przybycia puszczyk ucieszył się nawet jeszcze bardziej niż z wizyty Anisse. Uśmiechnął się szeroko i wyjątkowo ciepło powitał Caitlin, która przysiadła na gałęzi obok starego przyjaciela. Tomar przedstawił sobie oba odwiedzające go ptaki, po czym zadał pierwsze z wielu

pytań kłębiących mu się w głowie.

- Skąd wiedziałaś, że tak bardzo cię potrzebuję?

- Nie miałam o tym pojęcia, mój drogi - odparła sóweczka. - To zwykły zbieg okoliczności, zapewniam cię. Chociaż z drugiej strony... może los tak chciał.

- Co w takim razie cię do mnie sprowadza? Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy widziałem ciebie - czy kogokolwiek z członków Rady - po raz ostatni... - na obliczu Tomara pojawił się smutek.

- Zbyt wiele. Zbyt wiele, przyjacielu - westchnęła Caitlin. - Ja jednak utrzymywałam kontakt z jednym z naszych współbraci. Czy pamiętasz młodego Tarquina?

- Bardzo dobrze. Wyjątkowo zdolny młodzian, chociaż dość porwoczy, o ile mnie pamięć nie myli.

- Nie, nie myli. Otóż on i ja jesteśmy sąsiadami - oczywiście, biorąc pod uwagę, jak bardzo rozsiani po całym Birddom są członkowie Rady. Odwiedzałam go więc co kilka tygodni, żeby nie stracić z nim kontaktu. Były to wizyty natury towarzyskiej, całkiem miłe, choć niekiedy nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Tarquin uważa mnie za starą marudę.

Caitlin urwała, a Tomar kurtuazyjnie pospieszył z zaprzeczeniami. Usatysfakcjonowana sóweczka podjęła temat.

- W każdym razie dwa tygodnie temu wybrałam się do niego w odwiedziny, jednak go nie zastałam w domu. Byłam zaskoczona, ponieważ Tarquin wiedział, że przylecę. Najbardziej jednak zaniepokoił mnie stan jego gniazda. Było niemal całkowicie zrujnowane i nosiło wyraźne ślady walki. Zaczęłam wypytywać o Tarquina mieszkające w pobliżu małe ssaki. Nie darzą one naszego przyjaciela sympatią, to jedno jest pewne. Tarquin najwyraźniej odznaczał się wyjątkową żarłocznością. W końcu jednak dowiedziałam się, że został uprowadzony przez spore stado srok. Zwierzęta, z którymi rozmawiałam, nie

wiedziały, dokąd go zabrano i dlaczego. Ja też nie bardzo mogłam pojąć, o co chodzi, postanowiłam więc udać się do Cerivala, ale tam zastałam taką samą sytuację. Nic z tego nie rozumiem.

- Ja natomiast rozumiem aż za dobrze - odparł Tomar. - A więc Cerival stał się więźniem Slyekina. W tej sytuacji jeszcze ważniejsze jest, by mój zamysł się powiódł.

Powiedziawszy to, Tomar zaczął wszystko wyjaśniać Caitlin. Opowiedział jej o knowaniach Slyekina, o misji Kirricka, o Trasce prześladującym rudzika, zdradził też swój plan pokonania niegodziwych srok. Caitlin słuchała z uwagą i tylko od czasu do czasu klaskała skrzydłami, zachwycona tym czy owym szczegółem przemyślnego konceptu Tomara. Zapewniła też, że znajdzie odpowiedniego pośrednika do rozmów z owadami. Mimo to puszczyk był wciąż zatroskany.

- Wieści, które przynosisz, są ponure - powiedział. - Wygląda na to, że Slyekin postanowił porwać wszystkich członków Rady.

- My jednak już znamy jego zamiary - zauważyła Caitlin. - Musimy się ukryć. Znam wiele takich miejsc, w których nigdy nas nie znajdzie.

- Przede wszystkim musimy przyspieszyć wprowadzenie naszego planu w życie - zdecydował Tomar. - Anisse zadba o to, by wszystko tutaj przebiegło, jak należy. Gdy zaś sroki przylecą po nas... uważam, że nie powinniśmy stawiać oporu. Wręcz przeciwnie, powinniśmy sprawiać wrażenie apatycznych i pozbawionych woli walki. Pozwolić, by zabrano nas tam, gdzie przetrzymują pozostałe sowy.

Na obliczu sóweczki pojawił się wyraz rozbawienia.

- Ach ty, przebiegły... geniuszu. Już zdołałeś stworzyć plan ocalenia Rady!

- Plan to za dużo powiedziane. Na razie zaświtała mi w głowie pewna myśl. Muszę ją teraz starannie przeanalizować. W każdym

razie, nie mamy czasu do stracenia. Caitlin, przyjaciółko, czy możesz bezzwłocznie znaleźć dla mnie tłumacza? Musimy jak najszybciej przystąpić do realizacji naszej części planu.

Traska już dawno zatracił orientację. Nie wiedział, gdzie się znajduje i jak długo krąży po tych przeklętych korytarzach. Był otumaniały i coraz bardziej wściekły. Mógł znaleźć tu dostatecznie dużo robaków, by nie odczuwać głodu, chociaż powoli miał już serdecznie dosyć tej jednostajnej diety. Szybko też odkrył, że ostrym dziobem może przebijać dziury w korzeniach gęsto wystających ze ścian niektórych korytarzy i w ten sposób dostawać się do jakże cennej wody.

Kilkakrotnie przychodziło mu do głowy, by zawrócić i szukać wylotu, którym dostał się do labiryntu. Już chyba konfrontacja z orłem byłaby lepsza od tego koszmaru. Do tej pory jednak tyle razy kluczył, że wątpliwe, by udało mu się teraz odnaleźć drogę powrotu. Stąd nie pozostawało mu nic innego, jak tylko przeć przed siebie.

Potyając się i zataczając, człapał więc dalej, z każdym krokiem coraz bardziej przygnębiony własną porażką. W końcu ogarnęła go taka depresja, że coraz częściej myślał o tym, by się poddać. Jakże prosto byłoby się położyć tu, gdzie stał i już nigdy więcej się nie podnieść. Wystarczyłoby po prostu zatrzymać się i nie brnąć dłużej przez te piekielne tunele.

Tunele! Nagle, choć był już półprzytomny, zaświtała mu pewna myśl. Tunel, którym właśnie się przemieszczał, od jakiegoś czasu nieustannie piał się w górę, a to oznaczało tylko jedno - prowadził do wyjścia! Nadzieja dodała Trasce sił i ptak przyspieszył kroku. Droga rzeczywiście prowadziła ku powierzchni, korzenie roślin były tu młodsze, delikatniejsze, nie tak sękate i powyginane ze starości jak na poprzednim odcinku, gleba zaś bardziej miękka. Traska popadł w uniesienie. Jeszcze chwila, a będzie wolny!

Śmiało wyszedł zza zakrętu i nagle stanął jak wryty. Tunel prowadził donikąd! Przejście zostało zablokowane dawno temu gliną, która do tej pory stwardniała na kamień. Traska zrozpaczony wpa-trywał się w ścianę, a potem odwrócił się i gorączkowo rzucił przed siebie, jakby za chwilę jakiś demon zemsty miał zablokować drogę, którą tu przybył, i tym samym pogrzebać go żywcem.

Gdy pędził przed siebie, nagle przeleciała mu przed dziobem dżdżownica. Chwilę później następną. Traska przystanął i zerknął na sklepienie tunelu. Tuż nad jego głową wiło się więcej dżdżownic, a w miejscu, z którego spadła jedna z nich, pojawił się niewielki otwór przepuszczający smużkę światła.

Traska niemal zaskrzeczał z radości, po czym zaczął gorączkowo wykopywać się z tej piekielnej nory. Strop tunelu był w tym miejscu bardzo nadwerężony, więc dziób sroki z łatwością go dziurawił. Ziemia zasypywała Trascę oczy, nie widział zbyt dobrze, wkrótce jednak udało mu się przebić na zewnątrz i zaczerpnąć głęboki haust chłodnego, świeżego powietrza. Pracując ze zdwojoną siłą, poszerzył otwór i po jakimś czasie zdołał się precyzyjnie przycisnąć na zewnątrz.

Był wolny!

Kirrick i Portia postanowili, że zanim wyruszą w ostatnią, lecz najdalszą podróż, najpierw odwiedzą Tomara. Teraz, gdy Traska nie stanowił już zagrożenia, Kirrick nie obawiał się wizyty w Tanglewood. A miał przecież tyle do opowiedzenia staremu przyjacielowi. Portia zaś wprost nie mogła się doczekać, kiedy pozna tego wspaniałego, mądrego ptaka, o którym tak wiele nasłuchiwała się od Kirricka.

Przez następne dni frunęli niemal bez wytchnienia - najszybciej, jak mogły ponieść ich skrzydła. A w drodze rozmawiali o czymś, co każdemu z nich jeszcze kilka miesięcy wcześniej wydawałoby się nieosiągalne. Rozmawiali o przyszłości - o przyszłości po zwycięstwie nad srokami.

- Od bardzo dawna nie śmieliśmy nawet myśleć, że ten koszmar kiedyś się skończy. Do tej pory jednak udało się wprowadzić w życie założenia planu Tomara zgodnie z jego przewidywaniami. Wreszcie zaczynam wierzyć, że możemy pokonać wroga. Że ptaki Birddom czeka jeszcze dobra przyszłość.

O przyszłości rozmyślała też młoda samica sroki, siedząca z posępną miną na miękkim gnieździe. Dla Katyi najważniejsze było teraz to jajo, które wysiadywała. Dzięki niemu dostąpi odkupienia. Jej liczne obrażenia już się zagoiły. Była przecież młoda i zdrowa. Ale pozostały rany psychiczne, a one nie zablizną się nigdy. Katya zamknęła się we własnym świecie. Koncentrowała się na przyszłym potomku i lekcji, jaką zamierzała mu przekazać. Już dawno temu postanowiła, że jej syn będzie mścicielem.

Wyrośnie na dużego, silnego ptaka. Ona już się postara, by nie spotkała go żadna krzywda. A potem zacznie go edukować. Nie będzie mu jednak opowiadać o dobrych, radosnych rzeczach, o których jej opowiadali rodzice, ale nauczy go, jak nienawidzić. Jak nienawidzić i pałać żądzą zemsty.

Oczom Tomara ukazał się zdumiewający widok, gdy przybył na polanę będącą tradycyjnie miejscem ważnych zebrań - przede wszystkim Rady Sów. Przypominała wyglądem idealny amfiteatr w miniaturze. Otaczające ją dęby odbijały głos do wewnątrz, tak że żaden niuans nie umykał uszom słuchaczy. Polana odznaczała się także wyjątkową pięknnością - tonęła w soczystej zieleni i panował na niej kojący spokój.

Tomar odniósł wrażenie, że ma przed sobą żywy tiul pokrywający każdy centymetr podszycia lasu, każdy konar, liść i gałązkę. Ów tiul nie zmieniał swoich wymiarów, a jednocześnie nieustannie poruszał się i migotał. Były to przybyłe na zgromadzenie owady.

Tomar zwrócił się ku Caitlin, równie oszołomionej jak i on.

- Sroki to niebezpieczny wróg. Gdyby jednak te stworzenia siedzące przed nami, kiedykolwiek sprzymierzyły się przeciwko ptakom... - Tomar urwał gwałtownie. Miał teraz tylko nadzieję, że te nieprzebrane rzesze staną po jego stronie.

Tłumacz przyprowadzony przez Caitlin okazał się sędziwym kretem. Jego miękkie futerko całkiem już posiwiało, więc wyglądał, jakby pokrywała go warstewka kurzu. Kret był zupełnie ślepy, odznaczał się jednak nadzwyczajnym słuchem. A przede wszystkim należał do wyjątkowo uczonych zwierząt. Całe życie strawił na zgłębianiu rozlicznych języków i dialektów, jakimi posługiwały się owady. Caitlin знаła go od wielu lat i zawiązała się między nimi swoista przyjaźń zrodzona ze wspólnych zainteresowań naukowych. Tyle że do tej pory sóweczka nigdy nie musiała się odwoływać do niezwykłych umiejętności kreta.

Nazywał się Jonathan (nosił imię zdumiewająco pospolite jak na kogoś tak poważanego i uczonego), a gdy się odezwał, Tomar nie mógł się powstrzymać od cichego śmiechu. Obecność Caitlin okazała się nieoceniona! Kret wyrażał się bowiem językiem tak barokowo kwiecistym, że dla uszu Tomara jego mowa była równie niezrozumiała, jak język owadów. Ostatecznie więc Caitlin musiała tłumaczyć słowa tłumacza!

Od chwili, gdy insekty zjawiły się na polanie, w powietrzu nieustannie unosiło się niskie brzęczenie. Ale kiedy tylko Tomar się podniósł, by przemówić do zgromadzonych, nastąpiła absolutna cisza.

- Moi przyjaciele - zagaił puszczyk. - Przyszło nam żyć w niespokojnych czasach. Wszyscy mamy wielu naturalnych wrogów, a do tego musimy niemal co dzień mierzyć się z dodatkowymi niebezpieczeństwami. Żałuję bardzo, że spotykamy się jako istoty całkiem sobie obce i to w tak dramatycznej chwili. Szkoda, że wcześniej nie poznaliśmy się nawzajem. Teraz poprosiłem was o spotkanie, bo

nieprzyjaciel, który nas gnębi, działa wbrew prawom Natury. Potrzebujemy pilnie waszej pomocy, by go pokonać i przywrócić odwieczny porządek rzeczy.

Jonathan na bieżąco tłumaczył słowa Tomara donośnie rezonującym, gardłowym głosem. Każde zdanie musiało być przetłumaczone na trzy różne języki, więc był to długi i powolny proces. Jednak mowa puszczyka nie traciła w przekładzie nic ze swej mocy i zaangażowania.

- Od chwili, gdy Slyekin, swymi ciemnymi knowaniami zniszczył harmonię życia w Birddom, koncentrowaliśmy się - jako indywidualne osobniki, a także poszczególne gatunki - na przetrwaniu. Wbrew rozsądkowi łudziliśmy się nadzieją, że wkrótce wszystko wróci do normy. Karmiliśmy się ułudą, byliśmy głupcami. Slyekin postanowił bowiem unicestwić wszystkie ptaki, z wyjątkiem własnego gatunku. I nie spocznie, dopóki nas wszystkich nie wymorduje. Czas więc, byśmy stanęli z nim do walki. Wszyscy razem. Nasz plan przewiduje, że pozostałe przy życiu ptaki zjednoczą się i wypowiedzą srokom wojnę. Slyekin nie podejrzewa, że mamy dość odwagi, by wystąpić przeciw jego kohortom. Jest przekonany, że złamał w nas ducha. Wkrótce jednak się przekona, jak bardzo się mylił. Musimy podjąć to wielkie wyzwanie. Musimy bezwarunkowo pokonać sroki. Druga szansa już się nie nadarzy. Slyekin jest zbyt przemyślny, by do tego dopuścić.

Tomar urwał na moment, niepewny, co powinien powiedzieć dalej, szybko jednak zebrał się w sobie i podjął przemowę.

- Wystawimy przeciwko krukowatym potężną armię. Ale sroki i ich pobratymcy wymordowali już wiele gatunków ptaków, w najlepszym więc wypadku uda nam się dorównać im w walce. By ich zdecydowanie pokonać, potrzebujemy elementu zaskoczenia. Potrzebujemy waszej pomocy.

Następnie Tomar zaczął szczegółowo wyjaśniać swój plan zafascynowanemu jego słowami audytorium. W końcu wyjął spod skrzydła

i pokazał buteleczkę z trucizną. A chociaż w jego szponach była nie-duża, tysiącom owadów wydała się czymś potężnym.

- Człowiek od wieków jest naszym wspólnym wrogiem. Teraz jednak, choć nieświadomie, przyszedł nam z pomocą. Pewien dzielny, choć skazany na zagładę królik pokazał mi drogę. Naszą sekretną bronią będzie trucizna. Potrzebuję jednak waszej pomocy, by przygotować pułapkę. Tylko wy jesteście bowiem niewrażliwe na ten rodzaj toksyny. To, co dla każdego ptaka czy ssaka byłoby zabójcze, wam nie wyrządzi najmniejszej krzywdy. Jeżeli zgodzicie się nam pomóc, waszym zadaniem będzie skażenie tą substancją każdego ścierwa i każdego martwego zwierzęcia w promieniu kilometra od siedziby Slyekina. Sroki to leniwe ptaki. Na ucztę przede wszystkim zgromadzą to, co uda im się znaleźć w najbliższej okolicy. Wy i tylko wy możecie nam pomóc w zadaniu ostatecznego ciosu - odzyskaniu wolności i sprawiedliwości. Czy zgodzicie się to uczynić?

Slyekin wpadł w furję, bo po raz pierwszy element jego przemyślnego planu spalił na panewce. Gdzież mogła się podziewać ta przeklęta sóweczka? Oczywiście, sama Caitlin nie stanowiła dla niego żadnego zagrożenia. Była najmniejszą z sów, a mimo to Slyekinowi wyjątkowo zależało, żeby ją pochwycić. Jako najśłabsze ogniwo Rady dałaby mu niepowtarzalną możliwość wyjątkowego pogiębienia jeńców. Jak wszyscy oprawcy, Slyekin najchętniej wyżywał się na najdrobniejszych, najbardziej bezbronnych istotach. Potrzebował więc Caitlin. Trzeba ją odnaleźć za wszelką cenę!

Przywołał adiutantów, po czym - miotając się i wydzierając na całe gardło - wysłał ich z przykazaniem wytropienia sóweczki. Kiedy przerażone gniewem wodza sroki wyruszyły w drogę, uspokoił się nieco i zaczął chłodno rozważać sytuację. Wkrótce w jego lochu znajdzie się Isidris. Caitlin to denerwujący, ale w gruncie rzeczy

drobny problem. Wcześniej czy później jego zwiadowcy ją pochwyć. Oznaczało to, że nadszedł czas na Tomara.

Na wspomnienie starego puszczyka, Slyekina aż zmroziło. Ze wszystkich członków Rady, Tomara nienawdził najbardziej. Cerival był starym, naiwnym głupcem. Innymi sowami udałoby się manipulować lub je zastraszyć. Tomar natomiast, we wspomnieniach Slyekina, był niczym odwieczna, granitowa opoka. Odznaczał się wyjątkową mądrością, honorem i poczuciem sprawiedliwości. Uosabiał wszystko to, co Slyekin chciał unicestwić. Trzeba więc go pokonać. Najpierw jednak trzeba go pochwyć. Slyekin wezwał najbardziej zaufanych zbirów i kazał sformować oddział złożony z najokrutniejszych krukowatych. A potem wysłał ich po Tomara.

Kirrick i Portia wypoczywali po długim dniu nieprzerwanego lotu. Księżyc świecił jasno na letnim niebie, a rudziki przyglądały mu się w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Kirrick wspominał lata dzieciństwa. Jego związek z Portią stał się czymś więcej niż tylko wzajemnym zauroczeniem. Ich miłość dojrzała i rokowała udany związek na całe życie. Teraz do szczęścia brakowało im jedynie dzieci.

Kirrick pomyślał o swoim ojcu. Szkoda, że Halen tak szybko padł ofiarą srok. Był kochający, dobry i mądry. Kirrick miał nadzieję, że jego własne latorośle kiedyś to samo powiedzą o nim. Ojciec nauczył Kirricka odwagi, ale także pokazał, jak cieszyć się życiem, we wszystkim dostrzegać coś radosnego. Owa kombinacja dzielności i poczucia humoru dobrze posłużyła Kirrickowi w późniejszych latach.

Portia także rozmyślała o rodzicielstwie. Była gotowa do godów. Zapragnęła wreszcie założyć własne gniazdo, w którym wysiadywałyby wianuszek jajek. A potem opiekowałyby się piskletami. Była na

to dobra pora roku... a do tego Kirrick tak bardzo ją pociągał! Uśmiechnęła się nieznacznie, po czym powiedziała sobie w duchu: Na co więc czekać?

To był długi dzień i Tomar czuł się wyczerpany. Wiele godzin zajęły mu perswazje i rokowania, bo owady okazały się twardymi negocjatorami. Z konieczności należały do praktycznych stworzeń i choć współczuły ptakom z Birddom, oczekiwały bardziej namacalnej korzyści niż dożywotnia wdzięczność sów. Tomar niestrudzenie wskazywał, że gdy krukowate zostaną pokonane i wygnane z kraju, owady będą się cieszyć większą obfitością padliny. Ich królowi jednak to nie wystarczało. W końcu więc Tomar zagrał swoją atutową kartą.

- Jeżeli sroki przegramy batalię i w Birddom zapanuje porządek, Rada Sów znowu podejmie swoje obowiązki. Wiele dawnych zwyczajów ulegnie zmianie. Dostaniemy szansę nowego życia. Ptaki są z natury zwierzętami wszystkożernymi. Wprowadzimy więc prawo zakazujące ptakom żywienia się owadami. W podzięce za pomoc, o którą teraz prosimy, zapewnimy wam wieczne bezpieczeństwo.

Przywódcy owadów - w wielkiej liczbie - oddalili się na naradę, a Tomar i Caitlin z drżącym sercem czekali na koniec dyskusji. Wreszcie owady podjęły decyzję, a chwilę później sowy wpatrywały się w buteleczkę z trucizną niesioną na plecach setek chętnych stworzeń oddalających się z wolna od polany. A więc ta część planu się powiodła. Teraz reszta zależała od Kirricka. Tomar ponownie wrócił myślami do dzielnego rudzika i jego misji. Nie mógł wiedzieć, że jej wynik przekroczył jego najśmielsze marzenia, a sam Kirrick znajdował się zaledwie kilka kilometrów od Tanglewood. Jeżeli fortuna by im sprzyjała, mogli się spotkać już nazajutrz. Któż jednak z całą pewnością potrafi przewidzieć, co przyniesie nowy dzień?

11.

Kirrick i Portia natychmiast po przebudzeniu wyruszyli w drogę. Chcieli jak najszybciej dotrzeć do Tanglewood i spotkać się z Tomarem, mierzyli więc wprost do celu. Wszystkie ptaki są mistrzami nawigacji, a rudziki nie stanowiły w tym względzie wyjątku. Jakby miały wewnętrzny kompas, prowadzący je bezbłędnie przez nieznaną terytorium do miejsca przeznaczenia.

Po godzinie lotu Kirrick dojrzał dobrze mu znaną, imponującą gęstwinę starego boru. Portia, wędrując wzrokiem za spojrzeniem Kirricka, po raz pierwszy w życiu zobaczyła mroczny zarys Tanglewood.

- Jakże się cieszę, że spotkam Tomara! - wykrzyknął Kirrick. - Mam mu tak wiele do powiedzenia.

Rudziki jeszcze energiczniej zamachały skrzydełkami i zaczęły się zniżać ku koronom drzew.

Kirrick zareagował pierwszy i aż zamarło w nim serce, gdy Portia się zawahała, zanim zapikowała za nim gwałtownie w dół, by skryć się w gęstym listowiu. Chwilę później liczna kohorta srok i gawronów wzbijała się ponad linię lasu. Uczucie ulgi, które ogarnęło Kirricka, gdy nabrał pewności, że wraz z Portią pozostali niezauważeni przez wroga, szybko ustąpiło rozpacz, kiedy dojrzał, że pośród srok znajduje się Tomar.

Sprawiał wrażenie apatycznego i przygnębitego - najwyraźniej został więźniem krukowatych. Wraz z nim była tam jeszcze inna, mała sowa, nieznana Kirrickowi. Podczas gdy rudziki przyglądały się scenie z przerażeniem, sroki uformowały szyk i popędziły jeńców na południe.

W pierwszym, irracjonalnym odruchu Kirrick chciał się rzucić przyjacielowi na ratunek. Portia na szczęście szybko powściągnęła jego impulsywność.

- To byłaby kolosalna głupota, Kirricku. Nie zdołasz mu przeciw pomóc. Teraz natomiast, jak nigdy dotąd, najważniejsze jest to, byś doprowadził swą misję do szczęśliwego końca.

Napastnicy pojawili się o pierwszym brzasku. Przybyli dużą grupą i Tomar zdumiał się, że tak szybko i niespodziewanie pojawili się w Tanglewood. Dziękował więc losowi, że zdążył porozumieć się z owadami. Oczywiście wiedział, że sroki po niego przylecą, a ich zdumienie i zachwyty, że zastali nie jedną, a dwie sowy, w duchu go rozbawiło.

No i wyszło to zarówno jemu, jak i Caitlin na dobre, bo sroki nie odważyły się na akty szczególnej brutalności - dwie sowy stanowiły już liczącą się siłę, choć jedna z nich nie imponowała wielkością. Krukowate wręcz nie potrafiły ukryć uczucia ulgi, gdy Tomar i Caitlin bez sprzeciwu poddali się ich żądaniom. Najwyraźniej napastnicy spodziewali się bardziej wojowniczej postawy. Caitlin jednak zaakceptowała pomysł Tomara, by zaniechać wszelkiej walki, poza tym była zbyt drobna, żeby wdać się w bójkę z całą hordą groźnych ptaków. Sroki i gawrony szydziły z obu sów, wyzywały je od tchórzy i drwiły, że nie są zapewne zbyt mądre i bystre, jeżeli tak łatwo wpadły w szpony bandy. Tomar i Caitlin nie dali się sprowokować i cały czas zachowywali pełne wyższości milczenie. Przywódca kohorty, spasiony, ale zaprawiony w bojach gawron o splamionym krwią dziobie, był wyjątkowo zjadliwy w swoich obelgach.

- To niemożliwe, by takie niedojdy, takie ofiary losu należały do Rady. Aż żałość bierze, gdy się na was patrzy. Stoicie przed nami, trzęsąc się ze strachu. I to wy mieliście być Wielkimi Prawodawcami? Nie jesteście godni, by strząsać kurz ze sroczego ogona. Slyekinowi nie przysporzycie kłopotów, to jedno jest pewne. No, już. Ruszamy. Czeka was ważne spotkanie, na które nie możecie się spóźnić!

Gawron zarechotał okrutnie i, z pomocą kompanów, zmusił sowy do wzbicia się w powietrze. I tak to właśnie, akurat w chwili, gdy rudziki zbliżały się do Tanglewood, sowy pozwoliły się uprowadzić i powieść ku kryjówce Slyekina.

Kirrick był zrozpaczony. Pomimo ponagleń Portii, nie wiedział, co robić. Bo czy działanie zgodne z pierwotnym planem miało jakikolwiek sens, gdy zabrakło Tomara? Nie omówili żadnych planów bitewnych na wyznaczony dzień, a teraz, niespodziewanie, generał znalazł się w niewoli. Kirrick był jedynie posłańcem, nie dowódcą armii. Czuł się kompletnie zagubiony i przybity.

Przez dłuższy czas siedział w bezruchu. Każda myśl budziła nowe wątpliwości, przebłyski nadziei były gaszone przez podszepty rozumu. Jeszcze nigdy dotąd Kirrick nie czuł się tak niekompetentny, niegodny powierzonej mu misji. Ale w końcu, pomimo chaosu w głowie, jedno dotarło do niego z pełną ostrością. Jeżeli zawiedzie, Birddom pograży się w wiecznym mroku. Dla żadnego przyzwoitego ptaka nie będzie już przyszłości. Tylko wprowadzenie zamysłu Tomara w życie dawało cię szansy. Gdy zaś chodzi o samą bitwę, potężniejsze ptaki staną po stronie dobra. Będą wiedziały, co robić, gdy wybije godzina próby. On musi po prostu zrobić wszystko, by zjawiły się siły wystarczające do walki.

Kirrick spojrzał przeciągle na Portię, po czym skrzydłem delikatnie dotknął jej policzka.

- Wybacz - powiedział. - Poczułem się tak strasznie zagubiony, gdy zobaczyłem Tomara w niewoli. Masz jednak rację. Musimy kontynuować misję i to bez zwłoki. Pokonaliśmy już większość dystansu, lecz przed nami jeszcze daleka podróż. Czas nagli. Czy masz dość sił, by ruszać w drogę?

- U twojego boku jestem gotowa dwa razy oblecieć świat dookoła - odparła Portia.

- Na co więc czekamy?

Rudziki poderwały się do lotu. Z powodu wcześniejszych wydarzeń nie udały się już do domu puszczyka, gdzie czekała Anisse ze słowami nadziei i otuchy. Z wiadomością, że wszystko, co się stało, było także częścią planu Tomara.

Być może rudzikom wciąż sprzyjała fortuna, bo wkrótce po tym, jak Kirrick i Portia wyruszyli w ostatnią podróż, na krzywej jodle Tomara przysiadł inny, zdecydowanie mniej pożądanym gość. Był wyczerpany i wyglądał jak siedem nieszczęść, bo leciał kilka dni bez odpoczynku. Przygnała go tu brawura i przekonanie, że nie ma czasu do stracenia. Traska - bo to był on - uznał, że nadszedł czas na konfrontację ze starym puszczykiem, którego machinacje przywiodły go do desperacji. Nawet przykre konsekwencje spotkania z jednym z pobratymców Tomara nie odwiodły samca sroki od wyprawy do Tanglewood. Traska musiał się w końcu dowiedzieć, czemu przeklęty rudzik wodził go za nos po całym Birddom.

Frustracja Traski sięgnęła więc zenitu, gdy przybył do domostwa puszczyka i nie zastał gospodarza. Szczęśliwie w owym czasie Anisse wybrała się na poszukiwanie czegoś do jedzenia, bo gdy tylko Traska ujrzał puste gniazdo, wpadł w niepohamowany szał. Jak zwykle, zaczął się rozglądać, na kim mógłby wyładować wściekłość i tym razem jego ofiarą padła para młodych mew, które miały nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze.

Gdy Traska powrócił na ulubioną gałąź Tomara, już tylko jedna mewa leciała na południe. Siostra młodego samca, okrutnie poraniona, leżała martwa na miękkim leśnym poszyciu.

Kiedy Traska ochłonął, zaczął rozważać swoje położenie. Czekają go ważne decyzje. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, dokąd udał się Tomar. Czemu opuścił Tanglewood? I czy towarzyszył mu Kirrick? Czyżby była to oznaka eskalacji lub wręcz kulminacji ich poczynań? Strach ścisnął Traskę za gardło, odchrząknął więc głośno, wypływając przy okazji kilka mewich piór.

W pierwszej kolejności postanowił odwiedzić tutejszą konfraternię srok, tę samą, do której zwrócił się o pomoc, kiedy rozpoczął pościg za rudzikiem. Traska z zadowoleniem dowiedział się, że jej chełpliwy przywódca został zastąpiony inną sroką, której rzeczowe, zwięzłe odpowiedzi, były miłą odmianą po irytującym zachowaniu poprzednika. Traska z zadowoleniem przyjął wiadomość o pojmaniu Tomara. Z radością wysłuchał też wieści o Wielkiej Uczcie, która tego roku miała zaćmić rozmachem wszystkie poprzednie uroczystości. Wśród srok krążyło już mnóstwo plotek na temat szczególnych atrakcji, jakie tym razem zaplanował Slyekin.

Pytania na temat Kirricka pozostały jednak bez odpowiedzi i Traska zaczął się zastanawiać, co mógł oznaczać brak jakichkolwiek wieści o rudziku. Kirrick najprawdopodobniej nie przybył do Tanglewood na spotkanie z przyjacielem, a jeśli nawet się tu zjawił, to natychmiast wyruszył w dalszą drogę. Ale dokąd? Traska nie miał pojęcia i nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Jednak najważniejsze, że Tomar, wraz z pozostałymi członkami Rady, znajdował się w lochach Slyekina. Traska niemal poczuł dla nich litość. Już Slyekin się postara, by sowy dostarczyły jego poddanym odpowiedniej rozrywki!

Tak czy owak plan Tomara spalił na panewce. Srokom nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Sam rudzik nie zdoła wprowadzić w

życie żadnego skomplikowanego zamysłu puszczyka. Szczęśliwie interwencja Slyekina, który potrzebował sów do wypełnienia własnego, diabolicznego planu, zniwelowała wszelkie zagrożenie, jakie mogły pociągnąć za sobą podróże Kirricka. Poza tym, Traska nie zamierzał po raz kolejny uganiać się za stukniętym rudzikiem po całym Birddom. Slyekin natomiast z pewnością chętnie posłucha, jak to Tomar motał przeciwko niemu zawiłą intrygę. Może w podzięcie za tę informację nawet zaprosi Traskę do udziału w uciechach zarezerwowanych dla najbliższych zauszników. Och, Traska z największą przyjemnością pozbawiłby życia starego puszczyka! I tak, zdecydowany już co robić, samiec sroki wzbił się w powietrze, po czym - podobnie jak kohorta, która pochwyliła sowy - skierował się na południe, ku siedlisku Slyekina.

Kirrick i Portia frunęli tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd. Do Wielkiej Uczty pozostały niecałe dwa tygodnie, Kirrick zaś doskonale zdawał sobie sprawę z wagi tej ostatniej wyprawy. Orły, sokoły i jastrzębie były potężnymi i szlachetnymi wojownikami, ale by plan Tomara się powiódł, na miejscu bitwy musieli się zjawić także bardziej przebiegli, zaprawieni w najzwyczajniejszych bójkach żołnierze. Tym razem więc Kirrick zmierzał ku wschodnim wybrzeżom, by szukać pomocy u morskich ptaków: kormoranów, petreli, rybitw i wszelkiej maści mew. Wszystkie one były zaprawione w ciągłych walkach o pokarm i terytorium. A przede wszystkim w zmaganiach przeciw najpotężniejszemu nieprzyjacielowi - wielkiemu, wzburzonemu morzu. Kirrick i Portia lecieli więc bez ustanku. Znaleźli się w pobliżu dawnego domu Kirricka, jednak się nie zatrzymali. Tam nie czekało go nic oprócz tragicznych wspomnień. Jego przyszłość była gdzie indziej. Rudzik spojrzał czule na Portię.

- Pospiesz się, ślamazaro! - pogoniła go radośnie. - Chyba się starzejesz!

Po dwóch dniach i nocach podróży ich oczom ukazało się morze. Gdy tylko dolecieli do wybrzeża, zamajaczyło przed nimi szerokie ujście rzeki. Oboje byli bardzo zmęczeni i spragnieni - ale ledwo Kirrick skręcił i zaczął zniżać się ku rzece, Portia aż się zatchnęła z wrażenia. Słońce odbiło się od mas błękitnej wody i roziskrzyło pienne grzbiety fal. Portia nigdy wcześniej nie widziała morza i jego zachwycająca barwa oraz nieogarniony przestwór wzbudziły w niej zachwyty. W porównaniu z morskimi falami, szeroko rozlane błotniste wody ujścia rzeki wydawały się odpychające i ohydne. Bez namysłu więc Portia opadła na plażę i rzuciła się ku linii brzegu. Kirrick tymczasem zbyt późno odgadł jej zamysły, by ją powstrzymać, a na dodatek szum fal zagłuszył jego krzyk.

Portia zaczerpnęła łyk słonej wody, natychmiast się zakrztusiła i odruchowo przełknęła. Zanim Kirrick do niej dopadł, już szarpały ją torsje. Była półprzytomna i zdezorientowana. Kirrick spojrzał jej w oczy i się zatrwożył, gdy ujrzał, jak bardzo są mętne. Portia osunęła się na ziemię i bez ruchu leżała na boku. Kirrick, przerażony, zaczął się rozglądać dookoła. Co miał teraz robić?

W tym samym momencie dobiegł go nagły tumult. Specyficzny syk i prychnięcie sprawiły, że zadygotał jak galareta. Wielki, rudy kocur przydybał pulchnego samczyka gila i teraz zabawił się z nim niczym z myszą, a do tego drwił i szydził z ptaka. Gil natomiast broił się bardzo dzielnie i nie pozostawał mu dłużny w potyczce na słowa.

- I ty uważasz się za kota? Widziałem bardziej przerażające świnki morskie. Beznadziejnie durny futrzak. Nie złapałbyś ślepego i okulawionego kanarka!

Kot pluł i prychnął, po czym się przycisnął i położył po sobie uszy, szykując się do skoku. Kirrick nie wiedział, co robić, był rozdarty - tu niepokój o Portię, a tam groza rozgrywającej się przed jego oczami sceny. Trwało to jednak tylko ułamek chwili. Zrozumiał, że musi

pomóc dzielnemu gilowi. Bez namysłu, niczym pocisk, spadł na nieszczęsnego kota i ugodził go w szyję. Kot zapiszczał z bólu i odwrócił się gwałtownie, by zaatakować niespodziewanego napastnika, Kirrick jednak znajdował się już wysoko, całkowicie poza zasięgiem kocich łap. Ta jedna akcja wystarczyła, by gil uciekł w bezpieczne miejsce. Kot natomiast wrzasnął z gniewu, gdy zrozumiał, że właśnie umknął mu posiłek. Prychnął raz jeszcze, odwrócił się i zniknął w pobliskich krzewach. Kiedy Kirrick upewnił się, że nic mu nie grozi, opadł na ziemię i zaczął nawoływać gila. Po chwili ujrzał czarny łepiek oraz jaskrawoczerwoną pierś wyłaniające się z kryjówki.

- Uff, wielkie dzięki. To było doprawdy bardzo odważne z twojej strony. Jak zdołam ci się odwdzińczyć?

- Musisz mi pomóc! - rzucił zdesperowany rudzik. - Moja ukochana jest ciężko chora. Napiała się morskiej wody i boję się...

Kirrick jęknął z rozpacz, gdy dotarło do niego, że może stracić Portię.

- Dużo wypiała? - spytał gil.

- Chyba nie - odparł z wahaniem Kirrick.

- Potrzeba jej słodkiej wody. I to jak najwięcej - zdecydowanie oznajmił gil. - Gdzie twoja pani?

- Tuż przy brzegu.

- W takim razie musimy działać bez zwłoki. Tam, jak nic, grozi jej niebezpieczeństwo. Widać ją, jak na dłoni. Byłaby łatwym łupem dla tego durnego kota!

- Co jednak możemy zrobić? - spytał zrozpaczony rudzik.

- Przynieś mi liść, tylko ma być mocny... W porządku. A teraz złap za jeden koniec i pomóż przeciągnąć w tę stronę.

Gil zaczął przemieszczać się w stronę rzeki. Kirrick w lot pojął jego zamiar, wciąż jednak dręczył go niepokój.

- Czy ta woda nie będzie równie szkodliwa jak morska?

- Nie, brachu. Popatrz, właśnie mamy odpływ. A więc teraz rzeka

wyrzuca wodę do morza. Dlatego jest taka błotnista. Nigdy nie wolno pić, gdy jest przejrzysta i niebieska, bo to oznacza, że nadszedł przypływ.

Wygłosiwszy autorytatywnym tonem swój wykład, gil zanurzył jeden koniec liścia w wodzie. Liść napełnił się do połowy, oba ptaki sprawdziły, czy uniosą ciężar, a gdy okazało się, że dadzą radę, niezdarńie pofrunęły ku miejscu, gdzie leżała Portia.

Kirrick odchylił delikatnie jej głowę, a gil wcisnął węższy koniec liścia do dzioba samiczki. Strumień wody sprawił, że znów zaczęła się krztusić i wymiotować, wyrzucając z siebie szkodliwą, morską wodę. Rudzik z gilem jeszcze dwukrotnie napełniali liść, aż w końcu Portia poczuła się lepiej. Była wymęczona i trzęsła się na całym ciele, Kirrick jednak nie posiadał się z radości, gdy znów ujrzał zdrowy blask jej oczu.

- Jakże mam ci dziękować? - zwrócił się pełnym wdzięczności głosem do gila.

- Ech, wiesz, jak jest. Przysługa za przysługę, i tak dalej - mruknął gil. - A tak przy okazji, mam na imię Mickey.

- A ja jestem Kirrick. To zaś Portia. Przylecieliśmy tu, by się spotkać z wodzem morskich ptaków.

- Co takiego? Ze starym Krakenem? A czemu chcecie z nim rozmawiać?

Kirrick pokrótce opowiedział Mickeyowi o swojej misji i przygodach. Oczy gila rozszerzyły się ze zdumienia.

- W porządku. A więc nie ma czasu do stracenia - rzucił śmiało, gdy Kirrick skończył opowieść. - Zaprowadzę was do siedziby Krakena. Chociaż sam nie zamierzam się zbyt do niego zbliżyć. Czasami wkurza się o byle co, a jest z niego niezły kawał ptaka.

Traska miał wiele wieści dla Slyekina - bardzo istotnych dla dalszej dominacji srok w Birdom - uważał więc, że jego powrót do

siedliska wodza będzie opromieniony chwałą. Tym razem grubo się jednak pomylił. Slyekin nie był w nastroju do dyskusji. Traska miał pecha przybyć w niesprzyjającym momencie, gdy wódz właśnie się dowiedział, że jeden z członków Rady, zbyt entuzjastycznie poganiany przez wysłanych po niego zbirów, nie przeżył podróży. A tymczasem Slyekin - choć zamierzał w końcu wymordować sowy - chciał sam wybrać miejsce i czas egzekucji, kipiał więc złością, że popsuto mu szyki. Jego zemsta na niesubordynowanych srokach była też natychmiastowa i bezwzględna - wisiały teraz na żerdzi z rozprutymi brzuchami i czekały bezsilnie, aż całkiem ucieknie z nich życie.

Traska stanął przed Slyekinem z dumnie wypiętą piersią, tak zachwycony sobą, że nie dostrzegł żadnych sygnałów ostrzegawczych w zachowaniu wodza. I właśnie miał otworzyć dziób, by rozpocząć długą, starannie przygotowaną przemowę, gdy niespodziewanie padło jedno, zasadnicze pytanie.

- Czy udało ci się zabić owego rudzika?

Aż żał było patrzeć, jak Traska nerwowo szuka słów wymówki, próbuje udobruchać wodza. Co prawda, Slyekin zdołał już zaspokoić żądzę krwawej zemsty, wciąż jednak kipiał gniewem, natychmiast więc wezwał swoich przybocznych.

- Zabierzcie go sprzed moich oczu. I to już! - rozkazał. Po czym odwrócił się w stronę Traski.

- Porachuję się z tobą w odpowiednim czasie.

Kraken mieszkał na pionowo opadającym ku morzu klifie, ośliżłym od niezliczonych warstw ptasiego guana. Kolonia była ściśle zhierarchizowana, władca więc rezydował na honorowym miejscu - na wysuniętym cyplu, z którego rozpościerał się widok na całe dominium. Kraken był olbrzymią mewą siodłatą - największym osobnikiem swojego gatunku, jaki narodził się w tych rejonach od kilku pokoleń. Jego dziób mierzył tyle samo, co cały Kirrick, a gdy wielki

ptak ziewnął i się przeciągnął, jego skrzydła rozpostarły się na niemal półtora metra.

Kraken był przywódcą dumnym i wzbudzającym strach. A do tego miał niezwykle rozległą wiedzę o morzu i wiatrach, stąd uznawano go za niekwestionowanego władcę wszystkich morskich ptaków w tym regionie. Kiedy Mickey przywiódł Portię i Kirricka w pobliże klifu, nieprawdopodobny wrzask dochodzący z tamtej strony wzbudził w całej trójce przerażenie. Ptaki morskie darły się, dziobały i nieustannie walczyły o bardziej prominentne miejsce w hierarchii kolonii. Kirricka ogarnęło przygnębienie - patrząc na ten nieopisany chaos doszedł do wniosku, że zostanie zmiażdżony przez te kłębiące się masy, zanim w ogóle uda mu się stanąć przed obliczem Krakena.

W końcu jednak rudziki dotarły do gniazda wielkiego samca. Właśnie odpoczywał wodząc rozbawionym, łaskawym wzrokiem po poddanych. Kiedy zwrócił głowę w stronę Portii i Kirricka okazało się, że Kraken ma tylko jedno oko. Drugie wydziobał mu w walce o władzę od dawna już nieżyjący rywal, oczodół zaś zarósł piórami, co nadawało przywódcy mew wygląd pirata.

- Cóż was sprowadza w tak niebezpieczne miejsce, mali przyjaciele?

Zamknięty w głębokim lochu Traska miotał się w bezsilnej furii. Że też ktokolwiek miał czelność potraktować go w równie beczere-monialny sposób! Ten głupiec, Slyekin, w żadnym razie nie nadawał się na wodza. On, Traska, chciał mu przekazać wiele cennych informacji. Sroki mogłyby się odpowiednio przygotować, zminimalizować zagrożenie. Ale tego pompatycznego durnia nie interesowało nic poza Wielką Ucztą, i własną niezaspokojoną próżnością, którą miały mile połeptać wiwaty na jego cześć z powodu niezwykle atrakcji

wieczoru. A niech licho porwie rozdmuchane ego tego przeklętego ptaka!

Traska po chwili się zorientował, że w gniewie zaczął na głos dawać upust swojej frustracji. To mogło się okazać zabójcze, szybko więc zacisnął dziób i zmusił się do zduszenia emocji. Gdyby któryś ze strażników posłyszał jego gorzkie złorzeczenia, z pewnością doniosłby o nich komu trzeba. A nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jak Slyekin zareagowałby na podobną zdradę. Traska musi więc uzbroić się w cierpliwość. Z pewnością Slyekin wkrótce pójdzie po rozum do głowy i przywoła Traskę do siebie, by wysłuchać jego opinii, poprosić o radę.

Traska - zresztą nie po raz pierwszy w życiu - uległ złudzeniu własnej wielkości. Bo tak naprawdę nigdy wcześniej jego życie nie było tak bardzo zagrożone, jak właśnie w owej chwili.

Tymczasem Tomar znajdował się w podobnym położeniu, tyle że on - w odróżnieniu od Traski - na własne życzenie. Jakiś czas temu przyprowadzono go przed oblicze Slyekina, który histerycznym tonem obrzucił puszczyka najgorszymi wyzwiskami. Tomar jednak przyjmował ów maniackalny wybuch wściekłości z doskonale odegraną pokorą. To nieco udobruchało Slyekina, nie zmniejszyło jednak rozczarowania postawą jednego z najważniejszych członków Rady. Slyekin był przekonany, że stary puszczyk wykaże się większym hartem ducha. A jednocześnie rozpierała go niesłychana duma, że tak łatwo przyszło mu złamać potęgę Rady. Uległość Tomara jasno wskazywała, że upokorzenie go w czasie Wielkiej Uczty będzie łatwiejsze, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Slyekin postanowił, że Tomar umrze ostatni. Bo jego nienawidził najbardziej. Puszczyk reprezentował sobą wszystko, co dobre w

Birddom, i dlatego wzbudzał tak wielki gniew wodza srok. Tuż po tym, jak sowy koronują go królem wszystkich ptaków, Slyekin wymorduje je po kolei w wymyślny sposób na oczach Tomara. Zwyrodniały samiec sroki już nie mógł się doczekać, by ujrzeć minę puszczyka patrzącego na śmierć przyjaciół z pełną świadomością, że nie ominie go podobny los. Gdy Tomar zobaczy, jak ginie Wielka Sowa, Cerival, wówczas zgaśnie w nim wszelka nadzieja na wskrzeszenie dawnego Birddom, a to z kolei napełni serce Slyekina niewymowną słodyczą. W końcu Tomar został odprawiony i zamknięty w odosobnionym lochu. Szczerze ucieszyło to puszczyka, gdyż w samotności mógł wszystko spokojnie przemyśleć. A teraz tego właśnie najbardziej potrzebował.

Im dłużej Kirrick przedstawiał sytuację Krakenowi, tym szybciej gościł jego wrodzony optymizm. Rudzik widział wyraźnie, że władcę mew nie interesuje los innych ptaków, a na dodatek Kirrick nabierał podejrzeń, że przebiegłe knowania Slyekina i jego bezwzględne dążenie do władzy budzą w Krakenie pewien podziw. Kirrick z mocą podkreślał, że wszystkie ptaki będą w końcu zagrożone, jeżeli nie powstrzyma się ekspansji srok, jednak coraz wyraźniej widział, że w gruncie rzeczy marnuje czas. W końcu ogarnęła go desperacja. Z sokołami, jastrzębiami i orłami wszystko potoczyło się tak gładko! Darreal i Storne pojmowali wagę jego misji i ostatecznie ochoczo go poparli. Tymczasem tego ptaka interesowało tylko jego własne małe imperium. Portia wkrótce również zauważyła, że argumenty Kirricka trafiają w próżnię, zaczęła więc także przekonywać Krakena - nalegać, by skrzyknął swoje oddziały i przyłączył się do walki. Ale wszystkie te przemowy najwyraźniej nudziły wielkiego ptaka. Nie poruszało go zło wyrządzane w odległych rejonach, On miał dosyć zmartwień na własnym podwórku! Cóż go obchodziły jakieś sroki?

Czy też rudziki, skoro już o tym mowa. Jeśli o niego chodzi, całe Birddom mogło szczeznąć, wcale by go to nie wzruszyło. Oczywiście, gdyby jakiś ptak był na tyle głupi, żeby zaatakować go osobiście, o! wówczas sprawy przedstawiałyby się zgoła inaczej. Kraken jednak doskonale wiedział, że takiego ataku mógł się najszybciej spodziewać ze strony któregoś ze swoich pobratymców, aspirujących do najwyższego miejsca w hierarchii. Jako władca musiał się w każdej chwili liczyć z próbą rokoshu czy innej akcji wywrotowej i dlatego swoim ocalałym okiem pilnie śledził podległe mu masy i czujnie wypatrywał zagrożenia.

Słuchał więc perswazji i próśb rudzików tylko jednym uchem, i Kirrick wreszcie zauważył, że szansa na powodzenie ostatniej misji rozwiewa się niczym poranny opar po wschodzie słońca. Kiedy podjął jeszcze jedną desperacką próbę zainteresowania Krakena losem kraju, rozległ się ochryply krzyk nadlatującej nad klif mewy, wkrótce podjęty niemal przez wszystkie mieszkające tu ptaki i układający się w monotonną, ogłuszającą mantrę:

- Kutry rybackie nadpływają!

Całą kolonię ogarnęło niezwykle podniecenie i wszystkie oczy zwróciły się w stronę władcy. Kraken chłodno przeprosił rudziki, wstał, otrząsnął się i po chwili uniósł w niebo. Ułamek sekundy później, cała kolonia - setki ptaków - poderwała się w powietrze, a trzepot ich skrzydeł i dzikie, wojownicze wrzaski oszołomiły małe rudziki. W mgnieniu oka Kirrick i Portia zostali na klifie całkiem sami i w milczeniu patrzyli, jak wielkie stado mew kieruje się ku flotylli kutrów wpływającej do portu. Kirrick zwrócił się do ukochanej.

- Przykro mi, że zawiodłem.

- Gdybyż tylko myśleli głową, a nie brzuchem! - wybuchnęła Portia.

Mimo powagi sytuacji, Kirrick parsknął śmiechem.

- Myślę, że zmarnowaliśmy tu już zbyt wiele czasu - oświadczył.
- Będziemy musieli sobie poradzić bez tej hałastry. Cóż, trzeba się zbierać. Dzień próby się zbliża. Czekają nas wyczerpujący lot, jeśli chcemy zdążyć na czas.

Chwilę później rudziki ruszyły w drogę, choć tym razem z ciężkim sercem. Losy Birddom zawisły na włosku. Z siłami, jakimi dysponowali obecnie, mogli wygrać, ale równie dobrze mogli ponieść klęskę. Wynik bitwy był bardzo niepewny.

12.

Ponad tydzień zajęło owadom przetransportowanie buteleczki z trucizną w pobliże siedliska Slyekina. Tysiące maleńkich stworzeń maszerowało bez wytchnienia i bez słowa skargi, dźwigając na plecach wielki ciężar. A kiedy już dotarły na miejsce, kolejne dwa dni zajęło im przegryzienie korka i dobranie się do trutki. W końcu jednak śmiertcionośna substancja zaczęła się sączyć na trawę. Niektóre owady tarzały się w małej kałuży toksyny, inne wpełzały do buteleczki i oblepiały swoje ciała trującym płynem. Wszystkie robiły to bardzo starannie, minęło więc kilka kolejnych godzin, zanim butelka została całkiem opróżniona. Potem szklany pojemniczek zaciągnięto w gęstą kępę chaszczy i owady raz jeszcze uformowały zwarte szeregi.

Postronny obserwator nie posiadałby się ze zdumienia, widząc mniemy najróżniejszych owadów maszerujących obok siebie w długim rzędzie, przypominającym połyskliwą rzekę. W końcu małe stworzenia rozeszły się na wszystkie strony, by toksycznym ładunkiem zainfekować wszelką padlinę w okolicy.

Przewidywania Tomara spełniły się w całej rozciągłości - krukowate rzeczywiście potwierdziły, że są z natury leniwe. Slyekin

porozyszał wiele grup, by przywlokły różnorodność padliny na Wielką Ucztę. Jednak ani jedna z owych grup nie pofatygowała się dalej niż na kilka machnięć skrzydeł od siedliska wodza. W pobliżu nie brakowało ścierwa i martwych zwierząt, żadna sroka więc nie zamierzała frunąć dalej niż to konieczne i marnować energię na transportowanie padliny z odleglejszych rejonów, choćby nawet miały to być smakowitsze kąski. I bez tego arena wkrótce zapełniła się szczątkami jeży, królików, wiewiórek i myszy. Trafił się nawet jeden nieszczęsny lis, zmasakrowany przez sadystycznych ludzi na koniach. Nie minęło wiele czasu, a te gnijące resztki urosły do stosu wysokości niemal półtora metra, a z każdą godziną ciągle przybywało smakołyków. Na tej uczcie z pewnością każdy naje się do syta!

Tomar został wywleczony z lochu i postawiony przed obliczem Slyekina w wigilię uroczystości.

- Cóż, starcze - zaskrzeczał zwyrodnialec. - Jutro nadejdzie dzień mojej chwały. Największa ucztą w całej historii Birddom. Jaka szkoda, że tobie raczej nie przypadnie ona do gustu.

- Jeden dzień to szmat czasu w życiu tyrana - mruknął Tomar. - Wiele rzeczy może się zdarzyć między świtem a zachodem słońca.

- Wielkie zaszczyty były mi pisane od urodzenia - ciągnął tymczasem Slyekin. - I w żaden sposób nie jesteś w stanie temu przeciwdziałać, Tomarze. Znalazłeś się na mojej łasce i niełasce. Nic i nikt nie może mnie już teraz powstrzymać. Jestem bowiem niezwykcie ciężony!

- A jaką dla mnie przewidziałeś rolę w swoim planie? - spytał puszczyk.

- Ceremonialną. Weźmiesz czynny udział w mojej koronacji. Rada Sów zbierze się raz jeszcze i obierze mnie królem wszystkich ptaków - władcą Birddom. Ty zaś ogłosisz tę doniosłą wieść wszystkim zgromadzonym.

- To doprawdy niebywały zaszczyt - mruknął kpiąco Tomar.
- A kiedy moja absolutna władza zostanie zatwierdzona, Wielka Sowa oficjalnie rozwiąże Radę. Już nigdy więcej nie odbędą się jej zebrania.

Wygłaszając swoje kwestie, Slyekin przechadzał się tam i z powrotem, żywo gestykulując skrzydłami.

- A jeżeli Wielka Sowa nie zgodzi się spełnić tych żądań?
- Już twoja w tym głowa, żeby się zgodziła - odrzekł Slyekin surowym tonem. - Musisz porozmawiać z Cerivalem. Wbić mu do głowy, że jestem teraz panem waszego życia i śmierci.

- Widzę, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko postąpić wedle twojego życzenia - powiedział Tomar przygnębionym tonem. - A co się z nami stanie po twojej prawomocnej koronacji?

- Nie będziecie mi już potrzebni. Pozwolę wam odejść.

- Rzeczywiście, jesteśmy starzy. Teraz widzę, że nasz czas bezpowrotnie przeminął. Chcielibyśmy tylko powrócić do domów i tam w spokoju doczekać końca naszych dni.

Tomar przemawiał pokornym tonem, z trudem dusząc w sobie kipiący gniew. Slyekin podszedł do puszczyka, zarechotał głośno, po czym plunął Tomarowi prosto w twarz.

- I pomyśleć, że się kiedyś ciebie bałem. Ty tymczasem jesteś zerem. Zejdź mi teraz z oczu i szykuj piękną mowę na moją koronację.

Kiedy do celi Tomara przyprowadzono Cerivala, puszczyk zatrwożył się, widząc, jak zgnębiony i wyniszczony jest jego przyjaciel. Oczy miał zaczerwienione z braku snu, jego pióra, niegdyś tak błyszczące, były zmierzwione i brudne, natomiast szpony lewej nogi paskudnie powykrzywiane na skutek tortur zadawanych dla rozrywki przez strażników. Cerival stanął przed Tomarem ze zwieszoną głową

i nie mógł spojrzeć przyjacielowi w oczy. Przygniatał go bezmiar porażki, a przede wszystkim poczucie winy, że - czyniąc Słyekina swoim uczniem - przyczynił się do rozbudzenia chorych ambicji zdeprawowanej sroki.

Tomar powitał Wielką Sowę z pełnymi honorami, w starożytnej mowie od lat już nie używanej na zebraniach Rady, jemu i Cerivalowi znanej jednak od dzieciństwa, był to bowiem w dawnych czasach język wszystkich wykształconych sów. Na dźwięk słów puszczyka, Cerival uniósł głowę i dumnie się wyprostował, ale wciąż milczał. Tymczasem Tomar, niezrażony, podjął przemowę i wkrótce wlał tyle nadziei w serce Cerivala, że nagle jakby ubyło mu lat, a w jego oku pojawił się tak dawno nieobecny błysk. Tomar opowiedział Wielkiej Sowie o wyprawach Kirricka, mających na celu pozyskanie dla sprawy sokołów, jastrzębi, orłów i mew. Stary puszczyk wynosił pod niebiosa odwagę małego rudzika i na każdym kroku podkreślał, że Kirrick z pewnością wypełni powierzone mu zadanie.

Cerival zadawał wiele pytań Tomarowi, by upewnić się, że plan uwzględniał wszelkie ewentualności. W końcu uznał, że wszystko zostało dopracowane do najmniejszego szczegółu. Gorąco też dziękował puszczykowi - pełen podziwu, że przynajmniej jeden członek Rady odważył się podjąć walkę o przyszłość Birddom. Tomar szybko powstrzymał przyjaciela i zaczął wyjaśniać, że każda pojmana sowa ma do odegrania określoną rolę, i że obecnie kraj - jak nigdy dotąd - potrzebuje mądrości i przywództwa Wielkiej Sowy. Cerival zaszepczał, słysząc te słowa, i oświadczył, że w świetle wszystkich wydarzeń ktoś inny powinien przejąć przywództwo w Birddom, niemniej zapewnił, że wesprze Tomara, swojego najdroższego przyjaciela, ze wszystkich sił. Tomar wówczas przedstawił założenia nowego planu Cerivalowi i Wielka Sowa pokiwała głową, w pełni akceptując zamysły puszczyka.

Przez cały czas ich rozmowy strażnicy siedzieli obok, nie pojmując jednak ani słowa. Za to bawiło ich niebywale brzmienie nieznannej, starodawnej mowy. Niech tych dwóch głupców mieli językami do woli, pomyśleli. W końcu jednak, gdy sowy umilkły, jeden z nadzorców zwrócił się do Tomara:

- Czy mu wyłożyłeś, czego żąda od niego wódz? Pojął już, co ma robić?

- O, tak! Pojąłem! - odparł Cerival donośnym głosem. - Wreszcie wiem, co powinienem zrobić.

Podrośnięte pisklę sroki siedziało w gnieździe wpatrzona w matkę. Był to samczyk nadzwyczaj duży na swój wiek, Katya bowiem dwoiła się i troiła, by dostarczyć mu jak najwięcej smakołyków. Synek był wciąż za mały, żeby opuszczać gniazdo, całe dni upływały mu więc na zaspokajaniu apetytu i wysłuchiwanie nauk matki. Katya zaś nieustannie przemawiała do pisklęcia, wpajając mu nienawiść do ptaka, który tak brutalnie przyczynił się do jego poczęcia. Od dnia, gdy syn Katyi wykuł się z jaja, wiedział jedno: że musi dokonać zemsty na tym bestialskim łajdaku. I kiedy znowu otworzył dziób, by po raz kolejny tego dnia się pożywić, matka na nowo podjęła swoją przemowę.

- Venga, mój synu. Twoje życie jest teraz proste. Przed tobą na razie jeden cel: wyrosnąć na dużego, silnego ptaka. Musisz więc jeść wszystko, co dla ciebie przyniosę, ale jednocześnie musisz dobrze zapamiętać każde moje słowo. Twoim przeznaczeniem jest pomśczenie mojej krzywdy. Ty, Vengo, będziesz mym mieczem. Odnajdziesz samca sroki, który zgasił we mnie radość życia i go zgładzisz. Ten ptak bowiem nie zasługuje, by fruwać po niebie. Nie wie on, co to litość, dlatego sam nie powinien jej doświadczyć. Musisz go zabić. Zamordować dla mnie. Zapamiętaj to dobrze, mój maleńki. Mama cię kocha. Ale będzie cię kochać jeszcze bardziej, gdy pozbawisz

życia tego niegodziwca i przyniesiesz mi jego głowę, bym mogła ją zatknąć na naszym gnieździe!

Do pilnowania wielkiego stosu padliny zebranej na ucztę wyznaczono dwóch strażników. Jednak ledwo nadciągnął zmierzch, a już obie sroki zaczęły łakomie spozierać na górę jedzenia i odczuwać nieodparty głód. Wartownicy mieli świadomość, że podebranie czegokolwiek wiązałoby się z wielkim ryzykiem - ostatecznie sami dostali rozkaz, by bez wahania zabić każdego, kto spróbowałby się dobrać do zgromadzonego mięsa przed dniem uczy. Ale z drugiej strony przecież nikt by się nie dowiedział, gdyby uszczknęli kilka kąsków. Zbyt dużo zgromadzono tu martwych zwierząt, by ktokolwiek był w stanie je zliczyć. Nikt więc nie zauważy, jeśli zniknie mały królik z tak zasobnej spiżarni.

Jeden ze strażników stał na czatach, podczas gdy drugi wybrał wyjątkowo aromatyczny kawałek gnijącego truchła. Wyciągnął go ze stosu i żarłocznie pochłaniał z widocznym zachwytem. Chwilę później drugi wartownik widząc, że jego kompan już się zabrał do uczy, też wyciągnął dla siebie smakowity kawał ścierwa. Głód i strach przed przyłapaniem na gorącym uczynku sprawiły, że obie sroki pochłaniały jedzenie w pośpiechu, a gdy już ogryzły mięso do samej kości, odciągnęły żałosne szkielety od stosu i ukryły w gęstych chaszczach, po czym wróciły na posterunek.

Po pół godzinie trucizna zaczęła działać, a po kolejnych trzydziestu minutach sroki wyzionęły ducha. Dramat ten obserwowało pilnie tysiąc par maleńkich oczu, a jak już sroki leżały sztywne i zimne na ziemi, armia owadów wmaszerowała na polanę i uniosła ciała, by w powolnej procesji zawlec je w pobliskie zarośla.

Większość krukowatych miała przybyć dopiero nazajutrz, setki już jednak nadciągnęły z rozmaitych stron i obsiadły wszystkie

możliwe konary. Było tu tak wiele srok, że drzewa teraz zdawały się czarne - jakby posępna barwa zdominowała całą kolorystyczną paletę Natury. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widziało się jedynie czerń z domieszką bieli. Każdego nowego przybysza pozdrawiano wrzaskiem, poza tym dookoła toczyły się ożywione spekulacje na temat zbliżającej się uczty, więc hałas był ogłuszający. Wśród ptaków panował ogólny nastrój niezwyklego podniecenia. Uroczystości miały być zwieńczeniem całorocznych wysiłków wszystkich konfraterni i teraz siedzące tu krukowate prześcigały się w opowieściach o tym, jak wiele pomordowały ptaków dla zaspokojenia ambicji wodza i pomnożenia jego chwały.

Mniej więcej połowa zgromadzonych miała po raz pierwszy wziąć udział w Wielkiej Uczcie, jednak prawie wszystkie ptaki żywo rozprawały na temat uprzednich celebracji, jakby same uczestniczyły w minionych orgiach i rozpuszcie, a nie jedynie znały ich przebieg z plotek. Wiele srok nigdy nie widziało Sleykina na oczy, te natomiast, które dostały owego zaszczytu, patrzyły z pogardliwym oburzeniem na pyszałków opowiadających, coż to zrobią lub powiedzą w obecności wodza. Jeżeli rzeczywiście tego spróbują, czeka ich niezapomniana nauczka!

W jakiś czas później zaczęto deliberować, ile ptasich gatunków eksterminowały krukowate. Padały różne liczby, w końcu jednak zgodnie ustalono, że zapewne jakieś osiemdziesiąt. I, niestety, liczba ta była zbliżona do rzeczywistości. Mniej czasu zajęłoby wymienienie poszczególnych osobników małych ptaków, które jeszcze pozostały przy życiu niż wyrecytowanie listy gatunków bezpowrotnie wymazanych z krajobrazu Birddom przez hordy krukowatych.

Tymczasem naocznymi świadkami owego zgromadzenia były przynajmniej dwa małe ptaki, którym udało się przetrwać. Kirrick i Portia przybyli tu jakiś czas temu i ukryli się w dziurze po sęku w

pniu starego, próchniejącego drzewa. Właściwie trudno to było nawet nazwać drzewem - odpadły już bowiem wszystkie gałęzie - ale rudziki znalazły tu bezpieczne schronienie i doskonały punkt obserwacyjny zgromadzenia wrogów.

- Co zamierzasz teraz zrobić, najdroższy? - spytała Portia.

- To mój największy problem. Nie mam żadnego planu. Przebyliśmy tak wielki szmat drogi, a ja nie mam pojęcia, jak powinienem postąpić.

- Musisz zaufać Tomarowi, kochany. Ty wykonałeś swoje zadanie najlepiej, jak umiałeś. Nikt nie osiągnąłby więcej. Myślę, że najrozsądniej będzie poczekać teraz na orły. Jeżeli zechcesz, wraz z nimi rzucimy się do bitwy.

Kirrick przyznał Portii rację. Tak właśnie robią. Poczekają na Storne'a i jego legiony. Ale kiedy rudziki ułożyły się do snu, Kirrick uświadomił sobie, że nie zdoła tej nocy zmrużyć oka. Nie mógł się już doczekać jutra. To miał być najważniejszy dzień jego życia, a także wielu innych ptaków.

Slyekin obudził się o brzasku i wkrótce zaczął dumnie przechadzać się po swej siedzibie, przybierać rozmaite pozy, stoszyć pióra i szlifować przygotowaną przemowę. Nadszedł dzień jego zwycięstwa - dopełnienia jego przeznaczenia. Dzisiaj wreszcie rozprawi się z potężną Radą Sów. Będzie wydziobywał ich jeszcze ciepłe mózgi wprost z rozłupanych czaszek! Na tę myśl sadystyczny samiec aż zaklaskał skrzydłami. Może w ten sposób przejdzie na niego ta ich jakże sławetna mądrość.

- Ha! - zaśmiał się szyderczo, przebiegając w duchu każdy moment tej części uroczystości. - Jeszcze chwila, a zostanę królem całego Birddom! Wszyscy będą mi musieli oddać hołd!

Ta myśl przyprawiła go o dreszcz rozkoszy.

Kilka godzin później stanął przed swoimi poddanymi, których nieprzebrana ciżba przybyła przed jego oblicze. Slyekin widział przed sobą morze głów, błyszczących oczu, połyskliwych dziobów. Setki srok, gawronów, kawek i innych kołkowatych wypełniały polanę i czekały, w idealnym milczeniu, by wódz do nich przemówił. Ledwo jednak Slyekin stanął na podwyższeniu, podszli do niego przyboczni i zapytali, kiedy nadejdzie czas na wielkie obżarstwo.

- Ucztowanie rozpocznie się po mojej koronacji. Egzekucję sów wszyscy mogą już obserwować z pełnymi brzuchami. Teraz jednak zanieś coś do zjedzenia Trasce. Musi się posilić, by miał dość sił, gdy przyjdzie jego czas. Ale nie zwracaj sobie głowy karmieniem innych więźniów. To byłaby zbytnia rozrzutność, nie sądzisz?

Slyekin i wielkie gawrony zarechotali złowieszczo. A kiedy zasznicy oddalili się, by wypełnić rozkazy, wódz postąpił naprzód i przemówił do zgromadzonych.

- Moi poddani - rozpoczął pompatycznie. - Mam nadzieję, że tegoroczna uczta będzie dla nas wszystkich wyjątkowa. Jestem przekonany, że o tym dniu będziecie opowiadać swoim dzieciom i wnukom. Czekaliśmy długo i pracowaliśmy bardzo ciężko, żeby dojść do tego, co osiągnęliśmy. Zaszliśmy tak daleko dzięki mojemu geniuszowi, i to mój geniusz poprowadzi nas ku jeszcze większej chwale. Wytrzebiliśmy wszystkie - poza kilkoma niewartymi wzmianki osobnikami - podrzędne gatunki ptaków, co dostarczyło nam powodu do dumy i radości. Co więcej, udało nam się obalić stary porządek! Rada Sów już nigdy więcej nie będzie ustalać w Birddom żadnych praw - ba! dzisiaj staniecie się świadkami totalnego upadku tego grona. Nic nas nie powstrzyma, jeżeli nadal wspólnie będziemy dążyć do wytyczonego celu. Nasze zwarte kohorty pokonają każdego wroga. Nikt nie zdoła nam się oprzeć. Jesteśmy niezwyciężeni, więc każda batalia, którą podejmiemy w przyszłości, skończy się całkowitym unicestwieniem przeciwnika - kimkolwiek on będzie.

Slyekin zawiesił głos, by pozwolić zgromadzonym masom na zachwyty dla wodza - entuzjastyczny aplauz wyrwał się z tysięcy gardel. Nie umknęło przy tym jego uwagi, że w kilku sektorach okrzyki nie były dość gorące i to tam właśnie skierował swój bystry wzrok, gdy na nowo podjął przemowę.

- Wymagam od was całkowitej lojalności. W zamian obiecuję pełne zwycięstwo! Dzisiaj będziecie świadkami ostatniego zebrania Rady Sów. W swojej mądrości owo grono zdecydowało się abdykować. Od wieków byli prawodawcami. Obecnie stali się bezużyteczni. W końcu zrozumieli, że ktoś o wyższej inteligencji zacznie wreszcie wyznaczać reguły. Teraz tylko koronują mnie na władcę wszystkich ptaków - a więc całego Birddom. Potem bezzwłocznie rozwiążą Radę. Możecie mi jednak wierzyć, że niedługo będą się cieszyć stanem spoczynku.

Po oficjalnej części, rozpoczęcie uctowanie, korzystając z poczęstunku zgromadzonego w głębi areny, potem zaś przejdziemy do innych igraszek!

Po tych słowach tłumy znów zaczęły wiwatować. Chwilę później pojawili się pojmani członkowie Rady. Slyekin zajął honorowe miejsce Wielkiej Sowy - w środku kręgu - Cerival zaś musiał usiąść na miejscu ptaka, który nie przeżył podróży do siedziby wodza srok.

Podczas gdy trwały przygotowania do oficjalnych uroczystości, Slyekin przywołał do siebie jednego z przybocznych.

- Najedz się teraz, póki trwa ten spektakl. Będziesz miał dużo pracy, gdy hołota rzuci się do uctowania. Weź ze sobą tuzin walecznych bojowników. Oni z pewnością także posilą się z ochotą.

Powiedziawszy to, odprawił rośłego gawrona, po czym ponownie zwrócił się ku zgromadzonym.

- Nadszedł czas na zebranie Rady - oznajmił.

Traska niespokojnie kręcił się po celi. Wiedział, że właśnie rozpoczęły się uroczystości i ze strachem myślał o tym, jaką rolę przyjdzie mu odegrać w tych uciechach. Najwyraźniej Slyekin nie miał ochoty się z nim konsultować ani zainteresować jego rewelacyjnymi nowinami. Cóż, teraz już i tak nie było o czym gadać. W tej chwili Traska martwił się jedynie o własne życie. Nie miał bowiem wątpliwości, że jeśli Kirrick wypełnił cele swojej misji - jakiegokolwiek one były - dzisiaj objawią się jej skutki. On osobiście nie miał zamiaru znaleźć się w wirze walki, jeżeli - jak podpowiadało mu przecucie - do niej dojdzie.

Tym razem to do niego uśmiechnęło się szczęście, w postaci chciwego, zdeprawowanego wartownika. Jedna ze strzegących go srok przywlokła do lochu padlinę i w Trasce obudziło się uczucie wdzięczności, bo był strasznie wygłodniały. Strażnik jednak przywłaszczył sobie ścierwo.

- Zasłużyłem na smakowity kąsek, strzegąc takiej miernoty jak ty - zaskrzeczał.

Traska, od chwili uwięzienia, otrzymywał bardzo mizerne racje, słał się więc na nogach z osłabienia. Nie miał szans uzupełnić zapasów energii, którą stracił w czasie wyczerpującego lotu na południe, z tego też powodu nie był w stanie podjąć walki z wartownikiem. Teraz mógł się tylko przyglądać z pożałowania godną bezsilnością, jak - rechocząc złośliwie - jego prześladowca pochłaniał przewidziany dla niego posiłek. Żeby oszczędzić sobie tortury, Traska przysiadł w kącie, zacisnął powieki i pogрузił się w ponurych rozmyślaniach. Nie minęło jednak wiele czasu, a dobiegło go dziwne rżenie. Kiedy otworzył oczy, ujrzał masywnego ptaka wijącego się w konwulsjach agonii. Cóż takiego mogło się wydarzyć? Czyżby miało to coś wspólnego z...? Traska uśmiechnął się z zimną satysfakcją, przyglądając się powolnej, pełnej cierpienia śmierci wartownika. Ha! Może jednak nie tracił tak wiele, jak mu się zdawało!

Swoją wspaniałością ceremonia koronacji przeszła nawet najśmielsze oczekiwania Slyekina. Każda z sów idealnie odegrała swoją rolę pod dyktando Cerivala i Tomara. Każda z nich zżymała się w duchu, patrząc na upokorzenie swoich przywódców. Udało im się jednak powściągnąć gniew, bo też cała sytuacja wydawała się niedorzeczna. Slyekin, w swojej próżności, nie zorientował się w nastroju sów. Oto ogłoszono go królem i władcą Birddom. Właśnie spełnił swoje największe ambicje i rozkoszował się chwilą. W jego euforii wdarła się jednak świadomość, że tłum oczekuje czegoś więcej. Jego koronacyjny spektakl dostarczył zgromadzonym rozrywki, teraz jednak chcieli wreszcie zaspokoić swoje bardziej pierwotne potrzeby.

Slyekin uciszył poddanych skinieniem skrzydła, po czym oznajmił, że czas rozpocząć uctowanie. Zebranej tłuszczy nie trzeba było tego dwa razy powtarzać - setki ptaków rzuciły się na zgromadzoną padlinę, szarpiąc dziobami niezliczone truchła w niepohamowanej żarłoczności. Setki innych z niecierpliwością krążyły nisko dookoła, nie mogąc się przebić przez tłum oblegający stos. Odwracając się tyłem do tej zgłodniałej hałastry, Slyekin zakrzyknął na swoich przybocznych. Nadszedł czas na krwawą część obchodów.

Wódz wyjaśnił Tomarowi, że ze względu na rozgorączkowanie przybyłych tu krukowatych, sowy będą bezpieczniejsze, gdy oddalą się od miejsca ceremonii pod silną strażą. Jednocześnie rozejrzał się wokół, rozsierdzony, że pachołkowie nie przybyli niezwłocznie na wezwanie. Zakrzyknął raz jeszcze. Nie wiedział jednak, że żaden z przybocznych już go nie słyszał, i nie miał usłyszeć nigdy więcej. W tejże chwili, choć niepouczony wcześniej, Isidris wykazał się idealnym wyczuciem czasu, i postanowił jasno wyrazić, co myśli o niedawnej farsie, w której z taką pokorą uczestniczyli jego najdostojniejsi współbracia. Najpierw w kolejności zaczął wyładowywać swój gniew na Tomarze i Cerivalu, by niemal w tym samym momencie ze

zdużeniem zauważyć, że tych dwóch szacownych członków Rady formuje pozostałe sowy w krąg ściśle okalający nowo koronowanego króla. Słyekin poczuł niejaka wdzięczność wobec wrogów za tę ochronną barierę, Isidris był bowiem niezwykle silnym, niebezpiecznym ptakiem, on zaś czuł się całkiem bezbronny bez swojej przybocznej straży. Isidris tymczasem z wściekłością i niedowierzaniem patrzył na zdradę przyjaciół, po chwili jednak dostrzegł szczególnie błysk w oku Tomara, w lot pojał sytuację i wybuchnął śmiechem.

Zerknął na hałastrę obzerającą się nieprzytomnie, niepomną na to, co się dzieje dookoła. Potem łypnął na Słyekina otoczonego ściśle przez członków Rady. W końcu znowu popatrzył Tomarowi w oczy i, idąc za wzrokiem przyjaciela, spojrział w niebo. Od północy nadciągały dwie ciemne masy, poruszające się jednak zbyt szybko, jak na zwykłe chmury. Tomar w duchu podziękował losowi.

- Patrz uważnie, Słyekinie - zagrzmiał stary puszczyk. - Patrz uważnie, bo oto nadciąga na ciebie zagłada!

Zdeprawowana sroka spojrziała z pełnym przerażenia niedowierzaniem na szybko nadciągające eskadry sokołów, jastrzębi i orłów.

Siedzące nieopodal stosu krukowate wszczęły alarm, jednak pobratymcy nie zwrócili na te krzyki uwagi - byli zbyt zajęci walką o skrawki padliny, by zdawać sobie sprawę z nadciągającego niebezpieczeństwa. Ale i tak setki srok, gawronów i kawek wzbity się do lotu, by stawić czoło atakującym. Rozgorzała walka - na niebie toczyły się niezliczone powietrzne pojedynki. Wrzaski, piski i skrzeki dochodzące z góry wreszcie uświadomiły reszcie krukowatych, że zawisło nad nimi widmo śmierci, przerwali więc bójki o resztki i przyłączyli się do batalii, by odeprzeć pułki drapieźników.

Tomar musiał krzyczeć, by jego głos przebił się przez bitewny zgiełk.

- Zaplanowałeś makabryczny spektakl śmierci, ku uciesze swoich popleczników. Cóż, nie możemy ich zawieść, prawda?, choć zapewne niewielu zdoła obejrzeć przedstawienie. Twój czas właśnie nadszedł!

Na znak dany przez puszczyka wszystkie sowy rzuciły się na Slyekina i rozszarpały go na strzępy. Czas jego panowania w roli króla Birddom skończył się, zanim na dobre mógł się rozpocząć. Chwilę później Tomar wpatrywał się w leżącą na ziemi głowę Slyekina, którego niewidzące już oczy utkwione były w ptakach walczących w przestworzach.

- O tak, patrz uważnie - powiedział stary puszczyk. - Przez całą wieczność przyglądaj się swemu upadkowi i zagładzie krukowatych.

Traska czekał cierpliwie, póki wartownik na dobre nie wyzionął ducha. A potem cicho wymknął się z lochu i wychynął na zewnątrz. Był wolny! Z zachwytem spojrzął w niebo i wówczas ujrzał nadciągające siły nieprzyjaciela. Miał dość przytomności, by się przyciąć, tuż zanim potężne ptaki nadleciały nad siedlisko. W żadnym razie nie zamierzał przyłączać się do bitwy. Niech inni głupcy tracą zdrowie i życie. Ze swojej kryjówki zerkał jednak w niebo i aż go skręciło z wściekłości, gdy ujrzał Kirricka lecącego ku orlim legionom. Po stokroć przeklęty rudzik! To on do tego wszystkiego doprowadził. Ten rudzik i ów, wścibiający we wszystko dziób, stary puszczyk! Traska wypełznął z kryjówki i wycofał się do wnętrza siedziby Slyekina, by znaleźć bezpieczniejsze miejsce na przeczekanie bitwy.

13.

Kirrick i Portia z niepokojem obserwowali przebieg walnej bitwy z czubka najwyższego drzewa. Po dotarciu na miejsce walki odłączyli się od orłów, wiedząc, że ich zadanie się skończyło, i że teraz od potężniejszych ptaków zależało być albo nie być całego Birddom. A sytuacja nie rozwijała się zbyt pomyślnie. Pomimo ataku z zaskoczenia i faktu, że każdy z drapieżników w indywidualnym starciu bez trudu pokonałby nawet najdorodniejszą srokę, szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę krukowatych z racji ich przytłaczającej przewagi liczebnej. Portia siłą musiała powstrzymać Kirricka od przyłączenia się do walki, wiedząc dobrze, że ukochany nie miałby najmniejszych szans w starciu z dużo większym i silniejszym wrogiem. Tymczasem sowy widząc, co się dzieje, poderwały się w powietrze zwartą falangą i wkrótce siały popłoch wśród szeregów krukowatych. Tomar i Isidris walczyli skrzydło w skrzydło, ochraniając nawzajem swoje flanki. Po przeciwnej stronie Storne - w doskonałej formie bojowej - zbierał krwawe żniwo, niemiłosiernie trzebiąc sroki. Darreal wraz ze swoją eskadrą również szerzył spustoszenie, niestety, każdy z jastrzębi i sokołów musiał walczyć z kilkoma czarnobiałymi ptakami naraz.

Czemu trucizna nie działa?, zachodził w głowę Tomar. Czyżby plan jednak zawiódł?

Niektóre sokoły zostały ściągnięte na ziemię przez hordy srok i gawronów. I chociaż wiele krukowatych leżało martwych lub ciężko poranionych, szeregi atakujących również zaczęły topnieć. Krukowate bowiem wreszcie zdały sobie sprawę z powagi własnego położenia. Już nie czas myśleć o obżarstwie i orgiach - teraz trzeba było walczyć o życie! Wiele z nich, tchórzliwych z natury, czmychnęłoby z pola bitwy, gdyby tylko miało taką możliwość. Nie było jednak drogi ucieczki. Krukowatym pozostało tylko bić się lub ginąć. Niejeden z nich zdumiał się własną walecznością - szczególnie, że wróg był potężny i przerażający. Rozglądały się nerwowo po niebie i zaczęły dostrzegać dla siebie nadzieję: być może zwycięstwo jest jednak w ich zasięgu! To znacznie wzmocniło ich morale, więc odważnie, z nowym wigorem, rzuciły się w wir walki. Podniósł się wielki krzyk triumfu, gdy pierwszy orzeł spadł na ziemię. Obsiadło go natychmiast mrowie srok i zadziobało bez pardonu. Potem, w euforii, te same sroki wzbily się w niebo, głodne kolejnej wiktorii. Kirrick przerażony, że za chwilę wszystko będzie stracone, zwrócił się ku Portii.

- Nie mogę siedzieć tak beczynnio! - wykrzyknął.

Kiedy chwilę później spojrzął w niebo, aż zatchnął się z przerażenia. Srokom udało się oddzielić od reszty walczących dwie dzielne sowy i teraz Tomar był całkowicie otoczony przez wroga. Stary puszczyk bronił się walecznie, ale krukowate coraz bardziej go osaczały. Wydawało się, że Tomar odpiera napastników już tylko jakąś tajemniczą siłą woli, zadziwiająco przy jego starczej kruchości. Sroki nie kwapiły się do bezpośredniego ataku, jakby powstrzymywała je jakaś magiczna aura otaczająca puszczyka. Ich śmiałość znacznie jednak wzrosła, gdy ujrzały błysk niepokoju w oczach Tomara. Zaczęły otaczać go coraz ciasniej, a ten i ów nawet odważał się dziobnąć puszczyka, co jeszcze bardziej zachęcało do działania innych napastników.

Kirrick w żadnym razie nie mógł dopuścić, by krukowate pokonały jego przyjaciela i mentora.

Ledwo jednak wzbił się w powietrze, zaszły dwa niespodziewane wydarzenia. Truczna, którą była skażona padlina, wreszcie zadziałała i niespodziewanie dziesiątki krukowatych zaczęły dosłownie spadać z nieba, skrzecząc i wijąc się w agonii. Niemal w tej samej chwili ze wschodu nadleciało olbrzymie stado rozkrzyczanych ptaków morskich, które natychmiast przyłączyły się do bitwy. Sroki nie miały już żadnego pola manewru. Przybycie mew dodało ducha sokołom, jastrzębiom i orłom. Krukowate patrzyły po sobie z przerażeniem, bo trucizna co chwila obezwładniała któregoś z ich pobratymców. Wielu z nich umierało, zanim jeszcze uderzyło o ziemię. Szala zwycięstwa przechyliła się nieodwracalnie na stronę sił Birddom. Sroki wciąż broniły się zaciekle, jednak ich przewaga liczebna stopniała z powodu trutki, a przybycie świeżych, zaprawionych w potyczkach oddziałów pozbawiło je jakichkolwiek złudzeń. Klęska krukowatych była druzgocąca. Te, które jeszcze walczyły, nie miały szans. Dzikość mew w połączeniu z potęgą drapieżników przesądziła sprawę. Te sroki, które próbowały umknąć, ścigano bez litości; wiele z nich cierpiało z powodu przeżerającej ich trzewia toksyny.

Kirrick nie zdążył zadać ani jednego ciosu, a już było po bitwie. Jedyne garstka srok zdołała uciec, a tylko nielicznym z nich udało się uniknąć ran. Blizny po nich miały na zawsze przypominać krukowatym o przegranej bitwie. Storne i Darreal krążyli triumfalnie nad siedliskiem Slyekina. Kirrick pofrunął do miejsca, w którym wylądował Tomar. Ziemia była usiana martwymi bądź konającymi krukowatymi, stary puszczyk zaś skakał to tu, to tam, miłosiernie dobijając wijące się w konwulsjach ptaki. Na widok rudzika uśmiechnął się promiennie.

Zanim jednak zdążył się odezwać, tuż obok przysiadł Kraken i zakrzyknął do Kirricka:

- Lepiej późno niż wcale, he?

Potężny samiec mewy był lekko zasapany, a na jego dziobie wciąż widniały jaskrawe, krwawe plamy.

- Jakże mam ci dziękować? - spytał Kirrick. - Myślałem, że nie zdołałem przekonać cię do naszej sprawy.

- Bo nie zdołałeś, mój mały przyjacielu - odparł Kraken. - Przybyłem tu z przyczyn czysto osobistych. Kiedy ginie dziecko, nic nie może powstrzymać ojca od zemsty na sprawcach jego śmierci.

Władca mew wyjaśnił, że parę dni temu do rodzinnego gniazda powrócił jego zrozpaczony syn i opowiedział, jak Traska brutalnie i bezmyślnie zamordował jego siostrę, ukochaną córkę Krakena. Za ten barbarzyński akt sroki musiały zapłacić stukrotnie - i tak też się stało. Bestialski atak jednego ptaka - zrodzony z chęci wyładowania gniewu - miał katastrofalne skutki dla wszystkich jego pobratymców.

Wkrótce do puszczyka, mewy i rudzika przyłączyli się Storne, Darreal i Isidris. Wszyscy wystawiali nawzajem swoje męstwo i dzielność w walce. Kirrick był pod wrażeniem, gdy się dowiedział, czemu sroki zaczęły tak gwałtownie padać. Tylko taki wizjoner jak Tomar mógł wymyślić podobny plan! Kirrick z wielkim szacunkiem powitał Wielką Sowę, Cerivala, który chwilę wcześniej rozprawił się z ostatnimi przeciwnikami i teraz dołączył do zgromadzenia bohater-skich ptaków. Rudzik czerwienił się co chwila, gdy Tomar - w tak dostojnym towarzystwie - wychwalał go pod niebiosa. Każdy jednak z potężnych ptaków przytakiwał puszczykowi, wszyscy bowiem uważali, że Kirrick wykazał się niezwykłym męstwem i dokonał wielkich czynów. Na koniec każdy z przywódców opowiedział o swoich przygodach, i tak wszyscy wkrótce poznali pełną historię wydarzeń.

Pomimo ogólnego zadowolenia i wzajemnych gratulacji, Tomar odczuwał niepokój. A kiedy wysłuchał opowieści Kirricka, uzupełnionej

przez Storne'a i Darreala, jego obawy jeszcze wzrosły. Nie chciał psuć nastroju zachwyconych zwycięstwem ptaków, w końcu jednak głośno wyjął, co go gryzło.

- A co się stało z Traską?

Pięć potężnych dziobów zwróciło się w stronę Tomara i do wszystkich nagle dotarła groza sytuacji. W jednym małym łepku rodziło się jednak inne pytanie. Co się stało z Portią? Kirricka ogarnęło poczucie winy, gdy uświadomił sobie, że z wrażenia zapomniał o ukochanej. Gdzie się mogła podziewać? Z żalem przypomniał sobie, że ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział były ostre i gniewne. Rudzik przeprosił dostojne towarzystwo - na co nikt nie zwrócił większej uwagi - i udał się na poszukiwania Portii.

Storne dopiero po chwili odpowiedział na pytanie Tomara, ale ton jego wypowiedzi był dość niepewny.

- Ostatnio widziano go w moim dominium. Utknął w króliczych norach. Kazałem pełnić wokół nich straż, więc któryś z moich orłów by mnie powiadomił, gdyby draniowi udało się wydostać spod ziemi.

- A jednak Traska z pewnością tego dokonał - odrzekł Tomar z powagą. - Nie byłoby tu bowiem dzisiaj Krakena, gdyby ten niegodziwiec brutalnie nie zamordował jego córki.

- To prawda - przyznał potężny samiec mewy, nie kryjąc gniewu. - Że też orły wypuściły go ze swoich szponów!

Tomar zareagował bez zwłoki.

- Nie kłóćmy się. To nie czas na wzajemne oskarżenia. Właśnie odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. Niestety, moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Musimy się koniecznie dowiedzieć, co się stało z Traską.

- Jakże mógłby przeżyć? Wyflukliśmy dzisiaj niemal wszystkie sroki - mruknął Storne, wciąż wzburzony uwagą Krakena.

- „Niemał” jest tu kluczowym słowem - wtrącił Isidris. - Traska to przebiegły, na wskroś przeżarty złem ptak. Z was wszystkich tylko ja jeden zetknąłem się z tą sroką i pomimo naszego wielkiego triumfu nie zaznam spokoju, zanim się nie upewnię, że Traska został zgładzony.

Portia nie mogła się zdobyć na odwagę, by ruszyć do walki u boku Kirricka. Zawstydzona i zrozpaczona zarazem odwróciła głowę, bo nie chciała patrzeć, jak jej dzielny ukochany ginie w bitwie. Odgłosy batalii docierały jednak do miejsca, w którym się skryła i ich wymowa stawała się powoli oczywista. Plan Tomara nie zawiódł. Krukowate przegrywały. Czy jednak Kirrick przeżył? Nie mogła znieść myśli, że go straci i rzuciła się do ucieczki. Wpadła do tunelu prowadzącego do siedliska Sleykina i wybuchnęła płaczem.

Kirrick zamartwiał się coraz bardziej. Po opuszczeniu dostojnych ptaków, powrócił do miejsca, w którym rozstał się z Portią. Wypatrywał na ziemi jakichś tropów czy śladów, ale niczego nie zauważył. Głośno wykrzykując jej imię, przeleciał nad polem bitwy, przeżony, że lada chwila dojrzy jej ciało wśród martwych ptaków. Ale przecież to niemożliwe, by zginęła. Nie po tym wszystkim, czego wspólnie doświadczyli. Raz jeszcze pofrunął na czubek drzewa, z którego się przyglądali, jak do walki ruszają legiony orłów. Gdzie też mogła się podziewać Portia? Nie może jej przecież stracić! Gdyby miało jej zabraknąć, życie byłoby bez sensu. Zrozpaczony Kirrick przerwał poszukiwania i poleciał ku swoim przyjaciom.

Portia stanęła u wyjścia z tunelu i ujrzała krąg olbrzymich ptaków, a w jego centrum - Kirricka. Zalały ją silne, sprzeczne uczucia. Duma z ukochanego. Wstyd, że stchórzyła. Nie wiedziała, czy powinna przyłączyć się do szacownego grona, wyskoczyła jednak z podziemia

i skryła się w gęstych krzewach, by zapanować nad emocjami i poszukać smacznych kąsków dla swojego bohatera.

- Uspokój się, mój przyjacielu - Tomar spojrział na Kirricka z serdeczną troską. - I powiedz, co cię tak wzburzyło?

- Nie mogę znaleźć Portii. Wszędzie jej szukałem, ale bez skutku!

Złe przeczucia powstrzymały Tomara od wygłoszenia zwyczajowych słów pocieszenia. Żebyż tylko przyszły jakieś wieści o Trasce - tym zdeprawowanym zbójcu. Stary puszczyk pożałował swojego miłosierdzia względem rannych krukowatych. Mógłby przesłuchać kogoś z nich i wyciągnąć jakieś informacje. Teraz jednak było już za późno. W tej chwili należało pomóc zdesperowanemu przyjacielowi.

- Gdzie szukałeś? - zapytał.

- Wszędzie! - odrzekł Kirrick z nieszczęśliwą miną.

- Zaraz ci pomożemy. Co siedem par oczu, to nie jedna.

Wielkie ptaki zatrzepotały skrzydłami i poderwały się w powietrze, by szukać ukochanej rudzika, Kirrick zaś pozostał sam i nie wiedział, co począć. Kiedy siedział zasępiiony, kątem oka dostrzegł wejście do ciemnego tunelu. Nie miał pojęcia, że prowadzi on do siedziby despoty Slyekina, jakie zresztą mogło to mieć teraz znaczenie? Slyekin nie żył, a wszystko, co z nim związane miało zniknąć z powierzchni ziemi. Mimo to Kirricka przeszedł dreszcz. W tym miejscu czaiło się zło, nie miał co do tego wątpliwości. Musiał jednak za wszelką cenę odnaleźć Portię!

Wracając z łowów, Portia ujrzała Kirricka wchodzącego do tunelu. Próbowła go zawołać, ale miała dziób pełen dżdżownic i Kirrick zniknął w mrokach podziemia, zanim zdążyła zareagować. Poczula, jak serce ścisną jej lodowata obręcz.

W Portii obudziło się irracjonalne przekonanie, że jej ukochany znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wypuściła z dzioba swój łup i popędziła do miejsca, w którym Kirrick zniknął jej z oczu.

Kirrick znajdował się głęboko w podziemiach Slyekina, gdy usłyszał nawoływania Portii. I natychmiast zawrócił. Strach w jej głosie zmusił go do pośpiechu, niemal biegiem więc pokonał zakręt i ruszył w stronę wyjścia.

Nagle wyrosła przed nim czarno-biała postać Traski. Kirrick nie mógł się cofnąć z powodu zakrętu, ograniczona przestrzeń nie pozwalała na żadne manewry. Traska idealnie wybrała miejsce zasadzki. Rzucił się w przód i jego ostry dziób przeszył pierś Kirricka. Z rany trysnęła krew, barwiąc cynobrowe pióra rudzika głęboką czerwienią. Kirrick padł na ziemię, śmiertelnie zraniony, Traska tymczasem otarł dziób skrzydłem.

- To zapłata za to, co zrobiłeś mnie i moim pobratymcom, Kirricku. Zabicie żadnego ptaka nie przysporzyło mi większej radości.

I z tymi słowami Traska się odwrócił, po czym przepadł w ciemnościach tunelu.

Kiedy Portia odnalazła ukochanego, Kirrick jeszcze oddychał. Ale wystarczył jeden rzut oka na jego ranę, by wiedzieć, że stało się najgorsze. Portia uniosła delikatnie głowę umierającego ptaszka w swoich skrzydłach i zaczęła przemawiać do niego kojącym głosem. Mówiła o tym, jak głęboko go kocha, opowiadała o planach i nadziejach na przyszłość. Nie chciała go puścić, nawet kiedy już całkiem uleciało z niego życie. Spoczywał na jej skrzydłach nieruchomy, z zamkniętymi oczami. Portia tymczasem muskała go czule dziobem, wstrząsana spazmami płaczu. Po dłuższej chwili zamajaczył nad nią cień. Portia podniosła wzrok i ujrzała przyjazne oblicze Tomara.

W jego oczach również malował się wielki smutek, gdy ujął ją delikatnie pod skrzydło i wyprowadził z tunelu.

- Kirrick był najdzielniejszym ptakiem, jakiego spotkałem w życiu. Musisz być dumna, że właśnie ciebie pokochał - powiedział smutnym, uroczystym głosem.

- Dumna, owszem. I bardzo zaszczycona. Nasza miłość nigdy nie umrze, chociaż Kirricka już nie ma. Zostanie przy mnie, mimo że jego ciało stanie się strawą dla robaków, którymi sam się niegdyś żywił. Kirrick będzie żył w moim sercu do końca moich dni. Obiecuj mi tylko jedno, Tomarze. Spraw, by legenda Kirricka przetrwała po wsze czasy. On na to zasłużył.

- Solennie ci to obiecuję - odparł Tomar. - Jak długo choćby jeden ptak będzie żył w Birddom, pamięć o Kirricku nie zginie.

Epilog

Katya przyglądała się z dumą, jak jej młody, silny syn ćwiczy się w lotach. Wzbijał się wysoko i wywijał pętle, kręcił spirale zachwycony swoimi umiejętnościami. Pikował ostro w dół, niemal szorując brzuchem po trawie, po czym wznosił się stromo w górę, by w końcu przysiąść na gałęzi u boku matki.

- Doskonale, Vengo. Z każdym dniem robisz postępy i zbliżasz się do mistrzostwa. Już jesteś bardzo silny, a staniesz się jeszcze silniejszy. Pracuj pilnie, synku, i hartuj ciało. Twój wróg jest bowiem potężny. I całkowicie skażony złem. Po twojej stronie jednak stoją siły dobra. A dobro zawsze zwycięża. Natura nie pozwala, by zło triumfowało przez dłuższy czas. I dała mi syna, który to zło ma zwalczyć. Wspaniałego syna!

Młody samiec wypiął pierś, dumny z komplementu i raz jeszcze wzbił się w powietrze. Jakże lubił sprawiać matce przyjemność!

Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły Portię siedzącą z zadowoleniem na gnieździe. Przez pierwsze tygodnie po śmierci Kirricka opłakiwała ukochanego. Natura jednak z czasem łagodzi ból, a dwa rdzawe jajka w gnieździe dawały jej radość

równoważącą smutek. Jej dzieci miały przed sobą piękną przyszłość. Będą żyły w wolnym, dobrym świecie, dzięki wysiłkom ich ojca.

- Kirricku, mój najdroższy, obiecuję ci, że wychowam nasze dzieci tak, by były godne twojej pamięci. Mieliśmy oboje tak wiele planów. Moje - w porównaniu do twoich - były dość egoistyczne i ja dostałam, czego pragnęłam. Kiedy cię straciłam, zrozumiałam jednak, że to ty miałeś rację. Birddom jest o wiele ważniejsze niż jakaś para rudzików. Przysięgam ci więc, mój mężu, mój bohaterze, że pójdę za twoim przykładem i będę pracowała, ile tylko sił, dla dobra naszego królestwa. Mądrzejsi ode mnie podejmą decyzje, które ukształtują naszą przyszłość. Ja jednak zrobię wszystko, o co mnie poproszą - w twoim imieniu, ku twej pamięci. Bo to dzięki tobie zło zostało pokonane i raz jeszcze zwyciężyły wolność i sprawiedliwość. Dzięki tobie, najdroższy Kirricku, jesteśmy teraz wolni!

Chwilę później słońce majestatycznie wzniosło się ponad horyzont i Portia rozśpiewała się na cały głos.

KSIĘGA DRUGA

Zwiastuny radości

1.

Merion i Olivia siedzieli onieśmieleni za matką, na skraju pięknej polany. Portia została zaproszona w charakterze honorowego gościa na inauguracyjne zebranie Rady Sów. Nadeszła wiosna, minęło sześć miesięcy od Wielkiej Bitwy, która doprowadziła do upadku imperium srok. U schyłku jesieni i w czasie długiej, ciężkiej zimy przywódca Birddom musieli się koncentrować na przetrwaniu. Niestety, nie wszyscy członkowie Rady doczekali pierwszych promieni słońca, oświetlających teraz nieśmiało czubki wysokich drzew. Wielka Sowa, Cerival, odszedł do innego świata, jednak szczęśliwy, bo straszne lata jego zgryzoty minęły wraz z zagładą Slyekina.

Wielką Sową został Tomar i przewodził Radzie liczącej obecnie ośmiu członków. Trzy sowy poległy w walce ze srokami, a więc w sumie jedna trzecia potencjału intelektualnego Rady przepadła na zawsze. Jednak to pierwsze posiedzenie zostało wsparte umysłami innych, potężnych ptaków. Storne i Darreal podjęli się dalekiej podróży i przybyli na polanę zebrania ze swoich skalistych szczytów i wyżynnych wzgórz, by wziąć udział w doniosłym wydarzeniu. Również Kraken zdecydował się raz jeszcze opuścić nadmorską fortecę swojej kolonii i ruszyć w głąb łądu. Ostatnie miejsce zostało puste,

ku pamięci Kirricka, bez którego Rada nigdy by się już nie zebrała, a Birddom pogrążyłoby się w mrokach zła.

Błędem jednak byłoby przypuszczenie, że od czasu walnej bitwy z krukowatymi w królestwie panował zupełny zastój. Orły, sokoły i jastrzębie patrolowały kraj, rozbijały te konfraternie, które się jeszcze ostały i wciąż nieustannie szukały Traski. Ale on jakby zapadł się pod ziemię. Po prostu zniknął. Wraz z początkiem zimy drapieżniki musiały porzucić poszukiwania i powrócić do swoich siedzib. Ciężkie mrozy w grudniu i styczniu zahamowały wiele działań. I duże, i małe ptaki musiały koncentrować się na tym, by dotrzeć do cieplejszych dni. Ale teraz, gdy nadeszła wiosna, znowu wszyscy zaczęli kierować swoje myśli ku przyszłości.

Przed Radą stanęły dwa najważniejsze zadania: oszacowanie spustoszenia dokonanego przez krukowate i wytyczenie planów na przyszłość. Tomar już zdecydował, że pierwsze zadanie powierzy swoim pobratymcom pod przewodnictwem odpowiednich członków Rady. Czekala ich żmudna, uciążliwa praca, trzeba bowiem było zliczyć, ile ptaków pozostało jeszcze w Birddom. Ta wiedza stanowiła niezbędny element oszacowania obecnego stanu ekosystemu i stwierdzenia, w jak wielkim stopniu naturalna równowaga uległa rozchwianiu. Choć już na pierwszy rzut oka widać było, że sprawa jest poważna. Krwiożercze armie Slyekina doprowadziły do całkowitej zgłady wielu gatunków ptaków. Czy Natura mogła poradzić sobie sama z odbudowaniem strat?

Inauguracyjna przemowa Tomara była krótka, ale treściwa. Na początku, we wruszających słowach, oddał hołd poległemu rudzikowi, mówiąc, że jego zaangażowanie i odwaga powinny się stać wzorem dla wszystkich żyjących ptaków.

- Nie można mierzyć jego osiągnięć rozpiętością skrzydeł, miał bowiem większe serce niż my wszyscy razem wzięci! - wykrzyknął stary puszczyk.

Portia aż pokraśniała z dumy, gdy usłyszała te słowa. Jednak na dwóch młodych rudzikach, dzieciach Kirricka, to nie słowa wywierały największe wrażenie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziały tak wielu ogromnych, wspaniałych ptaków naraz. Już każda z sów wzbudzała respekt i tylko Caitlin – sóweczka - wyglądała dość komicznie, siedząc obok swoich współbraci.

Kraken natomiast, ze swoimi olbrzymimi, czarnymi skrzydłami, ostrym, żółtym sztyłem dzioba i wyglądem pirata, wzbudzał w małych ptakach autentyczne przerażenie. Podobnie jak Darreal ze swoim przeszywającym spojrzeniem i haczykowatym dziobem. Co do Storne'a zaś - siedział dostojnie na swojej gałęzi i wyglądał, jakby był władcą całego świata.

Ale teraz te wszystkie wspaniałe ptaki słuchały z szacunkiem przemowy Tomara i kiwały z aprobatą głowami, gdy puszczyk wychwalał swojego małego, bohaterskiego przyjaciela. Śmierć Kirricka była wielką tragedią, nawet na tle pogromów dokonanych przez sroki. Rudzik jednak pozostawił po sobie ważne dziedzictwo. Nie wolno go zaprzepaścić. Wszyscy muszą działać na rzecz lepszej przyszłości Birddom - to będzie najwspanialszy hołd, jaki mogliby złożyć dzielnemu ptaszкови.

- Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by śmierć Kirricka, czy też każdego innego ptaka, który oddał życie w walce przeciwko złu, nie poszła na marne.

Zebrani ponownie pokiwali głowami w aprobacie dla mądrych słów puszczyka. Chwilę później Storne spojrzał bacznie na Tomara, dając do zrozumienia, że chciałby zabrać głos. Tomar zgodził się bez wahania.

- Przed nami ogromne wyzwania - zagrzmiał wielki orzeł. - W najbliższym czasie przyjdzie nam podjąć wiele istotnych decyzji. Zbrodnicze działania srok wpłynęło na życie nas wszystkich - nie tylko na populację małych ptaków, która została tak okrutnie przezebiona, ale także na egzystencję dużych drapieżników, swego czasu

żywiących się wymordowanymi gatunkami. Dla niektórych tu zgromadzonych to, co mówię, może wydać się bezduszne, ale taki jest - czy raczej był - odwieczny porządek Natury. My zabijaliśmy tylko z konieczności, by się pożywić - i jednocześnie utrzymywaliśmy w Birddom pożądaną równowagę. Teraz jednak o żadnej równowadze nie ma już mowy. Życie każdego drobnego ptaka stało się święte - przynajmniej do czasu, aż nie znajdziemy sposobu, by przywrócić ich liczbę do dawnego stanu.

Te ograniczenia - z konieczności - zaostrzą nasze konflikty z Człowiekiem. Bo przecież nadal musimy się czymś żywić, a z powodu braku pokarmu w naszym naturalnym środowisku, zostaniemy zmuszeni do sięgnięcia po zapasy zgromadzone przez ludzi. Zapewne zdajecie sobie sprawę, jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa. I problem ten nie dotyczy jedynie wielkich drapieżników - takich jak ja i moi pobratymcy. Pozostałe ptaki będą również musiały korzystać z plonów Człowieka. Bo w żadnym razie nie wolno nam złamać przymierza zawartego przez Tomara z owadami. Jeżeli jakiś ptak sprzeniewierzyłby się złożonej przez niego przysiędze, musiałby zapłacić za to życiem.

Orzeł powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Jego oświadczenie było jasne i kategoryczne. Storne wiedział, że to przesłanie wkrótce rozniesie się po całym Birddom - dotrze do każdego ptasiego gniazda. A Rada - o ile będzie dość silna - zrobi wszystko, by wprowadzić nowe prawa w życie. By jednak ich działanie odniosło skutek, wszystkie ptaki muszą się przekonać, że mogą zaufać temu gremium. Muszą dojrzeć sens jego postępowań. Uwierzyć, że sowy zdołają zapewnić wszystkim lepszą przyszłość. Storne raz jeszcze spojrzął znacząco na Tomara.

- Czy mogę spytać, jak Wielka Sowa zamierza rozwiązać nasze problemy? Dobro całego Birddom zależy głównie od ciebie, Tomarze. Jestem pewien, że sprostasz temu wyzwaniu. Czy zechcesz nas

wtajemniczyć w swoje plany?

Stary puszczyk rzeczywiście strawił wiele godzin na rozmyślniach o przyszłości i teraz bez wahania przedstawił ich wynik. Słuchając jego słów, Portia zrozumiała, że Tomar przeznaczył dla niej ważną rolę. Birddom stało na skraju katastrofy populacyjnej. Żeby do niej nie doszło, należało zachęcić drobne ptaki żyjące w Winglandzie - na wielkim kontynencie rozciągającym się poza pasem morza - by masowo zechciały osiedlić się w Birddom. Imperium Slyekina było dość hermetyczne, mało prawdopodobne więc, żeby zło, które wypaczyło krukowate w tym kraju, rozlało się po całym świecie. Ktoś jednak będzie musiał się podjąć przeprawy przez morze, a potem, gdy już znajdzie się w Winglandzie, zrobić wszystko, co możliwe, by namówić jak najwięcej ptaków rozmaitych gatunków do migracji w nowe strony - do Birddom.

Portia - jako partnerka Kirricka - w oczach Rady, a przede wszystkim Tomara, była idealną kandydatką na emisariusza. Niemniej, stary puszczyk martwił się o jej bezpieczeństwo. Już obwinił się o śmierć jednego dzielnego rudzika, dlatego wzdragał się przed powierzeniem ukochanej Kirricka kolejnej misji wystawiającej na szwank jej życie.

Portia tymczasem była rozdarta pomiędzy pragnienie, by znowu stać się ważnym pionkiem w wielkiej rozgrywce - przysłużyć się Birddom, podobnie jak to uczynił Kirrick - a swoje matczyne uczucia. Merion i Olivia wyrosli już z pisklęcych lat i stali się praktycznie niezależni. Ale więź rodzinna była w ich wypadku bardzo silna i Portii ściszało się serce na myśl o rozstaniu z dziećmi. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że przeznaczenie wyznaczyło jej rolę ważniejszą niż rola matki, więc w końcu na ochotnika zgłosiła się do podjęcia tego trudnego zadania.

Tomar - wiedziony intuicją i swoją wielką inteligencją - natychmiast domyślał się, co jest powodem rozterki Portii i zapewnił, że w

czasie jej nieobecności zaopiekuje się młodymi rudzikami. Merion i Olivia nie posiadali się z radości, że zostaną pod kuratelą Tomara. Stary puszczyk pamiętał mnóstwo opowieści, jak nikt znał historię Birddom i dawne legendy, więc natychmiast zapomniały o smutku płynącym z rozstania z matką i głośno dały wyraz swojemu entuzjazmowi. Portia poczuła ulgę, ale i ukłucie w sercu, że dzieci tak łatwo się pogodzą z jej odlotem, gdy już przyjdzie na to czas.

Traska zdawał sobie sprawę, że podejmuje wielkie ryzyko, przybywając na to dzikie pustkowia. Na obszarze Wyspy Sztormów dominował szczególny gatunek wron. Były to wielkie i groźne ptaki. Wieść niesła jednak, że także wyjątkowo tępe. A takiego sojusznika Traska teraz najbardziej potrzebował. Silnego fizycznie, ale dającego się łatwo zmanipulować. Przebiegły samiec wyciągnął bowiem lekcję z krótkiego uwięzienia w lochach Slyekina - by osiągnąć sukces, potrzeba ochronnej tarczy stworzonej przez krwawych okrutników, za którą można się skryć i w spokoju snuć nieczne plany. O, ironio, analizując całą sytuację, Traska jakoś nie dostrzegł, że podobna tarcza na niewiele zdała się Slyekinowi.

Dobrze wiedział, że ptaki sprzymierzone przeciwko imperium srok, były żądne jego krwi. Ścigały go równie bezwzględnie, jak on swego czasu ścigał swego najgorszego wroga - Kirricka. Traska uśmiechnął się szyderczo, gdy przypomniał sobie swój morderczy czyn. Zabicie tego przekłętego rudzika napełniło jego serce błogością. Musiał być to też nie lada cios dla Tomara i jego wszechmocnej, szacownej Rady Sów. Gniew skręcał Trascie trzewia na myśl o starym puszczyku, który siłą swojego geniuszu zniweczył nadzieje srok na dominację w świecie ptaków. To z powodu Tomara i Kirricka on sam musiał uciekać z rodzinnego kraju i przemienić się w uchodźcę-tułacza. Traska nie zamierzał jednak spędzić reszty życia

w ukryciu. Przede wszystkim chciał się zemścić. Odegrać na Tomarze. Niczego nigdy tak nie pragnął. A ostatecznie zawsze zdobywał to, na czym mu zależało.

Kryjówka wron była położona w niedostępnym, górzystym terenie o piargowych zboczach i dolinach okolonych pionowymi ścianami. Mimo że wrony żyły tu niczym w twierdzy, nie stanowiły licznej społeczności. Ponieważ atakowały młode jagnięta i inne zwierzęta gospodarskie, farmerzy żyjący na wyspie serdecznie ich nienawidzili i wyznaczili nagrodę za głowę każdego upolowanego ptaka tego gatunku. Stąd, jeśli tylko jakiś człowiek dojrzał wronę na niebie, natychmiast do niej strzelał. Traska wiedział, że powinien się obawiać tych gigantycznych krukowatych, wierzył jednak niezachwianie w potęgę swojego intelektu.

Niespodziewanie z nieba spadły dwa wielkie samce wrony i wylądowały po bokach Traski. Ich brudnopopielate i grafitowe pióra prezentowały się dość żałośnie w porównaniu z idealną czernią i śnieżną bielą upierzenia Traski.

- Czego tu szukasz, intruzie? - spytała jedna z wron.
- Nie przybyłem tu, by rozmawiać z kimś takim jak wy. Żądam spotkania z waszym wodzem! - warknął Traska wojowniczo.
- O, spotkasz się z nim na pewno. Ale dopiero jak odpowiesz na kilka pytań - odparł drugi z wartowników.
- Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo - zachnął się Traska. - Sprowadzają mnie tu bowiem ważne sprawy. Wasz wódz z pewnością nie będzie zadowolony, gdy się dowie, jak mnie potraktowaliście!
- Podejmiemy to ryzyko. A teraz odpowiadaj. Kim jesteś? Skąd przybywasz? I co za ważne sprawy przywodzą cię w nasze strony?
- Proszę, proszę! Trzy pytania naraz - odparł Traska wzgardliwym tonem. - To musiał być dla ciebie wyczerpujący wysiłek

umysłowy! Nazywam się Traska i przyleciałem tu aż z Birddom. A co się tyczy sprawy, która mnie tu sprowadza, to takim jak wy od niej wara! Nie traćmy więc już czasu. Prowadźcie mnie natychmiast do swojego wodza.

Tak władczy i rozkazujący był ton jego głosu, że dwie wielkie wrony mruknęły jedynie: „Leć za nami!”, po czym z furkotem skrzydeł wzbiły się w powietrze. Frunęły zakosami, by zmylić każdego, kto chciałby wytropić lub zapamiętać drogę do ich kryjówki, podróż trwała więc długo. W końcu jednak przybyli do miejsca przeznaczenia. Była to obszerna jaskinia, do której wejście zasłaniała bujna roślinność. Po obu stronach zaś, na podobieństwo olbrzymich wartowników, rosły dwa wysokie drzewa, a ich wyłaniające się spod ziemi korzenie - sękaty, grube, poskręcane - służyły ptakom za kwatery, jak i dogodne miejsce obserwacyjne.

Wewnątrz jaskini ściany ociekały wilgocią i panował zgiełk. Wysokie sklepienie odbijało głośnym echem krakanie wron, które wykorzystywały grotę jako swoją bazę operacyjną. W mrocznej niszy leżały gnijące szczątki jagniąt i cieląt. Widać, że nie bez przyczyny farmerzy tak zawzięcie tępili te ptaki. Od czasu do czasu jakaś masywna wrona wskakiwała na górę rozkładającej się padliny, rwała żarłocznie mięso i łykała łapczywie spore kęsy.

Traskę poprowadzono w głąb groty i wówczas ujrzął gigantycznego ptaka, przy którym pozostałe wrony wydawały się mizerne i chuderlawe. Był to ich wódz, imieniem Donal, i Traska zadrzał na jego widok. Szybko jednak zebrał się w sobie i zaczął patrzeć na Donala bardziej krytycznym okiem. Ów samiec wrony miał potężny, czarny dziób i wielką głowę osadzoną na tak masywnej szyi i ramionach, że myśl o wdzięcznym locie w jego wykonaniu wydawała się absurdalnie śmieszna. Można by wręcz odnieść wrażenie, że ten ptak został wyciosany z jednego kawałka skały tworzącej grotę służącą

wronom za siedlisko. W oczach Donala nie dało się jednak dostrzec błysku inteligencji i Traska postanowił z miejsca przejść do ofensywy.

- Kolejna strata czasu! Kiedy wreszcie przebiję się przez tę masę durniów i spotkam z waszym wodzem?!

- Ja tu jestem władcą, więc lepiej zapanuj nad językiem albo sam wyrwę ci go z gardła!

- W takim razie żądam, byś podał mi swoje imię i okazał należną cześć, jako swojemu suwerenowi!

- A cóż to niby czyni z ciebie mojego suwerena? - Donal wybuchnął śmiechem.

- Hm, przede wszystkim mam rozum - mruknął Traska pod dziobem, Donalowi jednak głośno odpowiedział:

- Ty może jesteś przywódcą tej żalostnej bandy pchlarzy - chociaż na twoim miejscu nie czułbym się dumny z tego powodu. Ja natomiast jestem królem wszystkich krukowatych w Birddom!

- Ach, wybacz mi, wasza wysokość! - odparł kpiąco Donal, nisko skłaniając głowę. Zaraz też zwrócił się w stronę swoich adiutantów i wydał krótki rozkaz. W tym samym momencie otoczyło Traskę pół tuzina potężnych ptaków, w każdej chwili gotowych rozszarpać go na kawałki.

- Złamcie mu skrzydło!

Straszny ból przeszył samca sroki, gdy dwie wrony przycisnęły go do ziemi, trzecia zaś wygięła do tyłu jego ramię, aż jedna z kości trzasnęła jak gałązka. Okaleczony Traska szybko jednak poderwał się na nogi i obrzucił Donala wzgardliwym spojrzeniem. W żadnym razie nie zamierzał pokazać, jak bardzo cierpiał z powodu doznanego złamania.

- Ależ z ciebie bezmyślny dureń! Czy ani przez moment cię nie zastanowiło, czemu tu przybyłem? Choć znamy się zaledwie od paru minut, wiem już, na czym polega twój największy problem. Jesteś kompletnym półgłówkiem, ot co!

- Jak na razie to nie moje skrzydło jest złamane - odparł Donal już o wiele mniej pewnym siebie głosem.

- Skrzydło się zagoi - powiedział Traska. - Dopóki jednak tak się nie stanie, pozostanę na twoim utrzymaniu. Będę gościem w tym domu.

- A niby czemu miałbym cię gościć? Jeżeli cię wyrzucę, wkrótce padniesz ofiarą jakiegoś drapieżnika, ja zaś będę miał problem z głowy.

- Ty zdaje się wciąż nic nie pojmujesz, prawda? Moje przybycie jest najwspanialszą rzeczą, jaka kiedykolwiek spotkała cię w życiu. Jestem bowiem w stanie dać ci szansę na przyszłość, o jakiej ci się nawet nie śniło.

- Opowiedz mi o tym! - zarządził potężny samiec.

Traska zaczął przechadzać się po grocie dumnym krokiem, nie zwracając uwagi na złamane skrzydło, ciągnące się za nim bezwładnie po ziemi.

- Tutaj jesteście wyrzutkami. Życie w ukryciu, w ciągłym strachu przed ludźmi, którzy was prześladują i uśmiercają, gdy tylko mają ku temu okazję. W Birddom Człowiek nie stanowi dla nas zagrożenia. Tam jesteśmy panami przestworzy. Przemieszczamy się, gdzie i jak chcemy. Mamy wiele przestrzeni do życia i pod dostatkiem pożywienia. Pofruńcie ze mną do mojego kraju i przyłączcie się do mej konfraterni. Obecnie jest nas mniej niż onegdaj, więc nie grozi wam z naszej strony żadna konkurencja.

- Jesteś niezwykle wspaniałomyślny, o władco krukowatych. Interesuje mnie jednak czemuś tak hojny. - Wielka wrona wbiła w Traskę pytający wzrok.

- Ponieważ potrzebuję silnych fizycznie sojuszników. My, krukowate, mamy wielu wrogów w Birddom, ponieważ inne ptaki zazdroszczą nam władzy. Niedawno wypowiedziały nam wojnę. Oczywiście, wygraliśmy rozstrzygającą batalię. Ponieśliśmy jednak

znaczące liczebnie straty. Wiele najdzielniejszych ptaków poległo w walce, a ja chciałbym pomścić ich śmierć. Wy przedstawiacie sobą bojowy potencjał, który pozwoliłby mi raz na zawsze rozprawić się z wrogami. W zamian moglibyście się osiedlić w kraju, gdzie będziecie żyć wolni od lęku, w warunkach daleko przewyższających wasze obecne skromne aspiracje.

- Przyznaję, że twoja oferta brzmi zachęcająco. - W tonie Donala zabrzmiała pojednawcza nuta i samiec wrony przybrał mniej agresywną postawę. - Nasza znajomość nie rozpoczęła się najfortunniej. Zdaje się jednak, że wreszcie pojęliśmy, jaką przedstawiamy dla siebie nawzajem wartość. Pozwól, że postaram się wynagrodzić ci złe traktowanie i swoje grubiaństwo. Nazywam się Donal i jestem - jak to określiłeś - wodzem tej zbieraniny. Moich dwóch adiutantów, Finbara i Shauneya, miałeś okazję poznać wcześniej. - Donal wskazał na dwa ptaki, które eskortowały Traskę do jaskini. - Od nich dowiedziałem się, że zwać cię Traska.

Samiec sroki zdusił w sobie pokusę kpiącego przytyku na temat zdolności pamięciowych wron i odparł jedynie:

- Owszem.

- Cóż, Trasko. Mam nadzieję, że wybaczysz nam nieufność i zechcesz skorzystać z naszej gościny teraz, gdy już zostaliśmy przyjaciółmi.

Nigdy nie miałem przyjaciela, ale gdyby niespodziewanie naszła mnie taka chęć, ciebie z pewnością bym nie wybrał do tej roli!, uznał w duchu Traska, maskując swoje myśli mdłym uśmiechem.

- Odbyłem daleką podróż i jestem bardzo zmęczony. Czy moglibyście mi wskazać jakieś odosobnione miejsce spoczynku? - zapytał.

Donal szybko wydał rozkazy adiutantom, którzy powiedli Traskę ku pomniejszemu drzewu rosnącemu u wejścia do groty. Miało ono sporo konarów, z których część zwieszała się nisko nad ziemią. Finbar chwycił jeden z nich dziobem i pociągnął w dół, by Trascę

łatwiej było się wdrapać na górę. Samiec sroki poruszał się niezdarnie, bo przeszkadzało mu połamane skrzydło, mimo to udało mu się - za pomocą dzioba i silnych nóg - wdrapać całkiem wysoko i znaleźć wygodne miejsce na nocleg. Wkrótce też zmęczenie wzięło górę nad bólem i Traska zapadł w głęboki sen.

2.

Podobnie jak kiedyś Kirrick przed swoją wyprawą, tak teraz Portia spędzała wiele czasu w towarzystwie Tomara, a dyskusje obu ptaków były równie ważne dla przyszłości Birddom, zastanawiali się bowiem, jak zwiększyć ptasią populację w kraju, który tak bardzo kochali.

Przede wszystkim jednak musieli dobrze zaplanować podróż Portii, jakże istotną dla dobrobytu wszystkich ptaków. Oczywiście, ona już pokonywała wielkie przestrzenie u boku Kirricka, i Tomar ani przez moment nie wątpił w jej siłę i wytrzymałość. Jednak rudziki dawno temu porzuciły wędrowny tryb życia, stary puszczyk obawiał się więc, że zdolności nawigacyjne Portii - choć na lądzie doskonałe - mogłyby zawieść na morzu, gdzie brakowało punktów orientacyjnych.

Trzeba jednak było podjąć to ryzyko. Prawie wszystkie migrujące ptaki zostały wymordowane w pierwszej fazie realizacji diabolicznego planu Slyekina, te zaś nieliczne osobniki, które przeżyły masakrę, natychmiast stąd umknęły i bez wątpienia poniosły w świat wieść o masowych mordach i okrucieństwach popełnianych przez sroki w Birddom. Owi uciekinierzy z pewnością nie ułatwią Portii jej misji. Czekają ją więc trudne zadanie przekonania ptaków żyjących w

Winglandzie, że Birddom jest już teraz bezpiecznym i pięknym miejscem do zamieszkania.

Początkowo rozmowy koncentrowały się na sposobie pokonania morskiej przestrzeni. Tomar, pod koniec zebrania Rady, skorzystał z okazji i skonsultował się w tej sprawie z Krakenem. Od niego dowiedział się, jakie są najłatwiejsze trasy przelotu w zależności od pory roku i dominujących prądów powietrznych. Tomar pilnie zakonotował wszystkie wiadomości i teraz szczegółowo omawiał je z Portią, która wyrażała przekonanie, że zdoła stawić czoło wszelkim przeciwnościom. Podróż wcale jej nie przerażała.

Ale dopiero po pokonaniu morskiego pasa - tej jakże potężnej przeszkody - Portia miała stanąć przed rzeczywiście niezwykłym wyzwaniem. Wingland był dla niej całkiem obcą krainą, po której miała podróżować samotnie, bez żadnej bratniej duszy, najprawdopodobniej skazana na trudności językowe. Ptaki wędrowne były z konieczności wielojęzyczne i z reguły bez problemu porozumiewały się w każdym kraju, do którego załatywały. Ale te na stałe gniazdujące w jednym miejscu zazwyczaj wykształcały lokalne dialekty, co bardzo utrudniało wzajemne porozumienie. Tak więc oboje - stary puszczyk i piękna samiczka rudzika - obawiali się, że Portii trudno będzie znaleźć wspólny język ze spotkanymi ptakami.

Po długich rozmyślaniach Tomar doszedł do wniosku, że tuż po przybyciu do Winglandu Portia będzie musiała poszukać osobnika, który niegdyś odwiedzał jej rodzinny kraj w swoich dorocznych wędrówkach, a potem przekonać go, by zechciał służyć za tłumacza w negocjacjach z ptakami żyjącymi na kontynencie. Tylko takie rozwiązanie dawało nadzieję, że Portia zdoła kogokolwiek namówić, by zechciał towarzyszyć jej w drodze do Birddom.

Tomar ciągle badał w rozmowach Portię i cieszyła go jej dzielność oraz czyste serce. Żadna przeszkoda nie wydawała się jej nie do

pokonania. Żadne wyzwanie nie stanowiło problemu. Była wspaniałym ptaszkiem. Odważnym, niezłomnym i, podobnie jak Kirrick, z dużym poczuciem humoru. Bohaterski rudzik nie mógł wybrać lepiej. Niektórzy członkowie Rady mieli wątpliwości, czy Portia - słaba samiczka z gatunku małych ptaków - powinna zostać emisariuszką Birddom. Tomar jednak ostro napomniiał wątpiących. Oznajmił, że nie wskaże żadnego innego ptaka na jej miejsce, bo też żaden nie byłby tego bardziej godzien. Teraz, po wielogodzinnych rozmowach, zaufanie Tomara do Portii jeszcze wzrosło. Jeżeli komuś mogła się powieść podobna misja - to tylko jej.

Daleko na północy Katya z zapartym tchem przyglądała się podniebnym popisom syna. Venga był silny, a jednocześnie pełen gracji - w jego wypadku nawet długi ogon nie burzył rysunku lotu. Samczyk był już dorosły, wciąż jednak nie opuszczał matki. Chętnie poszukałby dla siebie samiczki i założył własną rodzinę, wiedział jednak, że Katya wytyczyła dla niego inną przyszłość. Venga nie zazna spokoju, póki nie pomści krzywdy matki. Katya tymczasem zbierała informacje we wszystkich lokalnych konfraterniach i w końcu nabrała pewności, że podły samiec, który tak brutalnie zaatakował ją zeszłego roku, nie wywodził się z jej rodzinnych stron.

Opisywała dokładnie jego wygląd i kilku z jej sąsiadów w końcu go zidentyfikowało. Powiedzieli, że ów niczemnik nazywa się Traska i przyleciał tutaj z dalekiego południa w pogoni za jakimś rudzikiem. Katya dowiedziała się również, że ów łotr brał udział w krwawej bitwie z górskimi orłami. Wiele srok drżało na wspomnienie tamtych wydarzeń i nie chciało w ogóle na ten temat rozmawiać. Jedna czy dwie chwaliły się swoją bojowością, instynkt jednak podpowiadał Katyi, że owe osobniki nawet nie brały udziału w walce.

W końcu jednak pewien samiec udzielił jej informacji, jakiej poszukiwała.

- O, tak. Pamiętam dobrze tego Traskę. Był przebiegły i podły. Zawsze nas zastraszał i nami pomiatał. Panoszył się i rządził, gdzie tylko mógł. Kiedy jednak przyszło do walnej bitwy, zniknął bez śladu. Niektórzy przypuszczali, że zginął w szponach orłów i jego padlina wała się gdzieś po polach. Ja jednak widziałem, jak się ukrył, kiedy tylko zwęszył zagrożenie. Ten tchórz czmychnął do mysiej nory, zostawiając nas na pastwę losu.

- Czy widziałeś go jeszcze kiedyś? Czy przeżył bitwę? - dopytywała się Katya.

- O, z pewnością przeżył. Tacy jak on zawsze potrafią się wywinąć z opresji. Nie widziano go już jednak więcej w tych okolicach. Pewnie wrócił tam, skąd przybył, i nadal ściga przekłętego rudzika. Nie chciałby się pojawić jako pokonany. O ile wierzyć jego słowom, był osobistym przyjacielem Slyekina. Cóż, moim przyjacielem to on nigdy nie będzie. Jeżeli tylko uda mi się go dorwać, skręcę mu kark, ot co!

Katya podziękowała samcowi i pofrunęła z powrotem do swojego gniazda, gdzie zadumała się na tym, co usłyszała. Informacje były dość skąpe, ale nie należało zwlekać, tylko podążyć ich tropem. Traska musi zapłacić za swoje okrucieństwo. Za to, że zmarnował jej życie. Katya natomiast będzie musiała zawierzyć wytrwałości syna i jego determinacji, jeśli jej krzywda ma zostać pomszczona. Nadszedł czas, by Venga podjął swoją misję.

Zaledwie po tygodniu w towarzystwie tych durniów Trasce chciało się wyć. Jeszcze nigdy nie spotkał równie tępych ptaków. Nawet Donal, ich wódz, miał trudności ze zrozumieniem najprostszych pojęć. Przyrodzona wronom chciwość, a także naturalne dla nich

okrucieństwo i zajadłość powinny ułatwić Trasce zadanie. Problem w tym, że Donal nie był w stanie dojrzeć związku pomiędzy dobrobytem, jaki czekał wrony w Birddom, a koniecznością podjęcia działania, które pozwoliłoby im się cieszyć owocami tego dobrobytu.

Początkowo Traska obawiał się, że jego obecny sojusznik szybko się zorientuje, iż może zdobyć wszystkie kuszące profity bez pomocy sroki, oferującej ten niby lukratywny układ. Teraz Traska martwił się jedynie, że Donal i jego wrony są zbyt głupie, żeby przeżyć podróż. Jakim cudem te ptaki w ogóle nauczyły się latać?!

Ból w skrzydle wciąż bardzo mu dokuczał, ale kości nie uległy przemieszczeniu i dobrze się zrastały. Traska wiedział, że musi zrobić wszystko, żeby skrzydło porządnie się wygoiło. Podróże, które go czekały, wymagały, żeby pod każdym względem był w pełni sił. Uzbroił się więc w cierpliwość i pozwolił działać Naturze. Z tego też powodu trzymał nerwy na wodzy i dusił w sobie chęć złorzeczenia na przerażającą głupotę wron. Wiedział, że łatwo przyszłoby mu je zdominować. Ale wiedział także, że w gniewie każda z nich mogłaby go wykończyć jednym uderzeniem dzioba.

Większość czasu upływała Trasce na knuciu intryg przeciwko mieszkańcom Birddom. Ilekroć stawał mu przed oczami Tomar czy Kirrick, żółć podchodziła mu do gardła, a lodowata obręcz gniewu ścisnęła pierś. Zarozumiałość i samouwielbienie nie dopuszczały do niego myśli, że został pokonany. W żadnym razie! To Slyekin przegrał. To plany Slyekina zostały obrócone wniwecz przez ową przeklętą parę mącieli. I tylko Traska odniósł zwycięstwo w tym całym zamieszaniu. Zatriumfował nad prawomyślnością Birddom. I zabił rudzika. Ów akt - brutalny mord dokonany na małym ptaszku - rozrósł się w jego wyobrażeniach do nie-bywałych proporcji. W spaczonym umyśle Traski podłość i tchórzostwo nabrały wymiaru

heroicznego czynu. Teraz całą swoją energię łotr kierował na obmyślenie sposobu obalenia Rady Sów i pokonanie Tomara. Po śmierci Kirricka bowiem to właśnie stary puszczyk stał się obiektem zapiekłej nienawiści Traski.

Tak więc, czekając, aż wydobrzeje mu skrzydło, Traska pilnie pracował nad planem ponownego zawładnięcia Birddom przez krukowate i zgładzenia wrogów.

Merion i Olivia starali się spędzać z matką jak najwięcej czasu. Ona zaś opowiadała im o czasach spędzonych z Kirrickiem i o jego bohaterskich wyczynach. Olivia w pewnym momencie zauważyła, że Portia była równie dzielna.

- O, nie, kochanie. Twój ojciec był kimś wyjątkowym.
- Tak jak ty, mamó. Ty też jesteś wyjątkowa.

W ten sposób dzieci, nieświadomie, rozbudzały w matce pewność siebie przed czekającym ją wielkim wyzwaniem. A częste rozmowy i perspektywa odlotu Portii jeszcze bardziej zacieśniły więź łączącą całą trójkę. Portia wiedziała, że w drodze będzie jej towarzyszyć miłość dzieci i to było dla niej wielką podporą.

- Opowiedz nam o przygodzie z królikami? - poprosiła Olivia, a Merion zaczął entuzjastycznie klaskać skrzydłami.

Ta historia należała do ich ulubionych i Portia ochoczo zaczęła opowiadać o owych dniach wśród wzgórz, gdy wraz z Kirrickiem - ścigani przez sroki - wymknęli się pewnej śmierci, odwołując się do fortelu: ucieczki przez królicze nory.

- A sroki myślały, że rozpułyńście się w powietrzu. - Merion ze śmiechem włączył się do opowieści.

Bo prawdę powiedziawszy, on i jego siostra znali większość tych opowiadań na pamięć - umieli je powtórzyć słowo w słowo. Słuchali

o przygodach i wyczynach ojca od chwili, gdy matka po raz pierwszy napełniła ich dzioby robakami. Niemniej z wielką radością wracali wciąż na nowo do wspomnień Portii. Uwielbiali też gawędy Tomara i już się cieszyli, że wkrótce będą z nim spędzać dużo czasu. Od niego mogli usłyszeć nie tylko o dokonaniach ojca; stary puszczyk znał wiele legend i mitów z zamierzchłej przeszłości Birddom. A jak wszystkie dzieci, Merion i Olivia byli żłaknieni wiedzy i ciekawych opowieści.

Rudziki więc cieszyły się swoim towarzystwem, póki mogły, a w przeddzień odlotu Portii przybył do nich Tomar z dobrymi wieściami.

- Jak się miewasz, moja droga Portio? Czy jesteś już gotowa do podróży?

- Tak sądzę, Tomarze. Choć niepozbawiona obaw. Bardzo nie chciałabym zawieść.

Oczy Portii zdradzały głęboko tkwiący w niej lęk, że nie będzie równie silna duchem jak jej ukochany Kirrick. Nie przejmowała się niebezpieczeństwami, które może spotkać po drodze, ale tym, że nie zdoła wypełnić misji. Tomar dostrzegł jej obiekcje.

- Kirrick wykazał się dużą mądrością, wybierając ciebie na swoją partnerkę - powiedział. - Ja jestem przekonany, że wykazałem się taką samą przenikliwością, wybierając cię na naszą emisariuszkę. Przed tobą ciężka i daleka podróż, Portio, z pewnością natkniesz się na różne przeszkody, nie unikniesz zagrożeń. Ale poradzisz sobie ze wszystkimi, moja droga. Uważam, że największym twoim wrogiem w tej podróży może być samotność, chociaż ani przez chwilę nie wątpię w siłę twojego charakteru. Wiem natomiast, że od kiedy Kirrick miał cię u boku, wypełnienie misji stało się dla niego dużo łatwiejsze.

- Kirrick będzie ze mną przez cały czas - odrzekła dzielnie Portia.

- W takim radzie mam nadzieję, że nie będzie mu przeszkadzać jeszcze jeden towarzysz!

W oku Tomara pojawił się błysk rozbawienia, gdy przekazywał tę niespodziewaną nowinę - niczym magik wyciągający królika z kapelusza.

- To niezwykley zbieg okoliczności, zapewniam cię, moja droga. - Puszczyk umiejętnie podsycił ciekawość Portii. - Bo widzisz, wczoraj rano przybył do mnie nieoczekiwany gość. Ktoś, kto jest twoim starym znajomym. Zjawił się u mnie, ponieważ w jakiś sposób chciałby się przysłużyć naszemu królestwu. Zdaje się, że spotkanie z tobą i Kirrickiem wywarło na nim niezapomniane wrażenie.

- Kto to taki? Kto? - zapytała Portia z wprost dziecięcym entuzjazmem.

- Pewien jegomość, dla którego zdobywanie smacznych kąsków i potyczki z miejscowymi kotami już przestały być wystarczającymi wyzwaniem. O ile mnie pamięć nie myli, on swego czasu uratował ci życie. Zdaje się, że zdołasz u niego zaciągnąć jeszcze większy dług, zanim ta historia dobiegnie końca i przejdzie do legendy przekazywanej przyszłym pokoleniom.

- Mickey! To z pewnością Mickey.

Portia nie kryła radości na myśl o ponownym spotkaniu z młodym gilem. Mickey rzeczywiście pomógł uratować życie Portii, gdy bezmyślnie próbowała zaspokoić pragnienie wodą morską. Jego znajomość życia, spryt i refleks ocaliły ją od niechybnej śmierci. Poza tym Mickey podjął się roli przewodnika i zaprowadził Portię i Kirricka do Krakena, wodza mew. A chociaż wówczas wszystko wskazywało na to, że misja się nie powiodła, mewy ostatecznie wzięły udział w

Wielkiej Bitwie i przechyliły szalę zwycięstwa na stronę sił dobra. Tak więc Mickey też na swój sposób przyczynił się do wolności Birddom. A jak już raz zasmakował w przygodzie, czuł jej niedosyt.

- Rzeczywiście, chodzi o Mickeya - przyznał Tomar. - Był zachwycony, gdy mu zaproponowałem, żeby towarzyszył ci w podróży. Powiedział, że to dla niego wielki zaszczyt.

Tomar urwał i spojrzał uważnie na młodą samiczkę - przez jej oblicze przebiegł wyraz zatroskania. Puszczyk od razu zrozumiał, o co chodzi i zaczął wyjaśniać poważnym tonem:

- Moja droga, przybycie Mickeya to naprawdę jedynie zbieg okoliczności, który może się okazać bardzo szczęśliwy dla nas wszystkich - a dla ciebie w szczególności. Nie został on tu ściągnięty przez Radę. Nikt też nie uważa, że sama byś sobie nie poradziła. Nie powinniśmy jednak odrzucać tak wspaniałej okazji - rezygnować z robaka, który wije się tuż przed naszym dziobem. Mickey bardzo chciałby zostać twoim towarzyszem podróży, a ja uważam, że jego pogodne usposobienie nieraz doda ci - otuchy w czekających cię mrocznych chwilach.

- Cieszę się, że będę podróżować z Mickeyem - odparła. - Wspomniałeś jednak złowieszczo o jakichś „mrocznych chwilach”, Tomarze. Czego się obawiasz? Czyżbyś nie powiedział mi wszystkiego?

- Powiedziałem ci wszystko, moja droga przyjaciółko. A przejmuję się nie tym, co wiem, ale tym, o czym nie mam pojęcia. Nie docierają do nas żadne wiadomości z szerokiego świata. Jesteśmy praktycznie odcięci od kontynentu. Od czasu pogromów dokonywanych przez sroki, ani jeden wędrowny ptak nie ośmielił się wylądować na naszym wybrzeżu w obawie o własne życie. Nie mamy więc pewności, czy nie narażasz się na takie same niebezpieczeństwa,

jakim jeszcze do niedawna musiałaś stawiać czoło w Birddom.

Portia spojrzała na niego szczerze przerażona.

- Chyba nie sądzisz, że krukowate w Winglandzie zostały skazane złem Slyekina?

- Nie, nie sądzę - odparł Tomar, po czym dodał szybko - ale byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybym - wysyłając cię w drogę - mógł mieć taką pewność.

3.

Dopiero po kolejnych trzech tygodniach skrzydło się wygoiło na tyle, by Traska mógł podjąć pierwsze próby lotu. Zabrał się do tego zawzięcie, z determinacją, ignorując przeszywający ból. Z początku obciążał głównie zdrowe skrzydło, więc nieustannie musiał korygować kurs lotu. I w końcu tylko dzięki wyjątkowej sile woli zdołał się zmusić do pełnego wykorzystania zranionego skrzydła. Przez pierwszych kilka dni powracał na swoje drzewo kompletnie wyczerpany. Powoli jednak siły wracały i Traska mógł latać coraz dłużej i dalej. Wkrótce wyruszał na całodniowe wyprawy i wracał dopiero o zmierzchu, by się wypaść i najeść do syta. Przy wronach zawsze można było się dobrze pożywić. One same natomiast żyły w stanie sennego zawieszenia, czekając, aż Traska wydobrzeje na tyle, by podjąć podróż, o której tak wiele opowiadał. Ilekroć samiec sroki miał okazję rozmawiać ze swoimi gospodarzami, za każdym razem podkreślał, jaki dobrobyt czeka ich w Birddom. Roztaczał wizję krainy opływającej w dostatki, gdzie pędzi się łatwe, wygodne życie pozbawione niebezpieczeństw czyhających na wielkie wrony na Wyspie Sztormów.

Sprawie Traski bardzo pomógł wypadek dwóch wron, które były na tyle gapowate, by się dać ustrzelić z dwururki. Ów incydent

przekonał większość ptaków do planu sroki i Traska w duchu dziękował bezimiennemu farmerowi, który - choć nieświadomie - tak mu się przysłużył.

Zaczęły się więc przygotowania do podróży. Donal postanowił, że w pierwszym rzucie z Traską ruszy oddział dwudziestu ptaków, reszta zaś nadal pozostanie w obecnej kryjówce. Sam Donal na razie nie wyemigruje, wyśle natomiast swojego adiutanta, Finbara, w roli dowódcy wron. Jeżeli, po kilku miesiącach, okaże się, że Birddom jest rzeczywiście tak cudowną krainą, jak opowiadał Traska, trzy ptaki przylecą zawiadomić o tym Donala i wówczas on poprowadzi swoich poddanych ku nowej ziemi obiecanej.

Trasce bardzo odpowiadało takie rozwiązanie. Nie miał wątpliwości, że bez trudu uda mu się posiać ziarno zdrady w sercu Finbara. Nawet ten przygłupi adiutant zrozumie - przy wydatnej pomocy podstępnej Traski - korzyści płynące z bycia przywódcą tej niewielkiej bandy. A dzięki temu, że Traska walnie się przyczyni do ofiarowania Finbarowi żalosnej namiastki władzy, zaskarbi sobie lojalność tego tępaka. Dwadzieścia okrutnych, niezwykle silnych ptaków, którymi jednocześnie tak łatwo manipulować, powinno wystarczyć Trasce do realizacji jego celów. Nie zamierzał on bowiem wypowiadać otwartej wojny Birddom. Nie tym razem. Są przecież inne sposoby, by pokonać znienawidzonego wroga. A Traska nienawidził starego puszczyka całym sercem i duszą.

Katya i jej syn siedzieli pogrążeni w rozmowie od wielu godzin. Słońce zdążyło już przejść po nieboskłonie, a oni wciąż dyskutowali o misji Vengi. Katya rozpoczęła temat od zapewnienia już w pełni dorosłego syna o swojej głębokiej miłości. A potem, po raz pierwszy w życiu, opowiedziała mu, jakim strasznym horrorem był dla niej atak Traski.

Opowiedziała o gwałcie ze wszystkimi szczegółami - opisała ból,

wstyd, okrutną obojętność triumfującego samca. Musiała wzmóc gniew syna, natchnąć go nienawiścią i pragnieniem zemsty. Straszne wspomnienia doprowadziły ją do płaczu i Venga długo otaczał ją skrzydłami, kiedy szlochała. Ale gdy już łyzy obeschły, zaczęła omawiać z synem, co powinien zrobić, by odnaleźć sprawcę matczynego nieszczęścia. Oboje zdawali sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa będą grozić młodemu ptakowi, gdy zacznie tropić Traskę - i to nie tylko ze strony podłego samca. Jak kraj długi i szeroki orły i inne drapieżniki polowały na wszystkie krukowate. Sroki, gawrony i kawki w popłochu opuszczały swoje domy i kryły się w desperackiej nadziei, że nie zostaną znalezione. Katya rozumiała tę potrzebę odwetu na srokach. Ostatecznie tylko żądza zemsty trzymała ją samą przy życiu. I teraz płonęła żywo w sercu jej syna. W każdym razie, Venga będzie musiał mieć się na baczności, gdy ruszy wystygłym już tropem za znenawidzoną sroką. Czekał go wielodniowy lot na południe, do miejsca Wielkiej Bitwy. Opowieści o starciu zjednoczonych sił orłów, sokołów, jastrzębi i mew z całą potęgą krukowatych niosła się po całym kraju w tempie błyskawicy. Owa potyczka urosła już do rozmiarów legendy i stawała się najbardziej znanym wydarzeniem w całej historii Birddom. Każdy znał jakieś szczegóły, wiele ptaków znacznie je ubarwiało, więc w końcu owa bitwa nabrała wymiarów apokaliptycznej walki. Katya była pewna, że Traska za nic nie zrezygnowałaby z udziału w podobnej masakrze.

Nie miała też wątpliwości, że ją przeżył. Nie dla niego bowiem heroiczna walka i chwała bitewnej śmierci. On jedynie napawał oczy okrucieństwem, karmił się energią gwałtu, ale z daleka. Oczyma duszy Katya ujrzała Traskę skradającego się po obrzeżach, odnoszącego małe, brudne zwycięstwa nad okaleczonymi lub rannymi przeciwnikami - torturującego umierających, pławiącego się we krwi poległych w walce. Venga właśnie tam będzie musiał rozpocząć

swoje poszukiwania. Czeką go ciężkie zadanie. Każda walka pozostawia po sobie chaos i zamieszanie. Katya nie lekceważyła niebezpieczeństw, jakie czekały jej syna.

Portia i jej dzieci właśnie budziły się ze snu, gdy nad gniazdem pojawił się roześmiany Mickey. Gil zaćwierkał na powitanie, po czym przysiadł na pobliskiej gałęzi. Portia uporządkowała pióra, by nabrać szacownego wyglądu, po czym do niego dołączyła.

- Witaj, Portio. Pięknie wyglądasz dzisiaj rana.

- Och, dziękuję - odparła zmieszana, ale zadowolona z komplementu.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, iż wpadłem o tak wczesnej porze, ale nie mogłem się już doczekać naszego spotkania. Jestem taki podniecony na myśl o czekającej nas przygodzie.

Portia spoważniała, po czym powiedziała przygaszonym tonem:

- Nie będzie to łatwa wyprawa, Mickey. Niewykluczone, że lećmy ku wielkim niebezpieczeństwom.

- Wiem, Tomar mi wszystko wyjaśnił. Ale przynajmniej będziemy razem. Co dwie głowy, to nie jedna, i tak dalej.

- Rzeczywiście, twoja obecność podnosi mnie na duchu. Dziękuję, że zechciałeś mi towarzyszyć. Nie jestem pewna, czy gdy przyjdzie czas odlotu, nie opuści mnie odwaga.

- Oczywiście, że nie opuści, Portio. Masz więcej odwagi w małym pazurku niż ja w całym ciele. Pamiętaj, że polegam na twojej dzielności. Gdziekolwiek się znajdziemy, będę tuż za twoimi plecami!

Portia wiedziała z doświadczenia, że Mickey w żadnym razie nie jest tchórzem, ale jego dowcip wywołał na jej twarzy uśmiech. Nie ulegało wątpliwości, że będzie doskonałym kompanem podróży.

- Kiedy wyruszamy? - zapytał niecierpliwie.
- Jutro o świcie. O ile się nie mylę, Tomar szykuje ceremonię pożegnalną. Mam nadzieję, że w przyszłości okażemy się godni pokładanego w nas zaufania.
- Jestem pewien, że ty nie zawiedziesz. Boję się tylko, czy ja zdam ten egzamin. Z pewnością nie będziesz miała ze mnie pociechy, gdy chodzi o języki obce. Rety, ledwo umiem porozumieć się z sowami, z pewnością więc nie dogadam się z nikim w obcej mowie.
- Nie tylko słowa służą porozumieniu, przyjacielu - odparła Portia. - Ja uważam, że zostałeś słusznie wybrany, jeżeli „wybrany” jest tutaj odpowiednim słowem. Twoje poczucie humoru i pogodna natura mogą się okazać najskuteczniejszym sposobem nawiązania kontaktu w Winglandzie.
- Wielkie dzięki. Obawiam się jednak, że przeceniasz moją wartość. Dobrze wiem, że jestem tylko towarzyszem emisariuszki. To ty jesteś najważniejsza, Portio. To ty zostałam wybrana. Ja tylko zabieram się z tobą w drogę. A jeżeli już o porozumieniu mowa, znam coś lepszego od humoru i pogody ducha.
- A mianowicie?
- Urodę - odparł gil i wybuchnął śmiechem, widząc, jak bardzo Portia się rumieni.

Tomar zwołał wszystkich członków Rady Sów, by byli obecni przy odlocie Portii i Mickeya, i teraz dwa małe ptaki stały w środku kręgu utworzonego przez osiem sów. Po chwili stary puszczyk odchrząknął, poprosił o ciszę i rozpoczął przemowę.

- Dzisiejszy dzień przejdzie do historii Birddom. Raz jeszcze oczekujemy, że ruzdzik dokona wielkich czynów dla dobra naszego królestwa. Twoja misja, Portio, ma pogodniejsze cele niż misja twojego ukochanego, dlatego i ja myślę o niej z większą nadzieją na powodzenie. W naszych oczach jesteś równie dzielna jak Kirrick. Także

podjęłaś się misji dobrowolnie, wyraziłaś zgodę na lot w nieznaną, nie bacząc na czyhające niebezpieczeństwa. Gdybyś nie podjęła tego wyzwania, nikt z nas nie miałby ci tego za złe. Weź więc ze sobą nasze podziękowania i podziw dla twojej odwagi i niezłomności. Gdy zaś chodzi o ciebie, panie Mickeyu, strzeż dobrze naszej Portii i chroń przed zagrożeniami. A przede wszystkim, sprowadź do nas z powrotem, razem z kilkoma innymi ptakami, jeśli zdołasz.

Rozległy się śmiechy, życzenia szczęśliwej drogi, i gdy wszystkie sowy żegnały serdecznie dzielną parę, atmosfera się rozluźniła. Portia uściskała dzieci, z trudem powstrzymując łzy. One natomiast promieniały dumą, że mają tak wspaniałą matkę. Jakże wielkie spotkanie je szczęście, że były dziećmi dwójki bohaterów. A potem nagle pożegnania się skończyły i nadszedł czas odlotu. Portia i Mickey spojrzeli sobie głęboko w oczy, po czym poderwali się w powietrze, okrążyli polanę i zniknęli za koronami drzew.

Odlotowi Traski z niewielką grupą wron nie towarzyszyły żadne pożegnalne ceremonie. Gdy już skrzydło całkiem się wygoiło i Traska odzyskał siły, udał się do Donala, żeby omówić plany podróży. Samiec sroki odniósł wrażenie, że Donal żałował swojej pierwotnej decyzji i dlatego próbował zbagatelizować wagę wyprawy. Natychmiast też postanowił, że nie ma co dłużej odkładać odlotu - oddział miał wyruszyć jeszcze tego wieczoru. Traska wolałby poczekać do rana. Wiedział, że wkrótce po wylocie będą zmuszeni szukać odpowiedniego miejsca na nocleg, co pociągnie za sobą dodatkowe zagrożenia. Donalowi jednak wyraźnie zależało, żeby Traska wyniósł się jak najszybciej. Złościło go, że samiec sroki stał się zbyt popularny wśród jego poddanych. A „popularny” znaczyło „wpływowy”. Traska był zbyt inteligentny, żeby spierać się z gospodarzem lub podjąć próbę obalenia Donala na jego własnym terytorium. Tak więc

po ledwie zdawkowych pożegnaniach nieliczne stado groźnych krukowatych wzbiło się w ciemniejące niebo i skierowało na wschód.

Traska frunął u boku Finbara i, wdając się z nim w pozornie zdawkową rozmowę, zaczął oczerniać Donalę, ganiąc za nieuprzejme zachowanie.

- Myślisz, że był o ciebie zazdrosny? - spytał przebiegły samiec.
- Odniosłem wrażenie, że bardzo mu się spieszyło, by się ciebie pozbyć. Chyba uznał, że stanowisz zagrożenie dla jego pozycji. Takiego potężnego, silnego ptaka jak ty z pewnością można się obawiać.

Pochlebstwo działało cuda i Traska nie miał już żadnej wątpliwości, że z łatwością nagnie tego durnia do swojej woli. A kiedy mrok zgęstniał na tyle, że trudno było cokolwiek dojrzeć, Traska spytał Finbara, gdzie - według niego - najlepiej byłoby spędzić noc. Już wcześniej dojrzał doskonale do tego miejsce i teraz subtelnie kierował tam wrony. Chciał jednak, by Finbar był przekonany, że sam podjął odpowiednią decyzję.

Finbar w ogóle się nad tym nie zastanawiał - bo też myślenie nie było jego mocną stroną - gdy więc ujrzał tuż pod sobą idealne miejsce na nocleg, natychmiast zdecydował się na lądowanie i w ten sposób cały oddział obsiadł wysokie drzewo, by tam doczekać rana. Gdy ptaki już się usadowiły, Traska odezwał się do Finbara donośnym głosem, tak by wszyscy mogli go usłyszeć:

- Bardzo mądry wybór, jeśli wolno mi zauważyć. Nabieram wiary w pomyślny przebieg podróży. Tak długo, jak ty jesteś naszym przewodnikiem, z pewnością nie zboczymy z drogi.

Finbar wypiął pierś z dumy, reszta ptaków zaś ochoczo podchwyciła słowa Traski.

- Tak, tak. Porządny chłop z tego Finbara. Przy nim nie wpadniemy w żadne tarapaty. No i Traska, jak widać, ma o nim jak najlepsze zdanie. A ten samiec sroki jest nie w ciemię bity.

Kiedy Venga w końcu pożegnał się z Katyą i ruszył na południe, by rozpocząć poszukiwania Traski, ogarnęło go wiele dziwnych emocji. Nigdy nie znał żadnego innego ptaka poza matką, więc mimo że był tak duży i silny, przede wszystkim odczuwał strach. To uczucie jednak szybko zostało wyparte przez ekscytację. A więc w końcu ruszył w drogę, zaczął wypełniać swoje przeznaczenie. Czekała go wielka przygoda. Miał zobaczyć mnóstwo różnych miejsc, poznać nowe krajobrazy, stawić czoło niebezpieczeństwom, które do tej pory widywał jedynie w snach. Im dłużej o tym myślał, tym większe narastało w nim podniecenie, tak że wkrótce miał ochotę krzyczeć z radości. Ledwo jednak otworzył dziób, a ze zdumieniem sobie uświadomił, że najsilniejszym z uczuć, jakie w tej chwili odczuwa, jest wielka ulga.

Do tej pory nie doświadczył niczego poza zaborczą miłością matki i obsesyjnie kipiącym w niej gniewem. A teraz wreszcie poczuł się wolny. Och, oczywiście, musiał wypełnić zobowiązanie, nie wolno mu porzucić misji. Ale wyzwolił się od fizycznej obecności Katyi. Zaskrzeczał z radości - oznajmiał swoje szczęście chmurom i słońcu, wzgórzom i dolinom. Frunął lekki i swobodny. Beztroski. Rozpierała go energia, krew krążyła żwawo, niestrudzenie bił więc skrzydłami powietrze.

Pierwszego dnia Venga pokonał wiele kilometrów. Miał wrażenie, że mógłby tak lecieć do końca świata, ale w końcu zrobiło się zbyt ciemno, by kontynuować podróż. Musiał się więc rozejrzeć za odpowiednim miejscem na nocleg. Do tej pory nie zwracał większej uwagi na rozciągającą się w dole okolicę - interesowała go tylko pozycja słońca, teraz już chyłącego się ku horyzontowi. Ale powoli zapadała szarówka i trzeba było natychmiast szukać bezpiecznego schronienia na noc.

Samica jastrzębia zaatakowała niespodziewanie. Spadła z nieba z

wielką prędkością i wbiła szpony głęboko w ciało Vengi. Venga wrzasnął rozdzierająco z bólu i zaczął desperacko wrywać się ze szponów drapieżnika. Furia i determinacja młodej sroki zahamowała impet lotu napastnika. Venga był ciężki i silny, i stopniowo uchwyt jastrzębicy się rozluźniał, chociaż jej szpony poważnie poraniły srokę. Żeby utrzymać ofiarę, drapieżnik przesunął nogę, chcąc głębiej wbić się w jej ciało, a wówczas Venga znowu szarpnął się rozpaczliwie, zdołał uwolnić skrzydła i nagle oba ptaki zaczęły spiralnie opadać w dół.

Samica jastrzębia miała już dosyć tej zabawy. Postanowiła, że gdzie indziej poszuka łatwiejszego łupu. Ale zanim odleciała, przekrzywiła głowę i zadała jeszcze jeden, straszliwy cios. Jej dziób trafił w lewe oko sroki i wyrwał je z oczodołu. Nieprawdopodobny ból i wcześniej zadane rany sprawiły, że Venga stracił przytomność.

Gdyby stało się to moment wcześniej, drapieżnik wyczułby zwiotczenie ciała i nie wypuścił zdobyczy ze szponów. Jastrzębica już jednak porzuciła swoją ofiarę. Venga jak kamień runął w dół, ale - zemdlony - nie poczuł uderzenia o ziemię, ledwie zamortyzowanego rzadką roślinnością. Niczym nieosłonięty i całkowicie znieruchomiał, Venga leżał na zboczu wzgórza, czekając aż dopełni się jego tragiczny los. Śmierć mogła nadejść z każdej strony i w każdej postaci. W tej sprawie jednak młody samiec sroki nie miał już żadnego wyboru.

4.

Wieczorem, po odlocie Portii i Mickeya, młode rudziki były bardzo przygaszone. Gdy tylko ich matka wraz z gilem zniknęła za linią drzew, Tomar przedstawił Meriona i Olivie pozostałym członkom Rady. Każda z sów miała coś wspaniałego do powiedzenia o ich matce i ojcu, więc dwa małe ptaszki były zbyt zachwycone i oniesmielone zarazem, aby myśleć o nieobecności Portii. Wkrótce potem zakończono zebranie Rady, chociaż wiele sów chciało podyskutować o różnych pilnych sprawach. Tomar jednak uznał, że teraz powinien poświęcić uwagę swoim małym podopiecznym.

Wraz z młodymi rudzikami pierwszy wyruszył w drogę, żeby uniknąć pożegnań, które mogłyby przypomnieć Merionowi i Olivii o odlocie matki. Frunął wolno, bez pośpiechu machając wielkimi skrzydłami, żeby dostosować tempo do możliwości rudzików. A podczas lotu cały czas snuł opowieści. Dzieci Portii dowiedziały się między innymi o początkach Birddom i pierwszej Radzie Sów. Czas mijał im szybko, a młode rudziki były zbyt zaciekawione historiami puszczyka, żeby odczuwać zmęczenie. Co rusz zasypywały Tomara pytaniami, a robiłyby to nawet częściej, gdyby od czasu do czasu nie traciły oddechu z powodu długiej podróży i tak nieustannego miele-
nia językami!

Zatrzymali się tylko raz, by coś zjeść i ugasić pragnienie. Ale nawet z pełnymi dziobami Merion i Olivia nie przestawali szczebiotać, wypytywać o herosów z przeszłości, o tamto i owamto, wciąż złaknione wiedzy. Tomar był wykończony. Ich ciekawość i ochota do rozrywki wyczerpywały jego siły. Ból w starych kościach wywołany długim lotem był niczym w porównaniu z psychicznym zmęczeniem. Jakże trudno nadażyć za dwoma młodymi umysłami, domagającymi się coraz to nowych informacji!

Kiedy w końcu przybyli do Tanglewood - który Kirrickowi wydawał się tak przygnębiający przy pierwszym spotkaniu - młode rudziki gwałtownie zamilkły. Być może długi lot zmęczył je bardziej, niż się wydawało - w każdym razie ani Merion, ani Olivia nie wykazywali najmniejszej ochoty, żeby poznać nowe otoczenie. Podziękowali Tomarowi, gdy przyniósł im coś do przekąszenia - nie zapomnieli bowiem o dobrych manierach - ale nie jedli z apetytem. A potem wtulili się w siebie i siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Wyglądali na strasznie zgnębionych.

Tomar w czasie podróży celowo zaniechał opowieści o Portii czy Kirricku, nie chciał bowiem przypominać młodym rudzikom, że zostały same, bez obojga rodziców. Ale teraz, gdy widział, jak bardzo dzieci tęsknią do matki, postanowił opowiedzieć coś o ich ojcu. Zapytał, czy Portia kiedykolwiek im opowiadała, jak Kirrick przechrzył Traskę, wymykając się na grzbiecie łabędzicy z zastawionej na niego pułapki. Dowiedziawszy się, że Merion i Olivia wielokrotnie słyszeli o tej przygodzie, zapytał, czy znają historię o Darrealu i myszy. I raz jeszcze młode rudziki potwierdziły z entuzjazmem.

Tomar, oczywiście, był dość mądry, by wiedzieć, że Portia od dzieciństwa karmiła dzieci relacjami o bohaterskich wyczynach ojca, ale tymi pytaniami umiejętnie wyrwał je z apatii i przygnębienia.

Zrozumiał też, że będzie musiał im opowiedzieć jakąś historyjkę, której jeszcze nie słyszały, żeby zająć ich myśli. Postanowił więc podkoloryzować pewną przygodę, o której usłyszał od Kirricka tuż po Wielkiej Bitwie, kiedy wraz z Cerivalem i Isidrisem, Strone'em, Darrealem i Krakenem opowiadali o swoich przeżyciach i wydarzeniach, które w efekcie doprowadziły do triumfalnego zwycięstwa.

Tak naprawdę Kirrick wówczas ledwo napomknął o incydencie, ponieważ w obliczu tak heroiczej walki nie wydawał mu się on szczególnie wart odnotowania. Rudzik opowiadał o swej przygodzie z dużą skromnością, jedynie by zilustrować, jak wielką rolę w jego peregrynacjach odegrał szczęśliwy traf. Wszystkie wielkie ptaki zdały sobie jednak w tym momencie sprawę z ogromu niebezpieczeństw, które na każdym kroku czyhały na Kirricka i nie potraktowały tej opowieści równie lekko. A tym, co przydarzyło się rudzikowi, było bliskie spotkanie z lisem. Naturalnie, lisy zazwyczaj nie stanowiły poważnego zagrożenia dla dzikich ptaków. Owszem, podkładały jaja z gniazd budowanych na ziemi i porywały pisklęta. Należały do wyjątkowo utalentowanych łowców, więc niekiedy udawało im się upolować nieostrożnego dorosłego osobnika. Tomar jednak już we wczesnej młodości nauczył się, że lisy przede wszystkim gustowały w dobrze wypasionym, domowym ptactwie, które na dodatek trzymane w jednym miejscu, było o wiele łatwiej dopaść.

Doświadczenia Kirricka ograniczyły się do jednego spotkania z tym dużym drapieżnikiem - po tym jak niefortunnie wybrał miejsce na nocleg w czasie wyczerpującego lotu na północ. Był odrętwiały ze zmęczenia, bo dopiero co wykaraskał się z ciężkiej choroby, i kiedy zaczęło zmierzchać, sfrunął na nisko rosnącą płaczącą wierzbę. Zbyt wyczerpany, żeby sprawdzić, czy znajduje się w bezpiecznej okolicy, ledwo przysiadł na gałęzi, a od razu zapadł w sen. Tymczasem owa

wierzba stała w pobliżu dużego ziemnego nasypu. Uważna lustracja terenu natychmiast ujawniłaby, że w nasypie znajduje się lisia jama. Gdyby choć wiatr zawiął z innego kierunku, zapach wydobywający się z nory uświadomiłby Kirrickowi zagrożenie.

Rudzik powiedział Tomarowi, że następnego ranka zbudził go odgłos węszenia. Kiedy otworzył oczy, ujrzał puszystą, rudą kitę, zaledwie kilka centymetrów od swojego dzioba. Lis właśnie wracał do swojej kryjówki z pulchnym kurczakiem w pysku. Ujrzał Kirricka siedzącego na niskiej gałęzi i natychmiast się zatrzymał. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie odłożyć na moment kurczaka, i nie pokusić się o szybką przekąskę z rudzika, ale szczęśliwie dla Kirricka, lis najadł się porządnie w czasie swojej nocnej wyprawy, a tymczasem w norze czekały wygłodniałe młode. Kirrick wykorzystał moment wahania drapieżnika i natychmiast wzbił się w powietrze, unosząc się na bezpieczną wysokość.

Tomar spojrział uważnie na dzieci czekające z niecierpliwością na jakąś historyjkę, po czym zapytał:

- A czy mama opowiadała wam kiedykolwiek o Kirricku i lisie?
- Nie, nigdy - odpowiedziały chórem rudziki, zachwycone, że za chwilę usłyszą nową opowieść o ojcu.
- W takim razie posłuchajcie. Pewnego dnia Kirricka coś gwałtownie wyrwało z głębokiego snu. Był to dziwny, obcy dźwięk, dochodzący z bliskiej odległości. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał, gdy otworzył oczy, był wielki czarny nos o drgających nozdrzach. Kirrick zerknął w dół i zobaczył różowy jęzor wychylający się z lisiego pyska. Natychmiast zrozumiał, że jeszcze chwila, a ten pysk się rozewrze, pochwyti jego drobne ciało i zmiażdży zębami. Dziobnął więc mocno w czarny nos, a wówczas lis zapiszczał z bólu i odskoczył do tyłu z bardzo zdziwioną miną.

- Jak śmiesz mnie budzić? Przerwałeś mi bardzo piękny sen.
- Ty się mnie nie boisz? - jeszcze bardziej zdumiał się lis.
- A czemu miałbym się ciebie bać? Jesteś przecież tylko najzwyczajszym lisem.

- Ale jestem też od ciebie dużo większy. Mógłbym cię bez trudu połknąć w całości i nawet bym tego nie zauważył! - warknął lis, zdumiony zuchwałością rudzika.

Kirrick zdawał sobie sprawę, że prowadzi bardzo niebezpieczną grę, ale postanowił ciągnąć ją dalej.

- Tylko tak ci się zdaje. Najwyraźniej nie pojmujesz, z kim masz do czynienia.

Tym razem lis lekko się stropił, a Kirrick - widząc to - znacząco zawiesił głos.

- Czy sądzisz, że byłbym tak głupi, by nocować niemal u wejścia do twojej nory, gdybym był zwyczajnym rudzikiem, którego mógłbyś schrupać jak herbatnik?

Kirrick dumnie nastroszył pióra na piersi i przybrał bardzo ważną minę.

- Kim w takim razie jesteś? - spytał lis z nutą szacunku w głosie.
- Wszystko w swoim czasie. Najpierw podaj mi swoje imię.
- Nazywają mnie Reykard.
- Cóż, panie Reykardzie. Mnie natomiast nazywają Kirrickiem Mędrce, jestem bowiem wielkim czarodziejem i magiem. Dysponuję potężną mocą i jednym spojrzeniem mogę cię zamienić w ropuchę, więc przypadkiem nie zapominaj o dobrych manierach. Przybrałem tę postać, bym mógł szybko podróżować, a jednocześnie nie wprawiać w przerażenie biednych, tępych istot - takich jak ty.

Kirricka przemawiał wyjątkowo władczym tonem i lis przeląkł się nie na żarty. Był jednak wciąż bardzo blisko rudzika i, gdyby zechciał, z łatwością pochwyciłby ptaszka w zęby. Po przebudzeniu

Kirrick nie miał czasu na uporządkowanie piór i rozprostowanie skrzydeł, nie zdołałby więc błyskawicznie wzbić się w powietrze. Wciąż mógł łatwo paść ofiarą lisa, dlatego - żeby zachować życie - musiał polegać na własnej przemyślności.

- Przyszło mi jednak do głowy, młodziku, że mógłbyś wyświadczyć mi pewną przysługę.

Lis był dorosłym, wyrosniętym osobnikiem, więc potraktowanie go w tak protekcyjny sposób, jak zwykle lisie szczenię, jeszcze bardziej podkopało jego pewność siebie i zbiło go z pantałyku.

- A cóż ja mógłbym zrobić dla tak potężnego czarodzieja? - spytał zaciekawiony.

- Szukam dzikiego czosnku. Jak wiadomo, ma on leczniczą, a także magiczną moc. Wykorzystuję go w wielu swoich miksturach. Wiesz, gdzie można go znaleźć?

- Moje terytorium łowieckie jest rozległe i rzeczywiście, gdy je obchodziłem, natknąłem się na dziki czosnek. Było to jednak daleko stąd, na północy.

- Ale czy aby na pewno było go tam w bród? Nie chciałbym marnować czasu dla kilku nędznych listków. Do moich czarów potrzebuję go bardzo dużo.

- O, tak. Rośnie gęsto w tamtych okolicach - odpowiedział entuzjastycznie lis, któremu bardzo zależało, by zaskarbić sobie przychylność czarodzieja.

- W porządku - rzucił od niechcienia rudzik. - Przez ciebie jednak jestem nadal zmęczony i niewyspany. Ponieważ tak arogancko przerwałeś mi drzemkę, poniesiesz mnie tam na swoim grzbiecie. Chyba że wolisz spędzić resztę życia jako dżdżownica? To życie nie potrwałoby długo, zapewniam!

- Poniosę cię, gdzie zechcesz, o wielki czarodzieju. Wskakuj na mój grzbiet. Potrafię bardzo szybko biegać, więc za godzinkę, najdalej za dwie znajdziemy się na miejscu.

- W takim razie przestań gadać i ruszaj. Nie ma czasu do stracenia. Może jak wtulę się w twoje futro, zdołam się trochę przespać.

I z tymi słowami Kirrick zeskoczył z niskiej gałęzi na miękki grzbiet i wbił się pazurkami w gęste futerko, a lis pocwałował przed siebie.

Kirrickowi od pędu kręciło się w głowie; był też poobijany, bo rzucało nim na wszystkie strony, gdy lis przeskakiwał przez przeszkody lub przedzierał się przez chaszczce. Reykard co rusz oglądał się i spoglądał na rudzika, jakby w obawie, że potężny czarodziej zdenerwuje się brakiem komfortu i rzuci na niego jakiś straszny urok.

- Czy wszystko w porządku? - dopytywał się troskliwie. - Przebyliśmy prawie połowę drogi.

- Cóż, zdarzało mi się już podróżować w wygodniejszy sposób, chociaż przyznaję, że przemierzamy się żwawo. Nie ustawaj więc, młodziku. Jakoś przeżyję te kilka siniaków. O ile jesteś pewien, że wyprawa okaże się warta zachodu.

Lis pokłusował dalej, a Kirrick bardzo się cieszył, że zmierza ku miejscu przeznaczenia bez żadnego wysiłku. W końcu dotarli do wilgotnego zagajnika, gdzie ostry zapach czosnku przyprawił Kirricka o mdłości.

- Jesteśmy na miejscu - warknął lis. - Mam nadzieję, że jesteś ze mnie zadowolony.

- Hm, jakoś ujdzie - mruknął Kirrick.

- Jak jednak zabierzesz ze sobą tyle roślin, ile potrzebujesz? - spytał lis.

- Czy myślisz, że na darmo jestem wielkim czarodziejem? - odrzekł rudzik. - Jednym prostym zaklęciem wyczaruję dość duży koszyk, by zapakować do niego całe pole czosnku. A wówczas może zamienię cię w konia, żebyś zaniósł mnie do domu wraz z moim zbiorem.

Lis przeląkł się nie na żarty i miał ochotę czmychnąć. Bał się jednak, że zanim zdoła umknąć, czarodziej zdąży wcielić w życie jedną ze swoich przerażających gróźb. Poza tym Reykard był ciekawy, jak w swojej prawdziwej postaci wygląda ten potężny mag, no i bardzo też chciał na własne oczy ujrzeć jedną z jego sztuczek.

- To jednak byłoby niesprawiedliwe - uznał wspaniałomyślnie Kirrick. - Ostatecznie okazałeś mi szacunek i życzliwość, przynosząc aż tutaj na własnym grzbiecie. Dlatego nie będę cię już prosił o żadne przysługi. Co więcej, wynagrodzę ci trudy. Jestem zbyt zmęczony, by w tej chwili zabrać się do pracy. Nie wyspałem się dzisiaj, sam rozumiesz. Ale myślę, że zanim udam się na spoczynek, zdołam trochę poczarować w podzięce za twoją pomoc. Czy chciałbyś po powrocie zastać swoją norę pełną młodych, soczystych kaczek, już oskubanych - byś nie musiał zapychać sobie pyska pierzem? Myślę, że mógłbym ci dać ich tyle, by starczyło na miesiąc dla całej twojej rodziny.

W oczach lisa pojawił się pożądlivy błysk na myśl o gotowym posiłku. Przydałoby mu się parę tygodni wytchnienia od polowań.

- Bardzo bym tego chciał. O dzięki ci, wielki czarodzieju.

Kirrick zacisnął powieki i udawał, że się niezwykle koncentruje. Lekko kiwając się na gałęzi, rozpostarł skrzydła i zaczął śpiewać w nieznannej, dziwnie brzmiącej mowie, jakby odprawiał czary. Tak naprawdę było to kilka słów w starodawnym języku sów, których Kirrick nauczył się od Tomara, zanim wyruszył w podróż. Po kilku chwilach ponownie otworzył oczy i spojrzał bystro na lisa.

- A więc zrobione, młodziku. Dla czarodzieja to prosta sprawa. Biegnij teraz do swojej nory i daj mi się wreszcie wyspać.

- Ile dokładnie znajdę tam kaczek?

- Tyle, że aż się zdziwisz, mój Reykardzie - odparł Kirrick. - Zapewniam, że nie zdołasz ich zliczyć!

Reykardowi aż ślinka pociekła z pyska, gdy usłyszał te słowa. Szybko podziękował raz jeszcze i popędził w stronę domu. Kirrick natomiast wskoczył na wyższą gałąź i zaczął przyglądać pióra, szykując się do dalszej drogi.

Tomar był bardzo zadowolony z siebie. Jego historyjka, chociaż mocno ubarwiona, odpowiadała klimatem opowieściom o wyczynach Kirricka. Spełniła również swój cel. Merion i Olivia tak się zaśluchali, że całkiem zapomnieli o smutku. Tomar życzył im więc dobrej nocy, obiecując - na ich usilne prośby - że jutro opowie im jeszcze więcej o przygodach ojca.

Kiedy dzieci wreszcie zasnęły, Tomar rozwinął wielkie skrzydła, by oblecieć wokół swoje terytorium. Ogromnymi, nieruchomymi oczami wypatrywał zdobyczy, a także wszelkich śladów obcej aktywności. Chociaż Tomar sam się podjął opieki nad Merionem i Olivia, był to dla niego duży ciężar. Portia z pełną ufnością powierzyła mu dzieci. Wyruszyła dobrowolnie w daleką podróż, zapewne najeżoną wieloma niebezpieczeństwami z przekonaniem, że stary puszczyk będzie chronił jej dzieci. To olbrzymia odpowiedzialność - nie mniejsza niż przewodnictwo w Radzie i dbałość o dobro Birdom. Ale też Merion i Olivia byli wyjątkowymi ptakami. Ich ojciec to wielki bohater - najwspanialszy ze wszystkich rudzików. A jeszcze nie wiadomo, czy ich matka, Portia, także nie dokona heroiczných czynów, może nawet ważniejszych, niż jej ukochany?

W oczach Tomara te młode rudziki stanowiły przede wszystkim żywy symbol odrodzenia Birdom. Były pierwszymi piskletami od długiego czasu wyklutymi w świecie pokoju i nowych nadziei. Pierwszymi, które nie zaznały strachu i tyranii. One miały przejąć w posiadanie ten lepszy świat. Tomar- u schyłku swojego życia - tylko

czasowo sprawował nad nimi opiekę. Jednak tej nocy poprzysiągł sobie i dwóm śpiącym ptaszkom, że przekaże im kraj przyjazny dla ich pokolenia. Birddom urośnie w siłę, stanie się bezpieczne i zapewni wszystkim ptakom świetlaną przyszłość.

5.

Pożegnawszy się z Radą oraz dziećmi, Portia i Mickey skierowali się na wschód. Samiczka czuła w sercu głęboki smutek, więc przez dłuższy czas lecieli w milczeniu. Zmierzali ku rodzinnym stronom Mickeya, gdzie Portia i Kirrick po raz pierwszy spotkali energicznego gila i skąd - już w trójkę - udali się do władcy mew, na wysokie klify. Teraz postanowili zatrzymać się tam na krótki odpoczynek przed ciężką przeprawą morską do Winglandu. Mieli nadzieję, że Kraken udzieli im najnowszych informacji o warunkach pogodowych i stałych wiatrach, bo też niewiele stworzeń znało się na morskim klimacie równie dobrze jak wielki samiec mewy.

Portia chciała wierzyć, że tym razem spotka ich cieplejsze powitanie, niż poprzednio, gdy Kraken dosłownie odwrócił się plecami do rudzików tak bardzo potrzebujących jego pomocy. Oczywiście, w ostatecznym rozrachunku wszystko potoczyło się jak najlepiej - mewy zjawiły się na czas i znacznie przyczyniły do walnego zwycięstwa nad krukowatymi. Mimo to Portia czuła się nieswojo na myśl, że znowu będzie zawracać głowę Krakenowi. W końcu więc przerwała milczenie i wyjawiała, co ją trapi.

- Czy wierzysz, że Kraken nam pomoże? To taka niebezpieczna wyprawa, a żadne z nas nie ma doświadczenia w przelotach nad morzem.

- Nie doceniasz swoich możliwości, Portio. Przecież całkiem niedawno przemierzyłaś ponad połowę kraju. Gdy zaś chodzi o Krakena - cóż, to porywczy kawał drania, nie ma dwóch zdań. Ale teraz jest naszym przyjacielem. Poza tym nie zapominaj, że on uczestniczył w obradach Rady, gdy postanowiono wysłać cię w tę misję. Ma więc obowiązek pomóc nam ze wszystkich sił. A jeżeli odmówi, to bez wahania wydziobię mu drugie oko!

Portia zaniósła się śmiechem, Mickey zaś starał się utrzymać pogodny nastrój komicznie parodiując wielkiego, czarnoskrzydłego samca mewy. Każdy, kto usłyszałby chropowaty skrzek wydobywający się z gardła tak zazwyczaj melodyjnie rozćwierkanego gila, nie posiadałby się ze zdumienia. Portia wciąż nie mogła się powstrzymać od śmiechu i z trudem utrzymywała kurs lotu. W końcu Mickey zaprzestał zabawy.

- Uff - sapnął. - Ależ drapie mnie w gardle. Jeżeli gadanie w mewim języku doprowadza każdego porządnego ptaka do podobnego stanu, nic dziwnego, że Kraken jest takim okropnym zrzędą! Muszę się napić.

Szybując, wypatrywali teraz miejsca odpowiedniego na krótki odpoczynek. Wkrótce dostrzegli niewielki staw leżący na uboczu i - sprawdzivszy, że nie grozi im niebezpieczeństwo - wylądowali na jego brzegu, by zaspokoić pragnienie.

W tym samym momencie oboje uderzyła pewna myśl, ale to Mickey pierwszy wypowiedział ją głośno.

- Rety. Właśnie coś przyszło mi do głowy. Jak będziemy lecieć ponad morzem, nieraz dopadnie nas pragnienie. Tyle cholernej wody i ani kropli zdatnej do picia!

Kiedy zbliżali się do wybrzeża, zdawało się, że los się sprzysiągł przeciwko nim. Zaczął wiać lodowaty, porywisty wiatr, a ciężkie chmury groziły deszczem. Pogoda pogarszała się z minuty na minutę i choć był sam środek dnia, Portia z ledwością widziała własny dziób.

Lada chwila mogło tak lunąć, że nie byłiby w stanie dalej lecieć. Szczęśliwie jednak nawałnica rozpięta się dopiero wtedy, gdy wylądowali na półce skalnej będącej siedzibą Krakena. Wódz mew miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby ulokować się pod nawisem skalnym. Portia wychyliła się ku szaremu niebu i żartobliwie dźgnęła skrzydłem Mickeya.

- Mówiłeś coś o braku wody do picia?

Kraken jednak potwierdził obawy gila, kiedy w trójkę zaczęli omawiać sytuację.

- Nam nie szkodzi słona woda. Większość naszego pożywienia pochodzi z morza, więc mamy organizmy przystosowane do dużych ilości soli. Ale nawet my potrzebujemy słodkiej wody do picia. Dlatego zazwyczaj ograniczamy obszar łowów do wód przybrzeżnych. Żeby przeżyć, potrzebujemy bazy na lądzie. Natomiast takie małe ptaki jak wy mają jeszcze inne problemy - nawet gdy pogoda nie jest tak paskudna jak teraz. Prowadzicie osiadły tryb życia, nie pokonujecie wielkich przestrzeni, a Wingland leży bardzo daleko stąd. Wasze rozmiary, a ściślej rozpiętość skrzydeł oznacza, że dystans, który macie pokonać, będzie dla was niezmierny - inaczej niż w wypadku nas, mew. Poza tym ptaki lecące stadem korzystają z tego, co nazywamy zbiorową energią - wspomagają siebie nawzajem. Was jest tylko dwoje - to zbyt małe wsparcie. Na dodatek, ponieważ macie tak niewielką masę, musicie zabrać dużo słodkiej wody, w innym wypadku odwodnicie się i umrzecie. Wiem, że kiedy leje jak w tej chwili, moje słowa mogą się wam wydawać absurdalne, ale tak właśnie przedstawia się sprawa, przyjaciele.

Kraken patrzył na nich poważnie swoim jedynym okiem, jakby oceniał ich wartość, po czym podjął temat.

- Między nami a wami jest jeszcze jedna niezwykle istotna różnica. Kiedy ptak morski jest zmęczony, może po prostu osiąść na

wodzie i dać się unosić falom. Nasze pióra nie chłoną wody i równie dobrze się czujemy na morzu, jak i na lądzie. Wy nie cieszyście się podobnym przywilejem. Żeby odpocząć, będziecie musieli szukać jakiejś konstrukcji zbudowanej przez Człowieka. To byłby niebywały łut szczęścia, gdyby udało wam się coś takiego odnaleźć w bezkresie morza. Ale nawet i to na niewiele by wam się zdało przy niesprzyjającej pogodzie. Po prostu fale zmyłyby was do morza i byście się potopili. Przy obecnej pogodzie nie macie żadnych szans. Niestety, ta aura utrzyma się przez dłuższy czas. To nie jest przelotna mżawka. A na pełnym morzu żywioły będą dużo gorsze. Nie ma mowy, byście samodzielnie przeżyli pas morza dzielący nas od Wnglandu. Gdybyście tylko nie byli takimi małymi ptaszynami!

Ledwo wypowiedział te słowa, a mewy zaludniające klif podniosły wielki krzyk, bo usłyszały odgłos powracających do portu kutrów. Chwilę później z otwartego morza dobiegł też niski, posępny głos syreny - to prom kursujący po kanale odpływał ku kontynentowi.

Kraken niemal wybuchnął śmiechem.

- Ha! A jednak się myliłem. Co za szczęście, że jesteście tacy mali! - wykrzyknął tajemniczo.

Oba ptaki spojrzały na niego zdziwione. W szczególności Portia nie posiadała się ze zdumienia. Była przekonana, że zbliżająca się perspektywa łatwego posiłku całkowicie pochłonie Krakena. To właśnie w takiej chwili zignorował całkowicie ją i Kirricka, po czym poprowadził całą kolonię ku kutrom.

Wielki samiec mewy jakby czytał w jej myślach.

- Och, ta wygłodniała banda może poczekać kilka minut. Zdaje mi się, że rozwiązałem wasz problem.

Kraken pokrótce przedstawił swój plan i ucieszył się, widząc, że jego słowa przyniosły wyraźną ulgę Portii i Mickeyowi.

- No dobrze, jestem przemoczony i głodny. Jeżeli więc pozwolicie, oddałę się na jakiś czas. Kiedy się już posilę, omówimy szczegóły. W każdym razie będziecie mieli o czym rozmyślać podczas mojej nieobecności.

Kraken poderwał się w górę, a wówczas setki ptaków zaczęły bić mokrymi skrzydłami powietrze i - krzyżąc na całe gardło - ochoczo ruszyły za wodzem.

Ciężko uciec od przeznaczenia, nawet jeżeli różne, niespodziewane wydarzenia zdają się stawać mu na przeszkodzie. Tak właśnie rzecz się miała z Venga. Pierwszym doznaniem, jakie dotarło do niego, gdy odzyskał świadomość, był niewyobrażalny ból. Stracił bardzo dużo krwi, a liczne rany wywoływały straszne cierpienia przy choćby najlżejszym ruchu. Ranny ptak zaczął poruszać się instynktownie, w odruchu paniki, gdy zdał sobie sprawę, że nic nie widzi. Pamiętał ten przerażający moment, kiedy to jastrzębica wydziobała mu lewe oko - w chwilę zanim runął na ziemię. Nie przypominał sobie jednak utraty i prawego oka. Czyżby doznał dodatkowych obrażeń, kiedy leżał nieprzytomny i zwiotczały na twardej ziemi?

Bez oczu był wart tyle samo, co martwy. Przeraziła go myśl, że w każdej chwili może go pochwycić jakiś niewidzialny dla niego drapieżnik. Gwałtownie i bez ostrzeżenia. Nie dając mu szans na ucieczkę czy choćby próbę obrony. Venga przywarł z całych sił do ziemi, jakby w ten sposób mógł się wtopić w krajobraz, skryć się, uciec od nieuniknionego. Prawdę powiedziawszy, w duchu się dziwił, że do tej pory jeszcze nie zginął. W pobliżu musiało grasować mnóstwo żarłocznych drapieżców, a on był przecież tak łatwym łupem.

Venga nie wiedział jednak, że w okolicy kręcili się ludzie. I chociaż kilka dużych, mięsożernych zwierząt wyczuło jego krew i dostrzegło jego poranione ciało, żadne nie miało dość odwagi, by

pokazać się na nieosłoniętym zboczu. Ludzie mieli bowiem ze sobą strzelby, a każde zwierzę doskonale wiedziało, że broń palna oznacza śmierć. Tak więc ci, którzy chętnie pożywiliby się mięsem sroki, musieli obejść się smakiem - wygłodniałymi oczami, z pustymi brzuchami mogli tylko się przyglądać rannemu ptakowi.

Mężczyzna maszerował ramię w ramię z synem stanowiącym miniaturową kopię ojca. Obaj byli identycznie ubrani i poruszali się w taki sam sposób. Każdy trzymał strzelbę w zagięciu łokcia prawej ręki, chłopiec zaś dodatkowo niósł kilka bażantów - dzierżył je za nogi, a ich sflaczałe ciała obijały się ciężko o jego kolana. Dziecko jednak dzielnie dźwigało ciężar, i starało się stawiać równie duże kroki jak ojciec. W pewnym momencie obaj przystanęli, nie wiedząc, co majączy przed nimi w mroku. Oświetlili drogę latarką. W wiązce światła ujrzeni śnieżnobiałe pióra Vengi oraz ciemną posokę pokrywającą jego głowę i większą część tułowia.

- Rany! Ale widok! - wykrzyknął chłopiec w podnieceniu. - Tylko popatrz ile krwi, tato. Czy ten ptak jest martwy?

- Nie wiem, synu. Idź i sprawdź.

Chłopiec nie potrzebował dodatkowych słów zachęty. Wędrował za wiązką światła i zatrzymał się na kilka kroków przed poranionym Venga.

- Niesamowite! - mruknął.

Dźwięk ludzkiego głosu przeraził Vengę. Próbował niemrawo zamachać skrzydłami, uciec od zagrożenia, zignorować straszliwy ból wywołany ruchem.

- On żyje, tato! Widziałem, jak się poruszył.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli skrócimy mu cierpienie.

- Nie, tato. Poczekaj! Przecież on jest niejadalny - nie to, co bażanty. Czy nie moglibyśmy go ze sobą zabrać? Tylko popatrz na jego ogon i skrzydła. Jest taki piękny!

- Przede wszystkim jest na pewno zapchlony - odparł ojciec. -

No i to paskudny skurczybyk. Widziałeś przecież nieraz, jakie są sroki. Co wyprawiają na poboczach dróg. Są gorsze niż sępy, ot co. Poza tym, ten tutaj nigdy nie wylize się z ran. Tylko spójrz na niego. Nie ma jednego oka!

- Ale ja tak bardzo chciałbym go zatrzymać, tato. Przecież nie zostawimy go tutaj, żeby pożarł go jakiś lis, a ja ci nie pozwolę go zastrzelić. Zajmę się nim. Umyję go i będę trzymał w starej klatce po Sammym. Nie pozbyliśmy się jej jeszcze, leży w szopie z innymi rupieciami. Będę go karmić i w ogóle. Czy mogę go zatrzymać? Proszę cię, tato! Proszę!

- Wyświadczylibyśmy mu większą przysługę, gdybyśmy go zabili tu i teraz... - podjął mężczyzna, kiedy jednak spojrzął na twarz syna, wiedział, że to najrozsądniejsze rozwiązanie w żadnym razie nie wchodzi w rachubę. - No, dobrze, synu. Ale ty go poniesiesz. Daj mi te bażanty. Nadal jednak uważam, że to szalony pomysł. Kto to słyszał, by trzymać srokę w charakterze domowego zwierzęcia?

Przeprawa nad morzem z Wyspy Sztormów do Birddom była dla Traski o wiele trudniejszy niż wtedy, gdy umykał z kraju po Wielkiej Bitwie. Świeżo wygojone skrzydło spowalniało jego lot, a na dodatek panowała obrzydliwa pogoda. Silny, przeciwny wiatr i zacinający deszcz sprawiły, że chociaż wyspę od zachodnio-północnych wybrzeży Birddom dzieliło mniej więcej dwadzieścia kilometrów, podróż zajęła im ponad dwie godziny. W końcu oddział wielkich wron i jedna sroka - wszyscy wyczerpani - wylądowali na skałach otaczających latarnię morską, kryjąc się w załomach przed zimną ulewą. Kiedy już minęło zagrożenie wywołane lotem nad falami, niektóre ptaki doszły do siebie na tyle, że zaczęły żałować, iż zdecydowały się podążać za Traską do tego przeklętego kraju. Nie minęło wiele czasu, a zapanowało ogólne niezadowolenie, i co bardziej wojownicze ptaki zaczęły się odgrażać, że natychmiast zawrócą do domu,

„gdy tylko się poprawi ta cholerna pogoda”.

Paradoksalnie, fatalna aura w końcu obróciła się na korzyść Traski, bo na cypel, który pionową ścianą opada ku spienionemu morzu, zabłąkało się małe jagnię, oddzielone od matki przez nawałnicę. Jego żałosne pobekiwanie dobiegło do miejsca, w którym zbiło się w gromadkę dwadzieścia wielkich wron. Traska - jak zwykle - zareagował pierwszy.

- Wybaczcie, że mój kraj powitał was tak nieprzyjemną pogodą. To dość niezwykle w tych stronach. Być może Birddom płacze z tęsknoty za swoim królem. Ale czyż nie jest to, jak obiecałem, ład obfitości? Nawet w tych chwilach smutku zapewnia nam dobrobyt. Tylko posłuchajcie! Nasz posiłek sam woła, byśmy przyszli i napęnlili brzuchy!

Okrutny, przesywający niczym sztylet, śmiech sroki dotarł do uszu wszystkich wron. Raz jeszcze ich wiara w siebie została podbudowana arogancją i zadufaniem Traski. On sam zaś nie tracił więcej czasu na przemowy, tylko poderwał się w powietrze, by odszukać zbłąkane jagnię. Reszta bez namysłu ruszyła za nim i chwilę później czarna chmara opadła na nieszczęsne zwierzę. Traska podskakiwał podniecony za plecami wron. Nie miał dość odwagi, by wziąć udział w zabijaniu tak dużego zwierzęcia.

Niech te tępe osiłki wykonają najcięższą robotę, pomyślał. Ostatecznie właśnie po to ich tutaj sprowadziłem.

Niemniej, pokazał wszystkim, kto tu rządzi, gdy dla siebie wybrał najsmakowitsze kęski - oczy i język. Jakkolwiek patrzyć, był to jego kraj, a na dodatek czyż to nie dzięki niemu rozkoszowali się teraz świeżą jagnięcina? Traska był jednak dość inteligentny, by nie przeciągać struny, pozwolił więc ucztować wronom, nie zwracając im przy tym głowy.

A kiedy już się najadły do syta i siedziały z umazanymi krwią dziobami, przebiegły samiec odezwał się ponownie:

- Mówiłem wam, że mój kraj jest wspaniały. Nie ma tu farme-
rów, strącających z nieba ptaki swoimi śmiercionośnymi pociskami.
Bo nie Człowiek rządzi na tej ziemi, ale ja!

Kiedy Venga odkrył, że widzi na prawe oko, ogarnęła go niewy-
słowiona ulga. Od chwili gdy okrutne, jastrzębie szpony wbiły się w
jego ciało, cały świat zmienił się w jeden, wielki koszmar. Młody
samiec sroki odczuwał jedynie ból i przerażenie. Teraz jednak, cho-
ciaż drżał pod delikatnym dotykiem dziecka, pierwszy raz obudziła
się w jego sercu nadzieja. Nie dość, że żył, to jeszcze widział!

Chłopiec oczyścił nieuszkodzone oko. Kiedy Venga leżał na boku
na zboczu wzgórza, krew sączyła się z głęboko rozoranego oczodołu,
spływała przez dziób i na prawej stronie głowy zakrzepła w twardą
skorupę blokując dopływ światła. Ale po starannych zabiegach
dziecka Venga znów mógł oglądać świat - choć teraz tylko jednym
okiem. Gdy chłopiec położył srokę w klatce, z zachwytem stwierdził,
że jego pacjent zdecydowanie się ożywił.

Venga otrząsnął się niemrawo, a potem powoli, z wysiłkiem,
przemieścił się po wysypanym piaskiem dnie klatki. Swego czasu
służyła ona samcowi dużej papugi, który - na skutek ludzkiej nie-
uwagi - uciekł i znalazł się w środowisku kompletnie obcym tropi-
kalnym gatunkom. Nie udało mu się tam przetrwać nawet tygodnia.
Na szczęście chłopiec o tym nie wiedział. Oczyma wyobraźni wi-
dział swojego pupila frunącego do dalekiej ojczyzny, gdzie teraz
cieszył się wolnością i opowiadał wszystkim pobratymcom o tro-
skliwym, młodym opiekunie.

Venga otworzył szeroko dziób i z wdzięcznością połykał dżdżow-
nice i chrząszcze, którymi szcodrze karmiło go dziecko. A potem -
ignorując ból, który wrócił ze zdwojoną siłą - zapadł w sen i śnił o
matce.

6.

Olbrzymi zwój liny cuchnął smołą i oba małe ptaki próbowały wstrzymywać oddech, byle tylko choć na chwilę uwolnić się od tego odoru. Portia już od dłuższego czasu miała mdłości. I nie tylko z powodu smrodu, ale także gwałtownego kołysania promu unoszonego przez wysokie fale. Czuła się nieszczęśliwa także z innych powodów^ Ciągłej ulewy. Huku silników. I bliskości tak wielu ludzi. W pewnym momencie nawet doszła do wniosku, że pomysł Krakena nie należał do najlepszych.

Mickey tymczasem wciąż ćwierkał jej cicho do ucha słowa pociechy.

- Przynajmniej jesteśmy cali i zdrowi, i nie musimy zmagać się z żywiołami.

- A jeżeli ktoś odkryje naszą obecność? Jeżeli zostaniemy schwytani przez ludzi?

- Przecież oni nie potrafią fruwać. Nie wzbiją się za nami w powietrze, prawda? - odrzekł Mickey impulsywnie. - Przestań się zamartwiać, Portio! Rozkoszuj się przeprawą!

Rozkosz to ostatnie słowo, które w owej chwili przychodziło do głowy urodziwej samiczce. Pozostawiła jednak słowa przyjaciela bez komentarza. Sprzecznianie się z Mickeyem nie miało sensu. Trzeba

było po prostu zacisnąć dziób i jakoś przetrzymać tę podróż. Musieli się przecież dostać do Winglandu, a dla osiągnięcia tego celu Portia mogła znieść bardzo wiele.

W końcu deszcz przestał padać, jednak słońce nie wychyliło się zza chmur, by wyгнаć chłód z ich kości, tak więc nastroje się nie poprawiły. Portia i Mickey na zmianę trzymali straż, by jedno z nich mogło zażyć przynajmniej trochę snu. A obojgu oczy nieustannie kleiły się same - kołysanie promu działało usypiająco. Niejednokrotnie więc tylko bryzgi fal wdzierających się na pokład idącego w przechyle statku pozwalały trzymającemu wartę uchronić się od snu.

Tymczasem w sercu Tanglewood Merion i Olivia z nowym wigorem i entuzjazmem poznawali terytorium starego puszczyka. Opowieści Tomara i wrodzona dziarskość pozwoliły im otrząsnąć się ze smutku i teraz małe ptaszki uganiały się radośnie pośród gałęzi drzew.

Tomar przyglądał się tym harcom usadowiony wygodnie na swojej ulubionej gałęzi, a na jego twarzy nieustannie pojawiał się uśmiech. Teraz, gdy dzieci się zaadaptowały, mógł się skupić na innych ważnych sprawach. Zastanawiał się, jak radzą sobie Portia i Mickey. Wedle jego rachuby powinni się znajdować mniej więcej w połowie morskiej przeprawy. Aura wprawdzie pozostawiała wiele do życzenia, puszczyk miał jednak nadzieję, że jest ona lepsza w okolicach, w których przebywali teraz jego przyjaciele. Przelot przez wody oddzielające Birddom od Winglandu był trudnym wyzwaniem dla ich wytrzymałości nawet w najbardziej sprzyjających warunkach pogodowych. Tomar, po dyskusjach z Krakenem, dobrze zdawał sobie sprawę ze zmienności morskiego klimatu. Prosił więc w duchu wszystkie dobre moce, by czuwały nad dzielnymi emisariuszami, po czym znowu oddał się przyjemności obserwowania młodych rudzików.

Żadne z nich nie było głodne, całkiem niedawno bowiem Tomar uraczył ich śniadaniem aż nazbyt obfitym jak na ich możliwości. Jednak zarówno Olivia, jak i jej brat poczuli dziwne łaknienie na widok gąsienicy przesuwającej się falistymi ruchami wzdłuż pobliskiej gałęzi. Gąsienica była czarno-zielona i cała pokryta drobnymi włoskami.

Obu rudzikom ślinka zaczęła napływać do dzioba, chociaż zupełnie nie rozumiały dlaczego. Żadne z nich wcześniej nie jadło gąsienicy. Prawdę mówiąc, nigdy nie próbowały niczego, co poruszało się aż tak żwawo! Urodzone w świecie, w którym owady już nie stanowiły ogniwa łańcucha pokarmowego ptaków, rzadko miały w dziobach jakąkolwiek żywą istotę. A jednak te ruchy dziwnego stworzenia pobudziły w nich podświadomą reakcję. Jakby wysyłały im sygnał: „Zjedz mnie! Zjedz mnie!”. Oba ptaki łakomie wpatrywały się w gąsienicę, aż w końcu Olivia zapytała:

- To przecież nie jest owad, prawda?
- W żadnym razie - szybko zaprzeczył Merion, choć jego pewność siebie nie była szczerą. - Owady mają skrzydła i sześć nóg. A to coś ma ich co najmniej tuzin!
- Czy myślisz, że w takim razie możemy to stworzenie zjeść?
- Jak to „my”? Ja zobaczyłem je pierwszy, więc mnie się ono należy.

Merion przybrał wojowniczą minę. Taki wymyślił sobie sposób na siostrę, bo była większa, a więc i silniejsza. Miała za to łagodne usposobienie, więc często bratu udawało się nagiąć ją do swojej woli.

- Nie możemy się podzielić tym stworzeniem? Wydaje się dość duże, by starczyło dla nas dwojga.
- Nie! - wykrzyknął zadziorny samczyk tonem nieznoszącym sprzeciwu. - To coś jest moje i tylko moje. Zjem je sam!

Merion spiorunował siostrę wzrokiem, rzucając jej w ten sposób buńczuczne wyzwanie. Mogło się to jednak dla niego marnie skończyć, postanowił więc przybrać bardziej polubowną postawę.

- Poza tym - szepnął - to stworzenie może się okazać niebezpieczne. Trujące. Więc z dwojga złego lepiej, żeby tylko jedno z nas się pochorowało. Ja cię tak bardzo kocham, że nie pozwolę, byś ryzykowała życie lub zdrowie. A jak się okaże, że ten włochaty dziwolak nadaje się do jedzenia, obiecuję, że znajdę takiego drugiego - tylko dla ciebie.

Oliwię ułagodziły słowa brata, tym bardziej że sama bała się dziobnąć coś tak nietypowego dla swojej diety. I pomimo zapewnień Meriona, wcale nie była przekonana, czy w ogóle powinni zjadać to stworzenie, czymkolwiek ono było.

Tymczasem Merion, widząc, że siostra zaniechała sprzeczeki, wskoczył triumfująco na gałąź, po której sunęła gąsienica kusząca swoimi falującymi ruchami. Zawahał się, niepewny, co powinien dalej robić. Jeszcze nigdy nie zabił żadnej istoty. Jak się do tego zabrać? I od której strony zaatakować? A jeżeli to stworzenie potrafi się skutecznie bronić w jakiś nieznanym mu sposób? Meriona już przestała nęcić ta ewentualna przekąska, nie chciał jednak skompromitować się przed siostrą.

Sprawę przesądziła interwencja Tomara, który pojawił się bezszelstnie i bezceremonialnie trzepnął Meriona skrzydłem po łepku. Chociaż nie użył siły, i tak zrzucił rudzika z gałęzi. Merion wylądował w mało dystyngowanej pozycji na miękkim podszyciu i z przerażeniem spojrzął na wyraźnie rozsierdzonego puszczyka.

- Co ci przyszło do głowy?! - huknął Tomar. - Czy nie znasz naszego prawa? Dałem słowo owadom, że żaden ptak nie będzie się już nigdy nimi żywił. Zamierzałeś złamać tę przysięgę? Czyżby słowo Wielkiej Sowy nic dla ciebie nie znaczyło?

- Przepraszam, Tomarze. Nie znamy podobnych stworzeń. Z pewnością jednak nie przypomina żadnego z owadów, jakie widzieliśmy w życiu. - Do oczu Meriona napłynęły łzy.

Tymczasem Tomar potrząsnął głową, zawstydzony swoim wybuchem gniewu. Jak mógł być aż tak bezmyślny! Przecież to była pierwsza wiosna w życiu tych dzieci. Z czego logicznie wynika, że żadne z nich nigdy nie widziało gąsienicy. Z pewnością matka wpałała im od pisklęcia, że nie wolno zjadać owadów i pokazała wiele stworzeń, których powinny unikać, ale - z powodu pory roku - nie miała okazji opowiedzieć dzieciom o stadiach rozwoju owadów. A teraz Tomar wysłał ich matkę w świat, zanim zdążyła dopełnić edukacji młodych rudzików.

- Wybacz mi, Merionie - powiedział łagodnym już głosem.

- To ja cię przepraszam, Tomarze.

- W porządku, przeprosiliśmy się więc nawzajem i na tym zakończmy sprawę. Chodźcie do mnie teraz oboje, przygotowałem dla was nową historyjkę. A potem, jeśli rozjaśni ci się już w głowie po tym szturchańcu, młodzieńcze, opowiem wam więcej o życiu różnych stworzeń, które zaludniają nasz wspaniały, zdumiewający świat.

W czasie przeprawy Portię nieraz nachodziły obawy, że nie będzie jej już dane postawić nogi na suchym lądzie. Kilkakrotnie więc błagała Mickeya, by pozwolił jej wzbić się w niebo i zdać na łut szczęścia oraz własne nawigacyjne zdolności. Gil jednak pozostał nieugięty.

- Współczuję ci, Portio. Widzę, że źle się czujesz. Ale postanowiliśmy, że w ten sposób przeprawimy się przez morze i musimy być konsekwentni. Chociaż ta podróż nie należy do najprzyjemniejszych, zmierzamy prosto do celu, nie narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Już mnie mdli od tej podróży! - rzuciła Portia kłótliwie.

- O ile pamięć mnie nie myli, swego czasu mdliło cię od morskiej wody! - odparował Mickey.

Portię najpierw speszyło to przypomnienie własnej głupoty, a potem ogarnął ją gniew. Jak ten zuchwały gil śmiał jej dyktować, co powinna robić?! On był zaledwie pomocnikiem, towarzyszem podróży. A emisariuszką wybraną przez Radę była przecież ona. Odwróciła się gniewnie od Mickeya i nie odezwała ani słowem. Gil - zdając sobie sprawę, że uraził Portię - uznał, że w owej chwili najlepiej zachować milczenie. Tak więc oba ptaki siedziały przygnębione na pokładzie, pogrążone we własnych myślach. W końcu Portia się udobruchała i wówczas zaczęła racjonalnie analizować sytuację. Doszła do wniosku, że Tomar po raz kolejny wykazał przebłysk geniuszu, wybierając zuchwałego gila na jej towarzysza. Choć nie spodobały się jej słowa Mickeya, trudno było jednak odmówić im logiki.

Brak cierpliwości mógł się okazać ich największym wrogiem, a potrzebowali tej cierpliwości wiele, gdy prom w końcu wpłynął do portu i rozpoczął żmudny proces dobijania do kei. Potem upłynęła cała godzina, zanim ludzie opuścili pokład, przy okazji zasnuwając cały statek i okolice chmurą spalin ze swoich samochodów. Mickey bez przerwy musiał powściągać Portię, która teraz - gdy już znaleźli się na kontynencie - chciała natychmiast ruszać w drogę.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim gil zawołał: „Lecimy!” i ptaki poderwały się w niebo, by rozpocząć podróż po nieznanym Winglandzie.

Najpierw musieli znaleźć w okolicy bezpieczne schronienie, mogące im służyć za bazę wypadową. Istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, że zanim spełnią misję, będą się musieli wyprawiać także w głąb łądu. Równie pilną kwestią było zaprzyjaźnienie się z jakimś wędrownym osobnikiem, który pomógłby im się porozumieć z miejscowymi ptakami. To drugie zadanie było o wiele trudniejsze. Ptaki wędrowne - z definicji - większość czasu spędzały w powietrzu,

przemierzając wielkie przestrzenie dzielące ich letnie siedziby od siedzib zimowych. Tomar tak wybrał czas misji, by zbiegła się z tą sezonową odyseją. Kierując się logiką (bo przecież nie dysponował faktami), stary puszczyk założył, że ci wędrowcy, którzy dawniej tradycyjnie spędzali letnie miesiące w Birddom, teraz zatrzymują się w nadmorskiej części Winglandu, a więc najbliżej miejsc, które kiedyś lubili. Ale tak wcale nie musiało się stać, ponieważ wiele zależało od warunków pogodowych i dostępności pokarmu panujących w owym rejonie.

Gdy emisariusze już się znaleźli na suchym lądzie - chociaż nieznanym, a przez to budzącym lęk - Portia śmiało przejęła przewodnictwo w poszukiwaniach nowego domu. Trzymając się razem, przelecieli szmat drogi, starannie lustrując rozmaite okolice. Długo nie mogli znaleźć niczego odpowiedniego. Jedne miejsca były zbyt niebezpieczne, inne za mało osłonięte lub niewskazane z jakichś jeszcze innych względów. Szczęśliwie oba ptaki mogły żyć w podobnych warunkach, były też dość pogodne i towarzyskie, by czerpać korzyści z bliskości domostw Człowieka. W końcu zdecydowali się założyć swoją siedzibę w tarninowym żywopłocie rosnącym na poboczu krętej drogi, zbudowanej przez ludzi, lecz rzadko uczęszczanej. Wokół znajdowało się wiele gospodarstw, na tyle jednak oddalonych, że nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia. Natomiast okoliczne pola i leżący obok sad z jabłonią w pełnym rozkwicie, gwarantowały obfitość pożywienia.

- To doskonałe miejsce - zdecydowała Portia, gdy wylądowali i skryli się w gęstym listowiu. Mickey nie protestował.

Życie Vengi zmieniło się w jedno wielkie pasmo nudy. Z początku liczyło się dla niego tylko odzyskanie zdrowia. Chłopiec był życzliwy i przynosił regularnie posiłki oraz świeżą wodę. Rany Vengi goiły się nadszpiewanie szybko, z każdym dniem też przybywało

mu sił. Nie czuł już bólu, gdy skakał po klatce, jednak w tej ciasnej przestrzeni nie było mowy o lataniu. Wystarczyło jedno machnięcie skrzydłami, by znaleźć się na drążku umieszczonym w połowie wysokości klatki. Siedząc tam, Venga mógł przynajmniej wyciągnąć ogon, chociaż i tak czubkami piór dotykał podłogi. A ilekroć rozprostował skrzydła, by pobudzić w nich krążenie krwi, natykał się na pręty, nieprzyjemnie przypominające o uwięzieniu. Czas mijał, wszystkie dni zlewały się w monotonną całość. Venga nieustannie tęsknił do szerokich przestworzy nieba. Do swobodnego lotu. Do rodzinnych stron, które zdawały się teraz oddalone o miliony kilometrów. Martwił się też o matkę. Jej jedynym celem w życiu była zemsta na Trasce za okrucieństwo, z jakim ją potraktował. A symbolem i narzędziem owej zemsty miał być on, Venga. Tymczasem teraz nie będzie mógł spełnić swojej misji. Ogarniał go lęk, że matka się zestarzeje i umrze w samotności - zgorzkniała, w przekonaniu, że syn ją zawiódł. Pograżał się więc w coraz głębszym smutku, bo sytuacja wydawała się beznadziejna. Nie miał drogi ucieczki. W końcu doszedł do wniosku, że zamiast tak przygnębiającego, pustego życia, wolałby już, by zabrała go śmierć - i to zanim przytuli jego matkę do swego czarnego łona.

Czarne, pełne zła serce Traski biło własnym perwersyjnym rytmem. Prowadził bandę wron het! nad wyżynami pokrytymi wrzosowiskami, ponad spokojnymi taflami jezior i poprzez wilgotne, gęste lasy. A gdziekolwiek się pojawił ten złowieszczy, brutalny oddział, zostawiał za sobą śmierć i zniszczenie - jego ofiarą padały wszystkie drobne ptaki i małe zwierzęta, które miały nieszczęście znaleźć się na drodze przelotu. Po okresie spokoju panującym od czasu Wielkiej Bitwy, było to szokujące przypomnienie, jak wyglądało życie pod

rządami krukowatych. Wieści o pojawieniu się wielkich, drapieżnych wron szerzyły się niczym ogień w buszu, stąd wielkie obszary opustoszały, jeszcze zanim wrony zdążyły tam dotrzeć, bo wszystkie stworzenia umykały, żeby ratować życie.

Wrony nie dążyły jednak do systematycznej eksterminacji drobnych ptaków. Były niczym przepojona okrucieństwem trąba powietrzna, która niszczy wszystko na swojej drodze, ale nieustannie pędzi dalej. Należało jej unikać, lecz nie powinna budzić powszechnego przerażenia. Jednak plotki, jak to zwykle bywa, wyolbrzymiały zagrożenie. A ponieważ ten szczególny gatunek wielkich wron nigdy nie występował na terenach Birddom, więc ślepo wierzono w każdą pogłoskę. I tak, w powszechnych opowieściach, wrony stały się dwa razy większe, niż były w rzeczywistości. Dziobami mogły rozłupywać kamienie. A do tego pożerały swoje ofiary żywcem.

Podobne rewelacje bardzo cieszyły Traskę, gdyż przydawały jego bandzie aury niezwycięzonej drużyny, co - przynajmniej na razie - kompletnie rozmijało się z prawdą. Oddział był nieliczny. W starciu z zamieszkującymi pobliskie góry orłami poniósłby niechybnie klęskę. Traska jednak nie planował bezpośredniej konfrontacji ze swoimi wrogami. Chociaż (co nieustannie urażało jego dumę), powrócił tu, kryjąc się za bandą tych przygłupich brutalów, nie zamierzał się mścić, wypowiadając bitwę. Postanowił w inny sposób doprowadzić do upadku Birddom, a przede wszystkim jego przywódców - czyli Rady Sów.

Traska ani przez chwilę nie wątpił, że wieści o jego przybyciu na czele groźnej armii powędrują na południe i wkrótce dotrą do uszu ptaka, którego nienawidził najbardziej. Do Tomara. Nikczemny samiec sroki chciał, by puszczyk się dowiedział o jego powrocie. Żeby pojął, iż Traska nie boi się wszechmocnej Rady, ani jej majestatycznych popleczników. Ale jednocześnie zależało mu, by Tomar nie

odkrył jego prawdziwych intencji. Musiał więc koniecznie odwrócić uwagę Tomara od rzeczywistego planu. Postanowił posłużyć się podstępem - fortelem, który zmyli przeciwnika. A potem uderzyć. Uderzyć w najczulszy punkt. I w ten sposób dokonać zemsty.

7.

Kiedy mądre, potężne ptaki omawiały plan misji, zadanie emisariusza wydawało się banalnie proste. Wystarczyło pofruwać po Winglandzie i na początek przekonać kilkadziesiąt ptaków, że ich życie stanie się dużo lepsze, jeżeli zdecydują się towarzyszyć Portii do Birddom i osiąść na stałe w jej pięknym, rodzinnym kraju.

Rzeczywistość okazała się jednak najeżona problemami. Zarówno Portia, jak i Mickey nie bardzo wiedzieli, jak się zabrać do sprawy. Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy założyli bazę i spenetrowali najbliższe okolice. Miejscowe ptaki nie okazywały im ani wrogości, ani sympatii. Ignorowały tych obcych przybyszy i zajmowały się własnymi sprawami. Portia i Mickey podejmowali próby nawiązania z nimi kontaktu, ale kończyły się one fiaskiem z powodu bariery językowej. Nikt po prostu nie rozumiał gila ani pięknej samiczki rudzika.

Co gorsza, od chwili przybycia na kontynent, nawet z daleka nie widzieli żadnego wędrownego ptaka. Codziennie wzbijali się w powietrze i pilnie patrolowali niebo w nadziei, że spotkają jerzyka, jaskółkę czy kulczyka. Jednak bez powodzenia. Jakby ptaki, które swego czasu podróżowały do ojczyzny Portii i Mickeya, teraz nawet obawiały się pojawić w nadbrzeżnych okolicach Winglandu - tych leżących najbliżej Birddom.

- Nie doceniliśmy komplikacji wiążących się z naszym zadaniem - zawyrokowała posępnie Portia pod koniec kolejnego bezowocnego dnia. - Te okolice zamieszkuje mnóstwo ptaków - wystarczająco dużo, by odbudować populację w każdym zakątku naszego królestwa. Ale nikt z nami nie polecą, jeżeli nie zdołamy się z nimi porozumieć. Z kolei ptaki, które znają naszą mowę, w ogóle tutaj nie zalatują. Cieszę się teraz, że przeprawiliśmy się przez morze, nie tracąc sił i energii, bo obawiam się, że będziemy musieli sporo się nafruwać po tym kraju, zanim spełnimy naszą misję.

Portia spojrzała z powagą na przyjaciela. Od chwili gdy dotarli do Winglandu, nawzajem nieustannie podtrzymywali się na duchu i strawili wiele czasu na dyskusjach. Z Mickeya stopniowo opadła maska rubasznego zawiadaka. Ich poważne rozmowy nie szły w parze z dowcipkowaniem i Portia z zadowoleniem odkryła, że za fasadą komicznej zuchowatości gil skrywa bystrość i inteligencję.

Nie ulegało też wątpliwości, że Mickey przejmując się obecnymi niepowodzeniami. Zazwyczaj tak żywiołowy, teraz zamknął się w sobie. Jakby uznał, że nie spełnił oczekiwań - że całkowicie zawiódł swoją towarzyszkę. Portia uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś tu ze mną, Mickeyu. Bez ciebie nie dałabym rady przebyć choćby kilometra. Tak bardzo poprawiasz mi humor - wciąż mnie rozśmieszasz. A przecież w najbliższych dniach i tygodniach będzie mi bardzo potrzebna pogoda ducha.

- Dziękuję, Portio. Miło mi, że mogę ci się na coś przydać - choćby była to zaledwie rola błazna!

- Cenię cię jako przyjaciela, Mickeyu. A teraz zajmijmy się planami na jutrzejszy dzień. Jak myślisz, w którą stronę powinniśmy się udać?

Gil zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

- Sezon dopiero się rozpoczął, więc większość wędrownych gatunków nie dotarła jeszcze do północnych krańców kontynentu. Dlatego powinniśmy skierować się na południe w nadziei, że przetniemy trasę ich przelotu.

- Brzmi nieźle, brachu - przyznała Portia, nieudolnie parodiując Mickeya.

Tomar długo i dogłębnie analizował informacje, które dotarły do niego tego ranka. Siedział na gałęzi drzewa będącego jego domem od niepamiętnych już czasów i patrzył czule na Meriona i Olivie, zabawiających się radośnie wśród pobliskich krzewów. Myślami jednak bujał zupełnie gdzie indziej.

Doniesiono mu bowiem o pojawieniu się Traski i aktach przemocy, jakich dopuszczała się jego banda zbirów. Naturalnie, Tomar nie przejął się wieściami o przybyciu wron, ponieważ ptaki te nie stanowiły na tyle znaczącej siły, by zagrozić wolności Birddom. Natomiast powrót ich kompana, Traski, mógł być powodem do poważnego niepokoju.

Tomar uważał za osobistą porażkę fakt, że jako Wielka Sowa - przywódca Birddom - nie zdołał doprowadzić do schwytania Traski zaraz po Wielkiej Bitwie. Podłość tego ptaka nie znała granic i puszczyk obawiał się go teraz dużo bardziej niż swego czasu Slyekina - megalomańskiego wodza srok. Slyekin był zepsuty, ale przede wszystkim ogarnięty szaleństwem. Tymczasem Traska to wcielone zło - co do tego Tomar nie miał najmniejszych wątpliwości. Na myśl o tej zwyrodniałej sroce puszczykowi cierpła skóra i to nie z powodu bezlitosnego mordu popełnionego na Kirricku. Tomar był pewien, że ten przeklęty ptak marzył o zburzeniu naturalnego porządku w Birdom. Co jednak konkretnie przygnało go z powrotem? Mała liczebność jego kohorty utwierdzała Tomara w przekonaniu, że Traska nie wrócił tu, by podjąć otwartą walkę. Ponowne ustanowienie rządów

Rady Sów oraz silne sojusze, jakie zawiązały się w wojnie z krukowatymi, gwarantowały bezpieczeństwo kraju - podły samiec sroki nigdy by się nie ośmielił wywołać wojny. Pozostawało więc pytanie: jaki to zdradziecki plan kłuł się w umyśle Traski?

Tymczasem Traska pilnie potrzebował informacji o aktualnej sytuacji w Birddom, i postanowił je zdobyć w typowy dla siebie sposób. Populacja drobnych ptaków została mocno przetrzebiona przez krukowate, ale te z nich, które przeżyły hekatombę, poczuły się wolne i bezpieczne po upadku wroga. Zapanowała powszechna radość. Cały kraj wiedział o Wielkiej Bitwie i doniosłej roli, jaką w obaleniu imperium Slyekina odegrał Kirrick. Dzielny rudzik został bohaterem Birddom, stąd narodziny jego dzieci stały się okazją do hucznych uroczystości.

Równie doniosłym wydarzeniem było ponowne ukonstytuowanie się Rady Sów. Większość ptaków spała spokojnie w swoich gniazdach, wiedząc, że Tomar został przywódcą Birddom. Wieść o pierwszym posiedzeniu Rady i podjętych wówczas rezolucjach dotarła do każdego zakątka tej ziemi. Dalekosiężny plan Tomara obudził we wszystkich optymistyczne nastroje. Wszem wobec rozprawiano o misji Portii i, prawdę powiedziawszy, Traska bez trudu zdobyłby wszelkie użyteczne informacje, gdyby jedynie wykazał się cierpliwością i pilnie łowił uchem ptasie rozmowy. Ale cierpliwość nie należała do cnót Traski - jeżeli w jego wypadku można było w ogóle mówić o jakichkolwiek cnotach. Poza tym, stosowane przez niego metody zdobywania wiadomości dostarczały mu zbyt wiele uciechy, by z nich rezygnować.

Uwagę Traski miała nieszczęście ściągnąć na siebie młoda samiczka szpaka. Zamarudziła za długo nad smakowitym kąskiem i oddzieliła się od stada, które wzbiło się w powietrze, zaalarmowane przez czujki o zbliżającym się zagrożeniu. Wartownicy spostrzegli -

bowiem ciemne kształty wielkich wron nadciągających nad dolinę, w której żerowały szpaki. Pochłonięta zaspokajaniem apetytu, młoda samiczka zbyt późno zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wrony opadły ją, gdy próbowała umknąć i teraz leżała rozpląszczona przed Traską.

Nie odznaczała się odwagą, więc stosowanie wobec niej przemocy było całkiem niepotrzebne. Powiedziałyby Trasce wszystko, co chciał wiedzieć, bez żadnej dodatkowej „zachęty”. Ale Traska był spragniony krwi. Dlatego każdemu jego pytaniu towarzyszył potężny cios dziobem, dotkliwie raniący przerażoną samiczkę.

Okrutny inkwizytor oczywiście dobrze zważał, żeby nie zabić swojej ofiary, póki nie wyciągnie z niej ostatniego skrawka informacji. Trzy razy nieszczęsna błagała go, by ją dobił i zaoszczędził dalszych cierpień. Traska jednak nie zamierzał zrezygnować z okazji zaimponowania kompanom, przyglądającym się z zafascynowaniem całemu procederowi. Co nie znaczy, że w innej sytuacji zdobyłby się na akt łaski. Okrutne czyny sprawiały mu zawsze przyjemność, której nie zamierzał sobie odmawiać. Ale w końcu drobna samiczka nie miała już nic ciekawego do powiedzenia i rozczarowany Traska jednym uderzeniem silnego dzioba przebił czaszkę udręczonego ptaka, kończąc w ten sposób barbarzyński spektakl.

Potem usiadł w samotności, by spokojnie przemyśleć wszystko, co usłyszał. A więc będzie musiał zmienić swoje plany. Pierwotnie zamierzał zapolować na Portię, tymczasem ona znalazła się poza jego zasięgiem. Za to jej dzieci... ha! to była myśl! A więc ród tego przeklętego rudzika przetrwał? Cóż, nie na długo!

Finbar - podobnie jak jego kamraci - był ogromnie zadowolony z życia w nowym kraju. „Chociaż niemal we wszystkim polegał na Trasce - a w zasadzie był całkowicie od niego zależny - to cieszył

się pozorami władzy, jako nominalny dowódca oddziału wron. One zresztą też często rozprawiały między sobą na temat nowych, wspa-
niałych możliwości.

- Nie dość, że jest tu żarcia w bród, na dodatek możemy latać, gdzie chcemy, nie martwiąc się, że lada chwila ustrzeli nas jakiś przeklęty farmer - zauważyła jedna z nich.

- Traska miał rację - wtrąciła następna. - Ta kraina jest dla nas wprost wymarzona. Niczego nam tu nie zabraknie.

Ogólnie rzecz biorąc, wrony jednogłośnie doszły do wniosku, że - dzięki radom Traski - poprawił się los ich wszystkich i każdej z osobna. Naturalnie, przebiegły samiec sroki bardzo starannie wybrał trasę przelotu z wybrzeża w głąb kraju - zrobił wszystko, żeby uniknąć wszelkiego kontaktu z ludźmi nie tylko po to, aby nie narazić się na związane z tym niebezpieczeństwa, ale przede wszystkim, by towarzyszące mu półgłówki nabrały przekonania, że Birddom jest o wiele przyjaźniejszym miejscem do zamieszkania niż ich rodzinne strony. Tak więc zachwycone wrony zabrały się do dokładnego poznawania nowej ojczyzny, Traska zaś mógł spokojnie oddać się rozmyślaniom.

Zalążek planu mającego na celu atak na dzieci Portii narodził się w umyśle Traski podczas przesłuchania samiczki szpaka. Trzeba było jednak czasu, żeby dość mglista koncepcja wykrystalizowała się i przybrała formę jasno sprecyzowanych posunięć. Teraz Traska już wiedział, jak doprowadzić do upadku szacownej Rady Sów, a przede wszystkim, jak się skutecznie zemścić na swoim największym wrogu, Tomarze.

Na razie starannie penetrował teren i zapuszczał się w coraz odleglejsze rejony, szukając miejsca na własną fortecę, mogącą ochronić jego skromne siły przed odwetem, gdy już wprowadzi swój nikczemny plan w życie. W czasie jednej z takich wypraw Traska znalazł się

w dobrze znanej sobie okolicy - u podnóża gór, gdzie został sromotnie pobity przez Storne'a i jego orły. Właśnie przelatował nad tymi samymi króliczymi norami, którymi uciekli Kirrick i Portia, kiedy zostali osaczeni przez hordy krukowatych.

- Niech będzie przekłete imię tego rudzika!

Stał się on prawdziwą zmorą życia Traski - choć od tak dawna już nie żył, wciąż dominował w jego myślach i rozbudzał zapiekłą nienawiść. Traska mocniej zamachał skrzydłami i zboczył z obranego kursu w nadziei, że uda mu się uciec od wspomnień o szlachetności i bohaterstwie Kirricka.

Katya rozpoznała go natychmiast i serce zamarło jej z przerażenia. Dla Traski natomiast była nieznajomą. Podczas gwałtu, potraktował ją jak przedmiot - marną istotę, służącą zaspokojeniu żądy. Teraz owe pierwotne uczucia były w nim uśpione. Czuł się po prostu samotny i, po tak długim czasie w towarzystwie obcych półgłówków, tęsknił do kontaktu z inną sroka. Jakże się więc uradował, gdy spostrzegł, że owa sroka jest na dodatek nadzwyczaj piękną samiczką.

- Witam, droga pani - odezwał się ociekającym słodyczą głosem.

- Cóż za szczęśliwe spotkanie.

- Doprawdy? - Katya, patrząc na Traskę, odniosła wrażenie, że jej nie rozpoznał i to dodało jej śmiałości. - A niby dla kogo?

- Dla nas obojga - odparł Traska, nieco stropiony tonem jej odpowiedzi. - Zwiedzałem te okolice bez określonego celu. Teraz jednak już wiem, czemu to robiłem. Szukałem ciebie.

- Piękne słowa. Dlaczego jednak spotkanie ze mną miałoby być tak znaczące? Przecież nic pan o mnie nie wie.

- Och, wiem bardzo wiele! - odparł Traska, a Katya zadrżała na myśl, że ten piekielny samiec od razu odgadł, kim ona jest i tylko okrutnie z nią igrał.

Szczęśliwie to, co powiedział chwilę później, oddaliło jej obawy i przekonało o własnej anonimowości.

- Wiem, że jesteś tym jedynym ptakiem, którego szukałem przez całe życie. Jak ci na imię, moja piękna?

- Mam na imię Katya i zdecydowanie nie jestem pańską piękną!

- Wybacz ten nietakt. W żadnym razie nie zamierzałem cię urazić, Katyu. Twoja uroda sprawiła, że przemówiło moje serce.

Traska patrzył na nią z wyraźną nieśmiałością i wówczas Katya zdała sobie sprawę, że ta odrażająca kreatura, która zniszczyła jej życie, zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia! Nie było co do tego wątpliwości. Katya wiedziała, że Traska jest w stanie ponownie zniewolić ją tu i teraz - tak jak to zrobił kiedyś. Niespodziewanie dojrzała w jego spojrzeniu szacunek i podziw, i wówczas dostrzegła szansę wprowadzenia swych planów w życie. Choć na samą myśl o zaakceptowaniu zalotów tego obmierzłego samca robiło się jej niedobrze - musiała się przełamać, ba! wręcz go do tych zalotów zachęcać. Będzie jego samicą do chwili, aż powróci Venga i ją wybawi. Tymczasem zerknęła na Traskę z udawaną skromnością.

- Nie zrozumiałeś mnie. Nie poczułam się urażona. Ale masz nade mną przewagę. Ty znasz moje imię, ja natomiast nic o tobie nie wiem.

- Musisz mi raz jeszcze wybaczyć Katyu. Zachowałem się grubiańsko. Nazywam się Traska.

- Traska... - powtórzyła, kryjąc za uśmiechem gorycz i nienawiść, jakie budziło w niej brzmienie tego imienia.

- Równie dobrze możemy się zbierać do domu. Nie sprościliśmy powierzonemu nam zadaniu, zawiedliśmy wszystkie ptaki w Bird-dom! - łkała zrozpaczona Portia. - Jakim cudem w ogóle przyszło mi do głowy, że mogłabym dorównać Kirrickowi? On był prawdziwym bohaterem!

- To prawda - zgodził się Mickey. - I powiem ci, czego z pewnością by nie zrobił: nigdy tak łatwo by się nie poddał. Dlatego skończ te badania. To naturalne, że jesteś przygnębiona. A także zawiedziona. Jednak wiele przeszliśmy, żeby tu dotrzeć, więc w żadnym razie nie zamierzam wracać do Birddom, póki przynajmniej kilka tuzinów ptaków nie zdecyduje się lecieć tam razem ze mną.

Gil nastroszył pióra na piersi i posłał Portii wyzywające spojrzenie.

- Denerwuje mnie, że zawsze masz rację - zaśmiała się Portia, rozładowując w ten sposób narastające napięcie.

- Wybacz, moja droga. Wiem, że cały ciężar misji spoczywa na twoich barkach, nie na moich.

- Na naszych - poprawiła go Portia, pragnąc zatrzeć złe wrażenie, jakie mogły wywołać jej gorzkie wyrzekania i rozczulanie się nad własnym losem. Wraz z Mickeyem znaleźli się w obcym, wzbudzającym lęk świecie. Portia wiedziała, że jeżeli zdoła osiągnąć zamierzony cel, to tylko dzięki przyjaźni z gilem. - A więc dość już rozpaczaj na dzisiaj. Ruszajmy w drogę. Gdzie jeszcze powinniśmy szukać?

To było dobre pytanie, bo przemierzali już spory obszar w poszukiwaniu wędrownego ptaka, który mógłby im pomóc w kontakcie z mieszkańcami Winglandu. Zataczali coraz szersze kręgi, nieustannie przemieszczając się przy tym na południe. Do tej pory jednak nadaremnie.

Mickey uśmiechnął się do Portii z żartobliwym błyskiem w oku.

- Kieruj się pod wiatr. A ja będę się krył za twoimi plecami!

Z pomocą Katyi Traska w końcu znalazł to, czego szukał. Osłonięty kraniec wąskiej, otoczonej pionowymi ścianami doliny, przypominał kryjówkę Donala i jego wron, tak świetnie chroniącą ich

przed prześladowaniami ludzi. To tutaj Katya uwiła gniazdo po przerażającym gwałcie Traski. Wówczas chciała uciec od świata, ukryć swój wstyd i rozpacz. Na widok jej samotni, Traska aż zaklaskała skrzydłami z radości.

- Moja droga Katyu, to wprost wymarzone miejsce. Żadnemu ptakowi - czy to dużemu, czy małemu - nie uda się tu nadlecieć niepostrzeżenie. A co najważniejsze, nikt się nie wedrze do naszego domu, bo moi przyjaciele szybko zniechęcą każdego intruza!

Traska wypowiedział słowa „do naszego domu” tonem zbyt familiarnym jak na gust Katyi. Zdołała jednak zapanować nad obrzydzeniem.

- Cieszę się, że ci się podoba, Trasko. Zawsze byłam tu bardzo szczęśliwa.

- Muszę przyznać, że jestem zdumiony, iż tak piękna samiczka mieszka sama - zagał Traska. - Czy nigdy w życiu nie miałaś partnera, moja droga?

Katya zdusiła w sobie ostre słowa, mogące zdradzić jej prawdziwe uczucia, i szybko odwróciła głowę. Bała się, że nie zdoła ukryć wyrazu odrazy, jaką wzbudził w niej ten podły ptak. W końcu jednak, gdy już się odezwała, jej słowa były dla uszu Traski najpiękniejszą muzyką.

- Myślę, że czekałam na kogoś odpowiedniego. Czekałam na ciebie.

Traska w jednej chwili do niej przypadł i Katya zdrząła pod jego dotykiem. Ich złączenie było krótkie, ale nie brutalne. Gdyby nie wspomnienie okrutnego gwałtu, Katya może nawet odczułaby pewną przyjemność. Traska nie umiał być ani delikatny, ani czuły (bo też nikt go tego nie uczył), za to władczy i pełen samczej pewności siebie, co w innych okolicznościach mogłoby nawet zachwycić Katyę. Teraz jednak zachwycić mogło ją tylko jedno - widok tego podłego

ptaka martwego, sztywnego, zimnego, zredukowanego do pożywki dla robaków, o ile jego padlinożerni kompani cokolwiek by jeszcze zostawili dla innych.

Traska uznał, że westchnienie Katyi jest oznaką głębokiego zadowolenia.

Nareszcie!, pomyślał. W końcu los zaczyna mi sprzyjać.

8.

Venga leżał w klatce bez ruchu. Zmierzwiał i ubrudził swoje piękne pióra tak, że teraz wydawały się zmatowiałe, po czym zaczął dyszeć chrapliwie, jakby był w agonii. Jednak cały czas swoim jedynym okiem bystro lustrował otoczenie. I czekał. Wiedział, że wcześniej czy później zjawi się tu mała dziewczynka. Odwiedzała go codziennie przed wyjściem do szkoły. Zanim minęła jego klatkę, zatrzymywała się, by do niego zagadać. I chociaż Venga nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła, zawsze odpowiadał cichym, niskim skrzekiem, a ona chichotała radośnie.

Venga czuł też, że miałyby ochotę go pogłaskać, ale bała się jego ostrego dzioba i pazurów. Z początku zabawiał się straszaniem dziewczynki: rzucał się wojowniczo w jej stronę, atakował pręty klatki, a ona uciekała z krzykiem, pozostawiając Vengę z uczuciem satysfakcji. Następnego dnia jednak zawsze wracała niezrażona, by ponownie popatrzeć na srokę. W końcu Venga zrozumiał, że musi zmienić sposób postępowania. Stał się bardziej przyjazny i potulny, i zachęcał do kontaktu cichym nawoływaniem, by ją do siebie przywiązać. A wszystko po to, żeby osiągnąć jeden, najważniejszy cel.

Pole widzenia Vengi było mocno ograniczone po obrażeniach zadanych dziobem jastrzębia, więc ułożył się na dnie klatki tak, by w

pełni wykorzystać zdrowe oko. Dzięki temu zobaczył minę dziewczynki, gdy go ujrzała leżącego niemal bez życia. Zatraskanie przemknęło po jej twarzy i już miała się obrócić, aby szukać pomocy u kogoś z dorosłych, gdy żałosny dźwięk, który wyrwał się z gardła Vengi sprawił, że zatrzymała się w miejscu. Dziewczynce wydawało się, że sroka ją nawołuje. Nawiązanie więzi z dzieckiem - nad czym tak pilnie pracował Venga - wreszcie zaczynało przynosić owoce. Dziewczynka zawahała się przez moment, a potem podeszła do klatki i otworzyła drzwiczki na całą szerokość. Włożyła rękę do środka i delikatnie zaczęła gładzić pióra ptaka. Venga z trudem zachowywał zimną krew.

Jeszcze nie teraz, powtarzał sobie w duchu. Musisz poczekać.

Chwilę później nadzieje Vengi się spełniły - dziewczynka drżącymi rękami sięgnęła do wnętrza klatki, najwyraźniej przestraszona własnym postępowaniem, do którego popychało ją współczucie. Ptak wydał z siebie kolejne boleściwe kwilenie, by utwierdzić ją w słuszności działania. Wówczas mała chwyciła go niezdarnie i wyjęła na zewnątrz.

Teraz, już nieograniczony prętami klatki, Venga zaczął się wyrwać z objęć dziecka. Oswobodził jedno skrzydło, którym zaczął bić z całych sił, i jednocześnie skrzeczał dziko dziewczynce prosto w twarz. Ona, przerażona, odskoczyła w tył i wypuściła Vengę z rąk. Ptak natychmiast zaatakował. Bił skrzydłami po jej głowie, szarpał pazurami za włosy. Długi okres uwięzienia osłabił krążenie w skrzydłach, musiał więc nimi porządnie zatrzepotać przed wzbiciem się w powietrze. Dziewczynka krzyczała i opędzała się od niego rękami. Zdumiony i rozsierdzony tą reakcją Venga zaczął dziobać jej dłoń. Pocięła krew. Ptak nie miał zamiaru ranić dziecka, ale wrzaski, mogące doprowadzić do jego ponownego uwięzienia, sprowokowały

go do ataku. Frunął w górę, zatoczył pętlę i zapikował w stronę małej. Bez trudu przedarł się przez barierę wątych ramion i z całej siły uderzył ją dziobem w twarz, zadając taką samą okrutną ranę, jaką jemu zadała jastrzębica. Krew trysnęła z uszkodzonego oczodołu i dziewczynka padła na podłogę, zasłaniając buzię rękami. Świadomy, że rozdzierający krzyk za chwilę sprowadzi dorosłych, Venga zaczął gorączkowo szukać drogi ucieczki. Wyfrunął przez drzwi, a ujrawszy biegnącego ku niemu człowieka, rzucił się w przeciwną stronę długim, wąskim korytarzem. Na szczęście drzwi do kuchni były otwarte na oścież.

W kuchni także znajdowali się ludzie: chłopiec, który znalazł Vengę, oraz jego matka, właśnie zrywająca się na równe nogi, zaalarmowana krzykami dziecka i gniewnym rykiem męża. Tak bardzo zdumiał ją widok lecącej ku niej, nastroszonej sroki, że nie zdążyła zareagować. Venga natychmiast skorzystał z okazji i w pełnym pe-dzie wyfrunął przez otwarte okno. Był wolny!

Nie zatrzymując się ani na moment, gnał przed siebie, ile sił w skrzydłach. Wiedział, że musi w jak najkrótszym czasie odlecieć jak najdalej od siedzib ludzkich. Strach pchał go do przodu - Venga w każdej chwili spodziewał się usłyszeć huk wystrzału i poczuć uderzenie śmiertelnych kul. Kiedy jednak przeleciał ponad kilometr, wiedział już, że jest bezpieczny. A więc dokonał rzeczy niemożliwej - zdołał zbiec! Teraz mógł wreszcie zwolnić lot. Pokonanie tego krótkiego dystansu kosztowało go wiele wysiłku. Długo przebywał w niewoli - w ograniczonej przestrzeni - i czuł się wyczerpany. Musiał gdzieś przysiąść, żeby odpocząć. Wybrał najwyższą gałąź rosnącej samotnie sosny, by mieć dobry widok na całą okolicę. Wciąż nie był w pełni formy, w każdej chwili mógł więc paść ofiarą ataku. Złożył skrzydła i zaczął się rozglądać za oznakami nadchodzącego niebezpieczeństwa. Szczęśliwie, nic nie wzbudziło jego podejrzeń, mógł

więc w spokoju zastanowić się nad sytuacją.

Nie ulegało wątpliwości, że ojciec dziewczynki urządzi na niego polowanie. Z pewnością zmobilizuje też innych ludzi do pościgu. Wszyscy oni będą dyszeć żądzą zemsty, zabiją go więc bez wahania. W takim razie musi uciekać jak najdalej od swoich prześladowców. Venga po raz kolejny wrócił myślami do Katyi i celu własnej misji. Wyruszając z domu, zamierzał udać się na południe, by odszukać Traskę. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko kontynuować tę podróż - i to bez zwłoki. Tak więc, pomimo zmęczenia, Venga ponownie wzbił się w niebo.

Kiedy już się wydawało, że nie ma nadziei i misja jest skazana na fiasko, oczom Portii i Mickeya ukazał się upragniony widok. Ptak znajdował się jeszcze daleko, ale szybkość lotu i charakterystyczny wykrój skrzydeł nie pozostawiały wątpliwości - to była jaskółka. I do tego frunęła prosto w ich stronę. Portia niemal popłakała się z radości. Wraz z Mickeyem poderwali się w niebo i głośnym ćwierkaniem starali się zwrócić na siebie uwagę. Była to ryzykowna taktyka - ale konieczna. Swoimi krzykami mogli zwabić jastrzębia lub pustułkę - jednak w locie nigdy nie dogoniliby jaskółki, gdyby ich wyminęła. Na szczęście ich wysiłki nie poszły na marne. Jaskółka lekko zoczyła z kursu, zwolniła, po czym przysiadła na drucie telegraficznym i wdzięcznym ruchem złożyła skrzydła.

Portia sfrunęła na pobliską gałąź, by zachować grzecznościowy dystans, a następnie uprzejmie pozdrowiła zaintrygowaną podróżniczkę.

- Witaj, moja droga. Jakże się cieszę, że cię widzę. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?
- Mówisz językiem, który pojmuję bez trudu, nie bardzo jednak

rozumiem znaczenie twoich słów. Dlaczego się cieszysz na mój widok? Czyżbyśmy się znali?

- Wybacz, proszę. Za chwilę wszystko ci wyjaśnię. Mam na imię Portia, a to mój przyjaciel, Mickey. Pochodzimy z Birddom.

Na dźwięk słowa „Birddom”, jaskółka wyraźnie się zaniepokoiła i zamachała skrzydłami, szykując się do odlotu.

- Błagam! Nie uciekaj! - wykrzyknęła Portia. - Przebyliśmy bardzo daleką drogę i strawiliśmy wiele czasu, żeby cię odnaleźć.

Zaciekawiona jaskółka przysiadła na drucie.

- No dobrze - powiedziała. - Na początek zakończmy prezentację. Ja jestem Swoop. Mówicie, że przybyliście z Birddom, a ta nazwa kładzie się mrocznym cieniem na moje serce. Napęlnia głębokim smutkiem. Bo tam właśnie straciłam swojego ukochanego, Bewlę. Wpadł w zasadzkę i został rozszarpany przez bandę gawronów.

- Bardzo dobrze rozumiem twój ból - odparła Portia. - Krukowate zabiły także mojego partnera.

- Ale zostały pokonane i przetrzebione - Mickey nie mógł się już powstrzymać od włączenia do rozmowy. - Birddom jest znowu pięknym miejscem. I wolnym!

- Trudno mi w to uwierzyć - Swoop spojrzała sceptycznie na gila. - Nic nie słyszeliśmy o podobnych wydarzeniach.

- Bo i jak mogliście słyszeć? - spytał rzeczowo Mickey. - Przecież żaden wędrowny ptak nie ośmielił się zbliżyć do naszych brzegów od czasu, gdy sroki i ich kuzyni urosli w siłę.

- Obecnie wszystko się zmieniło - poparła gila Portia. - Dlatego wybraliśmy się w niebezpieczną podróż do Winglandu. Jesteśmy emisariuszami wysłanymi przez Radę z zadaniem poszukania drobnych ptaków, które zachciałyby powrócić z nami do Birddom i tam się osiedlić. Do tej pory nie mogliśmy zrealizować zadania, bo nie

umiemy porozumieć się z ptakami zamieszkującymi te ziemie. Teraz już wiesz, czemu pilnie potrzebna nam pomoc tak wielojęzycznego ptaka jak ty.

- To pojmuję. Nadal jednak nie opuszcza mnie lęk. Może to pułapka - może zostaliście przysłani w charakterze przynęty. Wówczas, jeżeli wam pomogę, wyślę tysiące ptaków na pewną zagładę.

Mickey, oburzony, zamierzał się zachnąć, lecz Portia powstrzymała go surowym spojrzeniem.

- Twoja nieufność, Swoop, świadczy o roztropności. Rozumiem też, że z racji wielkiej osobistej straty Birddom może wzbudzać w tobie strach. I prawdę mówiąc, nie wiem, jak mogłabym cię przekonać o naszej uczciwości. Chyba łudziłam się, że sam mój wygląd wywrze na tobie dobre wrażenie.

- Za pięknymi rysami często kryje się znieprawiona dusza - zauważyła sentencjonalnie Swoop, a Mickey raz jeszcze nastroszył się gniewnie. Ale jaskółka uśmiechnęła się do niego, po czym podjęła temat: - Widzę, że przynajmniej jeden ptak pokłada w tobie całkowitą ufność. Jego lojalność przemawia na korzyść twojej uczciwości, Portio. Wymagasz jednak ode mnie bardzo wiele - trudno komuś zawierzyć, kierując się tak kruchymi przesłankami.

- Rzeczywiście, proszę o bardzo wiele, i nie zamierzam za to przeproszać. Potrzebujemy twojej pomocy jako tłumacza - bez twojego wsparcia nasza misja zakończy się całkowitą porażką. Jednak nie zdołamy namówić innych ptaków do przeprowadzki, jeżeli ty nie powiesz z pełnym przekonaniem, że nasz kraj jest już zupełnie bezpieczny. To błędne koło.

- Wybacz, Portio - wtrącił Mickey - ale chyba wiem, jak rozwiązać ten dylemat. Ty i ja nie jesteśmy wprawnymi podróżnikami. Ale

Swoop spędza większość życia w locie. - Zwrócił się teraz w stronę jaskółki. - Wiem, że takie zadanie byłoby ciężkie nawet dla ciebie, ale ogromnym atutem jest tutaj twoja niezwykła chyżość. - Mickey płatał się nieco, próbując wyjaśnić, co ma na myśli.

Portia jednak w lot pojęła jego intencje.

- Naturalnie. Co za fantastyczny pomysł. Czy rozumiesz, Swoop? Mickey sugeruje, żebyś pofrunęła do Birddom i osobiście przekonała się, że mówimy prawdę. Przysięgam ci, przyjaciółko, że będziesz tam bezpieczna. Mój kraj jest teraz wolny i spokojny. Na jego straży stoi Rada Sów - jej potęga i mądrość. Możesz tam lecieć bez strachu.

- Prosisz mnie o spore poświęcenie - odparła jaskółka po dłuższej chwili. - Ale to rzeczywiście jedyne wyjście. Nie mogłabym stanąć przed innymi ptakami i kłamać. Muszę zobaczyć na własne oczy, jak wygląda sytuacja w Birddom. Co jednak poczniecie podczas mojej nieobecności?

- Możemy robić tylko to, co robiliśmy dotychczas - odparła Portia. - Czekać.

Traska miał już dosyć czekania. Po pierwsze, jego wrony zaczynały się niecierpliwić. I - co ważniejsze - zaczynał się niecierpliwić on sam. Chciał jak najszybciej wprowadzić swój plan w życie. I zyskać władzę. Niczego tak bardzo nie pragnął. Teraz na dodatek miał u boku królową, by rządziła wraz z nim, gdy po obaleniu Rady Sów zostaną zaprowadzone nowe porządki. Z dumą więc opowiedział Katyi o swoich zamiarach.

Katya przeraziła się na myśl o mających nastąpić mordach i okrucieństwach. Sama nigdy nie brała udziału w masakrach dokonywanych swego czasu przez krukowate. A teraz ten niktzemny oprawca - jej najbardziej znienawidzony wróg - stał przed nią i snuł plany kolejnych rzezi. Nie miała jednak wyjścia - musiała się do niego

przyłączyć. Musiała tkwić u jego boku, podsycać jego uczucie do czasu, aż zjawi się Venga i dokona zemsty. Traska, zachwycony jej akceptacją, wkrótce zwołał naradę wojenną. Staął naprzeciwko wroniej hałastry i skinął na Finbara.

- Finbarze, mój przyjacielu. Chodź i stań u mojego boku. Czyż nie jesteśmy równoprawnymi przywódcami w naszym wspólnym przedsięwzięciu? Ja - jako król tego kraju, ty - jako dowódca tej bandy złoczyńców. - Traska urwał, bo z gardeł wron wyrwały się wiwaty i okrzyki radości. - Widzę, że podoba się wam to określenie. Bo w rzeczy samej jesteście złoczyńcami - najnikczemniejszymi w całej historii Birddom. Wieści o waszych wyczynach poniosą się szerokim echem po całym kraju i napełnią strachem serca członków Rady Sów. Nadszedł czas gwałtu i śmierci.

Raz jeszcze stojące naprzeciwko ptaki zaczęły wiwatować.

- Moi bracia, oto, co proponuję.

Był to przedziwny, niespotykany widok. Oddział wielkich wron skradał się wśród zarośli, podchodząc cierpliwie swoje ofiary. Na znak Traski wrony zamaryły w bezruchu i zaczęły nasłuchiwać. Z kępy leżących naprzeciwko krzewów dochodziła kakofonia ptasich tryli i świergotów. Szczygły i zięby obsiadły gałązki i oddawały się wielkiemu, wspólnemu obżarstwu. Dzień był ciepły, przyjemny i ptaki radośnie uwijały się wśród krzaków, zagadując przyjaźnie sąsiadów, zupełnie nieświadome śmiertelnego zagrożenia.

W Trasce obudziła się żądza krwi. Na jego kolejny znak wrony podkrały się bliżej i uformowały pierścień okalający krzewy, które obsiadły małe ptaki. Traska celowo kazał czekać swojej hałastrze, by jeszcze wzmóc w nich łaknienie mordy. W końcu jednak wydał z siebie przeszywający skrzek, który zmroził serce każdego małego ptaka, niczym zwiastun zagłady. W parę sekund wrony rzuciły się na

bezbronnie stworzenia, rozdziobując je na strzępy. Odrzucały martwe szczątki, by znów rzucać się na żywe sztuki. Po chwili krzewy spływały krwią. Masakra dobiegała końca.

Traska poderwał się w górę i przysiadł na wysokiej gałęzi. Sycił oczy okrutnymi obrazami i uśmiechał się pod dziobem. Zachwycone, wiwatujące wrony uformowały poniżej szpaler, by chwilę później rozstać się przed Finbarem trzymającym w dziobie szczygła. Małeńki, barwny ptaszek drżał z przerażenia. Tymczasem Finbar wzleciał na gałąź i położył drobnego ptaka przed Traską na podobieństwo ofiary składanej bóstwu. Tym razem Traska nie zamierzał jednak zabijać jeńca.

Miał ważny powód, by oszczędzić szczygła.

- Nie lękaj się, mały przyjacielu - przemówił. - Nie zamierzam cię skrzywdzić. Prawdę mówiąc, chciałbym cię prosić o przysługę.

Mały ptaszek zatrząsł się na dźwięk głosu Traski, jednak spojrzął z nadzieją w oczy podłej sroki.

- Zrobię wszystko, co rozkażesz, o wielki wodzu.

- Ha, to mi się podoba. Nawet bardzo! - zaśmiał się Traska. - Wyjątkowo trafny tytuł, nie sądzicie?

Wrony potwierdziły ogłuszającym wrzaskiem.

- Cóż, małeńki posłańcu. Będziesz miał zaszczyt przekazać moje słowa panom Birddom. Oznajmisz Radzie Sów, że ja, Traska, rzucał im wyzwanie. Wróciłem i nic ani nikt mnie nie powstrzyma. Poinformuj, jak skończyła się ta dzisiejsza drobna zabawa i powiedz, że zamierzam dużo częściej zażywać podobnej rozrywki. A teraz leć!

Szczygieł przez chwilę siedział bez ruchu, przerażony tym, co usłyszał, a potem wystrzelił gwałtownie w niebo, jakby się bał, że Traska zmieni zdanie i jednak pozbawi go życia. Przez jakiś czas frunął przed siebie na oślep, byle tylko uciec jak najdalej od miejsca kaźni.

Traska miał pewność, że jego przesłanie dotrze do uszu Tomara. A wówczas stary puszczyk nie będzie miał wyjścia. Był taki szlachetny i przewidywalny. Uda się na północ, by osobiście rozprawić się z zagrożeniem wywołanym przez Traskę. Uzna to za swoją powinność. A wtedy Traska zada ostateczny cios i w końcu odniesie długo oczekiwane zwycięstwo.

9.

Członkowie Rady słuchali Tomara z wielką powagą i smutkiem w sercu. A Tomar mówił tak:

- Niektórzy wierzyli, że wraz z naszym zwycięstwem i śmiercią Slyekina mroczne dni Birddom na zawsze odeszły w przeszłość. Mnie jednak wciąż niepokoił fakt, że przez zaniedbanie pozwoliliśmy Trasce wywinąć się od sprawiedliwej kary. Teraz on zamierza doprowadzić mnie do upadku, a nasz kraj do ruiny. Już raz Rada została przywiedziona do desperacji i odwróciła się od potrzeb Birdom. To nie ma prawa więcej się powtórzyć. Znowu zostaliśmy wystawieni na wielką próbę. Nie wolno nam zawieść!

Niepokoi mnie też natura posunięć Traski. Masakra drobnych ptaków była straszna, ale jego siły są niewystarczające, by poważnie zagrozić Birddom. Dlaczego więc nas otwarcie prowokuje? Co się za tym kryje? Nigdy tak bardzo nie potrzebowałem waszej mądrości, przyjaciele. Bo sam nie jestem w stanie zgłębić jego intencji. Do czego zmierza ta zwyrodniała sroka?

Nikt jednak nie kwapił się z odpowiedzią. Żadna z sów nie umiała znaleźć logicznego wyjaśnienia działań i intencji Traski. Nikt nie był w stanie zaprezentować sensownej teorii i w końcu członkowie Rady, sfrustrowani, zaczęli szeptać między sobą. Tomar przywołał wszystkich do porządku.

- Najwidoczniej nie jesteśmy tak mądrzy, jak sądzą mieszkańcy Birddom. Cel prowokacji Traski pozostaje dla nas niezrozumiały. Nie możemy jednak biernie czekać na rozwój wypadków. Musimy ostro zareagować, zanim ten łotr postanowi przekazać nam kolejne krwawe przesłanie. - Twarz Tomara zastygła w zimną maskę gniewu. - Proponuję więc, co następuje. Zrzeknę się czasowo tytułu Wielkiej Sowy, bo w obecnej chwili uważam, że nie jestem go godzien. Nie zamierzam jednak - jak mój przyjaciel Cerival - poddać się desperacji. Przyjmę tytuł z powrotem, gdy na niego zasłużę. Muszę porachować się z Traską. To sprawa osobista. Bo tak naprawdę to mnie Traska rzuca wyzwanie. Z jakiegoś diabolicznego powodu - znanego tylko jemu - prowokuje mnie bezdusznymi mordami i okrucieństwami. Cóż, nadszedł czas, bym się z nim zmierzył.

Po oświadczeniu Tomara zapadła dłuższa cisza, którą przerwał w końcu Isidris.

- Tomarze - powiedział z uśmiechem. - Ze wszystkich tu zgromadzonych, ja znam cię najdłużej. I pamiętam, że zawsze imponowałaś nam zdrowym rozsądkiem. Posłuchaj więc mojej rady. Jesteś mądry, lecz już niemłody. Nie powinieneś reagować pochopnie na czyjeś wyzwanie. Fizycznie nie pokonasz Traski, on natomiast by zatriumfował, gdyby zgładził Wielką Sowę. Pozwól więc, że ja się z nim zmierzę w twoim zastępstwie. Już raz startem się z tą zwyrodniałą sroką i bardzo chętnie powtórzę owo doświadczenie.

- Dziękuję ci, Isidrisie, ale tego ciężaru nie wolno mi zrzucić na cudze barki. I nie lękaj się, przyjacielu. Może jestem stary, ale jeszcze nie postradałem zmysłów. Zapewniam cię, że nie zamierzam wdawać się w bezpośrednią walkę z Traską. Chyba, że będzie to zmaganie intelektualne. Zamierzam przede wszystkim zwrócić się o pomoc do Storne'a i jego orłów. Oni zadbają o moje wątłe ciało. Życzę sobie natomiast, by Rada pozostała tu, w sercu kraju, na wypadek,

gdybym z jakichś względów nie przeżył tej wyprawy. Isidrisie, w moim zastępstwie ty będziesz przewodził Birddom i Radzie.

- A co z twoimi podopiecznymi, Tomarze? Portia powierzyła ci swoje dzieci.

- Zdaję sobie sprawę ze swoich obowiązków względem potomstwa Kirricka - odparł puszczyk. - Postanowiłem, że polecą ze mną na północ, gdzie pozostaną pod opieką orłów, podczas gdy ja wraz z Storne'em ruszymy przeciwko Trasce. Wiem, że każde z was chętnie zaopiekowałby się dziećmi podczas mojej nieobecności, ale też wszyscy macie do załatwienia wiele spraw na własnym terytorium. Poza tym, Merion i Olivia znajdują się pod moją opieką. Dlatego będą mi towarzyszyć w podróży.

Na taką wieść właśnie czekał Traska, chociaż otrzymał ją w wyjątkowo niefortunnym momencie. Od dłuższego czasu planował bowiem rozmowę z Katyą i z wielką starannością przygotował swoją perorę. Gdy dotarło do niego, że zakochał się w tej powabnej samicy, poczuł się jak rażony gromem. Od śmierci matki jedynym celem w jego życiu była dbałość o własne interesy. Do tej pory żaden ptak nie obudził w jego sercu ciepłych uczuć, dlatego czuł się jak odurzony. W swoich planach nigdy nie uwzględniał miłości. Była obca jego naturze i kłóciła się z tym, co robił.

Jednakże miłość mogła stanowić pożądane uzupełnienie jego knowań. Zostać królem, jedynym panem Birddom i mieć u boku tak piękne stworzenie? To wynagrodziłoby mu wszystkie nieszczęścia i porażki, jakich zaznał w życiu. W swoim zadufaniu Traska w ogóle nie dopuszczał myśli, że Katya mogłaby nie odwzajemniać jego uczuć. On ostatecznie przedstawiał sobą wszystko, co najlepsze u sroki. Był dumny, nad wyraz inteligentny, władczy i - jak powtarzał sobie w duchu - należał do wyjątkowo sprawnych kochanków! Czego

więcej Katya mogłaby sobie życzyć? Z pewnością kocha go nad życie! Nie będzie więc dłużej zwlekał - wyzna jej miłość i odkryje przed nią wszystkie szczegóły swojego wielkiego planu.

Zdeprawowanemu Trasce ani przez myśl nie przeszło, że proponuje Katyi udział w nikczemnym posunięciu. Jasno przedstawił jej swoje zamiary i zadeklarował gorącą miłość. Katya przyznała, że odwzajemnia uczucia, i Traska napuszył się z dumy. A potem, gdy akurat zamierzał wyjaśnić, jaką przeznaczył dla niej rolę w swojej diabolicznej intrydze przeciw świętoszkowatej prawomyślności Birddom, na polaną - starannie wybraną przez Traskę na tło gorących wyznań - sfrunęła jedna z wron z ważnym posłaniem. Bez żadnych grzecznościowych wstępów słuźbiście przekazała wiadomość i stała wyprostowana, jakby czekając na dalsze instrukcje lub może podziękowanie. Ten dumny ptak zepsuł subtelny urok romantycznej chwili.

Mimo to Traska wpał w zachwyty. Oto bowiem dostrzeżono samą Wielką Sowę, Tomara przekraczającego granicę wyżynnej krainy w towarzystwie dwóch młodych rudzików. Podły samiec sroki nie mógł sobie wymarzyć wspanialszego rozwoju sytuacji.

- Stary głupiec! - wykrzyknął w radosnej ekscytacji. - Leci wprost w moje siła.

Błysk triumfu w oczach Traski przyprowadził Katyę o lodowaty dreszcz, uśmiechnęła się jednak do niegodziwca, który właśnie odprawiał posłańca. A potem, po chwili milczenia, Traska podjął przerwany wątek i wyluszczył Katyi, czego od niej oczekuje. W pierwszej chwili Katya zamarła z przerażenia - więc jej wróg od początku wiedział, z kim ma do czynienia! Lecz już za moment spostrzegła swój błąd. Ze zdwojoną siłą uderzyła ją natomiast okrutna ironia losu, kryjąca się za planem Traski. Chciał on wykorzystać Katyę w roli przynęty, której - z racji swojej wielkiej dobroci - Tomar nie zdołałby się oprzeć. Katya jeszcze goręcej znienawidziła Traskę za

tę intrygę. Ogarnęło ją też uczucie obrzydzenia do samej siebie. To, co mieli zrobić, było do cna podłe. Przepojone złem. Cóż jednak mogła poradzić? Uczyniłaby wszystko, byle zemścić się na Trasce. A w tej chwili jedyną drogą do celu było współuczestnictwo w jego haniebnych knowaniach. W duchu modliła się o cud - o natychmiastowy powrót Vengi.

Musisz wrócić, najdroższy synku. Ten nikczemnik jest w naszym domu. Sam wpadł w moje objęcia, możemy go łatwo zgłodzić. Wracaj więc, Vengo. Wracaj jak najszybciej.

Obserwowanie nieba stało się nudną, uciążliwą rutyną dla Portii i Mickeya. Ale nie mieli żadnego innego zajęcia i ich frustracja powoli przeradzała się w rezygnację. Niekiedy oboje wątpili, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą Swoop. Ostatecznie, czemu miałyby im pomagać? Nie oferowali jej w zamian nic oprócz długiej i męczącej podróży. Coraz szybciej tracili nadzieję, że jaskółka dotrzyma obietnicy. Jednak nie wyjawiali swoich ponurych myśli w przekonaniu, że wyrażenie ich na głos będzie równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Do klęski jakże ważnej misji.

A kiedy tak siedzieli osowiali i smutni, w pewnym momencie ich uwagę przyciągnął ciemny punkt na jasnym niebie. Serce Portii zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Tymczasem punkt stawał się coraz większy, by w końcu przybrać znajomy, jakże wyczekiwany kształt.

- Swoop! - zawołały oba ptaki z zachwytem, gdy jaskółka zataczała nad nimi krąg.

- Witaj z powrotem, moja droga. Jakże minęła ci podróż? - zainteresowała się kurtuazyjnie Portia, chociaż do gardła cisnęły się jej zupełnie inne pytania.

- Och, ja nie nazwałabym tego podróżą! Dla ptaków mojego gatunku Birddom jest oddalone zaledwie o kilka machnięć skrzydeł!

Cieszę się jednak, że tam poleciałam. Bo przekonałam się, że - zgodnie ze swoją wiedzą - mówiliście prawdę.

Na twarzy Portii pojawił się niepokój i Swoop szybko podjęła temat, żeby uspokoić przyjaciółkę.

- Nie martw się. W Birddom nadal panuje pokój. Tak jak wspominałaś, nad królestwem czuwa Rada Sów. Rozmawiałam z jednym z jej wiekowych członków i potwierdził każde twoje słowo.

- Tomar! - wykrzyknęła radośnie Portia.

- Nie - zaprzeczyła Swoop, a przez jej oczy przemknął cień. - Tomara tam nie było. Powiedziano mi, że udał się na północ.

- Ale dlaczego? - Mickey nie krył zdumienia z powodu nietypowego zachowania starego puszczyka.

Zatroskanie Portii miało bardziej osobisty charakter.

- A co z Merionem i Olivia? Kto czuwa nad moimi dziećmi?

- Poleciały razem z Wielką Sową. Ponoć na północy kraju pojawiły się problemy. Pewien samiec sroki, imieniem Traska, zaczął siać niepokój i Tomar postanowił rozprawić się z nim osobiście.

Swoop dojrzała przerażenie w oczach Portii.

- Widzę, że imię, które wymieniłam, nie jest ci obce.

- Traska to nikczemny ptak, który zamordował mojego ukochanego, Kirricka! - wykrzyknęła Portia. - Nie ma gorszej wieści niż ta, że nadal żyje i wrócił, by nękać Birddom.

Mickey pospieszył ze słowami pociechy.

- Owszem. Traska jest podły. Ale to tylko jeden ptak. Dominacja krukowatych została złamana. Cóż więc może tak naprawdę dziać? Choćby snuł najhaniańbniejsze intrygi, nie zdoła pokonać potęgi Birddom.

- Masz rację - odparła Portia, próbując zagłuszyć niepokój. - Tomar jest mądry. Żadna sroka nie dorówna mu intelektem. Ale moje dzieci! Dlaczego Wielka Sowa naraża je na niebezpieczeństwo? - Trwoga brała nad nią górę. - Mickeyu, musimy wracać do domu!

Nie mogę tu pozostać ani chwili dłużej. Olivii i Merionowi grozi śmierć!

- Portio, twoje matczyne uczucia są doprawdy chwalebne - rzekł gil. - Jednak zdecydowałaś się przyjąć na siebie rolę dużo ważniejszą niż ta, którą przeznaczyła ci Natura. Nie możesz zapominać o potrzebach Birddom. Ale nie lękaj się. To, co powiedziałaś przed chwilą, jest słuszne i prawdziwe. Tomar to wyjątkowo mądry ptak. Nigdy nie naraziłby życia dzieci tak sławnej w kraju pary. Ciesz się, że Merion i Olivia są u jego boku. O wiele bardziej bym się przejmował, gdyby było inaczej.

Portię nieco uspokoiły słowa przyjaciela.

- Co ja bym bez ciebie poczęła, Mickeyu? Naturalnie, masz rację. Przede wszystkim muszę wypełnić swój obowiązek względem tych, którzy okazali mi zaufanie. Czas zapomnieć o troskach i zawieźć rozsądkowi Tomara. Nic złego nie spotka dzieci, jeżeli on będzie nad nimi czuwał.

10.

Lot na północ był długi i wyczerpujący - szczególnie dla tak młodych, niedoświadczonych ptaków. Ale entuzjazm Olivii i Meriona był zaraźliwy, więc podróż zdawała się upływać szybko. W czasie drogi Tomar opowiedział rudzikom o heroicznym wyczynach ich ojca, co napawało małe ptaszki radością i dumą. I pomyśleć, że teraz same podążały jego śladami - i jednocześnie zbliżały się do rodzinnych stron matki. To wszystko było bardzo ekscytujące.

Merion i Olivia dzielnie frunęli ponad górami i kotlinami, zachwyceni pięknem tej krainy i podnieceni czekającym ich spotkaniem z orłami! Oba ptaszki doskonale pamiętały, jak wielkie wrażenie wywarł na nich Storne podczas zebrania Rady. Nigdy wcześniej nie widziały ptaka o tak monarszej dostojności. A teraz miały go odwiedzić w jego górskim królestwie!

- Jak daleko jeszcze do podniebnego gniazda Storne'a? - zainteresował się Merion.

- Z pewnością nie zdołamy dotrzeć tam przed zmierzchem - odrzekł Tomar. - Dlatego czas, byśmy się rozejrzeli za odpowiednim miejscem na nocleg. Miejcie, dzieci, oczy szeroko otwarte i nie wahaście się zawołać, gdy ujrzycie coś godnego uwagi.

Ledwo Tomar wypowiedział te słowa, a rozległ się krzyk Olivii. Mała samiczka rudzika dostrzegła bowiem srokę i przeraziła się na myśl, że mógłby to być podły Traska we własnej osobie. Tomar szybko powędrował wzrokiem za jej spłoszonym spojrzeniem i zobaczył że niedaleko rzeczywiście znajduje się sroka, która jednak w niczym nie przypominała Traski.

Była to samica przedstawiająca sobą obraz nędzy i rozpacz. Miała zmierzwione, zmatowiałe od potu pióra i leżała na gołej ziemi, nie zważając na grożące jej w związku z tym niebezpieczeństwa. Tomar zakrzyknął na rudziki, by podążały za nim, po czym opadł na jedną z niższych gałęzi drzewa, sięgającą niemal do miejsca, gdzie znajdowała się sroka. Wciąż żyła, tego Tomar był pewien, bo gdy znajdował się jeszcze wysoko na niebie dojrzał niemrawe ruchy sroki.

Teraz dobiegły go szlochy samicy i wzbudziły współczucie dla udręczonego ptaka. Wróg czy nie wróg - ta sroka znalazła się w potrzebie, należało jej więc pomóc. Tomar nakazał rudzikom, by nie ruszały się ze swojej gałęzi, sam zaś sfrunął i wylądował nieopodal nieszczęsnej. Samica spojrzała wprost w jego nieruchome oczy, a w jej wzroku było tyle bólu, że Tomara aż ścisnęło z żalu serce. Stary puszczyk nie miał wątpliwości, że spotkało ją coś strasznego. Ruszył powoli w jej stronę, przemawiając przy tym kojącym głosem.

- No, już, już. Spróbuj się opanować. Jesteś bezpieczna. Nic ci tu nie grozi. Nie skrzywdzę cię, chciałbym natomiast pomóc.

Tomar spoglądał łagodnie na srokę, a w jej oczach wciąż widać było cierpienie i udrękę.

- Co mógłbym dla ciebie zrobić? Powiedz mi, co ci dolega? Mam na imię Tomar i jeśli zechcesz, chętnie będę ci przyjacielem. Czy stało ci się coś złego?

Zanosząc się szlochem, sroka rozpoczęła opowieść. Była to wstrząsająca historia. Tomar szybko się zorientował, że szokujące

detale wprawia w przygnębienie jego podopiecznych. Olivia już płakała, słysząc, że tej pięknej samicy została wyrządzona krzywda. Ale dopiero na dźwięk imienia „Traska”, stary puszczyk zdecydował się na radykalne posunięcie.

- Wstrzymaj się chwilę, moja droga. Muszę coś załatwić. Za chwilę wrócę i wówczas wszystko opowiesz mi do końca.

Tomar wbił się na gałąź, na której siedziały rudziki. Nakazał im nie ruszać się z miejsca i spokojnie czekać na jego powrót.

- Będę niedaleko - zapewnił.

Po czym raz jeszcze sfrunął na ziemię i pomógł się podnieść poturbowanej samicy.

- Oddalmy się kawałek. Twoja historia jest nie dla wszystkich uszu.

Powiedziawszy to, Tomar powiódł srokę ku pobliskim krzewom, by znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu Meriona i Olivii. Tam usadził ją na podściółce z miękkich liści i mchu i poprosił, żeby podjęła opowieść.

Była tak straszna, jak się obawiał. Młoda samica została okrutnie zgwałcona przez Traskę, o czym opowiedziała ze wszelkimi szokującymi szczegółami. Traska nie mógłby sobie wymarzyć lepszego przedstawienia. Bo chociaż wymyślił tę historię, by odciągnąć Tomara od jego podopiecznych, to przecież wydarzyła się ona naprawdę, rozpacz i udręka Katyi były więc jak najbardziej szczerze. Podobnie jak łzy. I strach, który na zawsze naznaczył jej życie.

Tomar sam miał ochotę się rozpłakać i odlecieć jak najdalej, by nie słuchać już dalszego ciągu przykrej opowieści. Ale coś trzymało go w miejscu. Ta samica gwałtownie potrzebowała pomocy.

Krzyki Olivii wdarty się w jego umysł niczym ostre sztylety. Tomar zbyt późno zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę. Wiedziony współczuciem dla siedzącej przed nim sroki, dał się odciągnąć

od dzieci. Jakże mógł być takim głupcem! Spojrzał Katyi prosto w oczy i zadał tylko jedno pytanie: Dlaczego? Nie czekał jednak na odpowiedź, choć w głębi serca wiedział, że już i tak może być za późno na ratunek dla rudzików. Mimo to szybko poderwał się w powietrze. Natychmiast z wielu stron opadło go kilka dużych, groźnie wyglądających wron i chwilę później stary puszczyk walczył już o życie. Ale po gwałtowności pierwszego uderzenia wrony przypomniały sobie o rozkazach i zadowolily się trzymaniem Tomara z dala od swojego wodza.

Tomar nie byłby w stanie pokonać tak znacznej liczby równie silnych przeciwników, wdzięczny był więc losowi za chwilę wytchnienia. Niemniej ogarnęła go straszna frustracja, a serce ścisnął strach o dzieci. Co się z nimi działo? Jaką podłość szykował przeciwko nim ten niegodziwiec, Traska? Bo dla Tomara nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że za zdradziecką napaścią kryje się zdeprawowany samiec sroki.

Krzyki rudzików zaczęły słabnąć, a po chwili umilkły całkowicie. Tomar, obawiając się najgorszego, ze zdwojoną siłą rzucił się do walki. Jego wojowniczość zelektryzowała wrony. Przekonane, że Traska urzeczywistnił swój plan, postanowiły się wreszcie zabawić. Puszczyk znowu walczył o życie. Wrony atakowały go bez pardonu, i wkrótce został całkowicie otoczony przez kłębowisko twardych mięśni i ostrych dziobów. Nie minęło wiele czasu, a był skąpany we własnej krwi.

A więc nadszedł mój koniec, pomyślał. Od jakiegoś czasu Tomar rozmyślał o tym, jak będzie wyglądać jego śmierć. Ale czegoś podobnego nie przewidział. Umieranie w poniżeniu było dla niego nie do przyjęcia.

Jeżeli mam dzisiaj dokończyć żywota, moja śmierć będzie chwalebna. Wybaczcie mi moi mali przyjaciele. Zawiodłem was, naraziłem na wielkie niebezpieczeństwo. Wybacz mi Portio. Wybacz Kirricku. Wkrótce się połączymy, drogi przyjacielu!

Traska nienawistnie dziobał rudziki po nogach. Jak większość ptaków swego gatunku, były czupurne w obliczu zagrożenia. Ich serca jednak drżały z przerażenia. Ostatecznie to był sam Traska! Okrutny, podły samiec sroki, który zamordował ich ojca. A teraz Olivia i Merion znaleźli się na łasce tego łotra, chociaż prawdę mówiąc, akurat na łaskę nie liczyli za bardzo.

Na razie wciąż jeszcze żyli. Kiedy zostali napadnięci przez Traskę i cztery inne ptaszyska, najgroźniejsze, jakie kiedykolwiek widzieli, mogli mieć tylko nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko. Ale najwyraźniej Traska miał inne plany. Nie zamierzał ich natychmiast zabić - choć wrodzone okrucieństwo pchało go do ciągłego zadawania bólu dwójce małych nieszczęśników.

- Czemu tak nas traktujesz? - wykrzyknęła dzielnie Olivia, z trudem tłumiąc łzy. - Przecież nie uczyniliśmy ci nic złego. I w ogóle, co zamierzasz z nami zrobić?!

- Tyle pytań naraz! - Traska wykrzywił się pogardliwie i dziobnął drobną samiczkę w skroń. - Rozprawmy się z nimi po kolei, dobrze? Czemu tak was traktuję? Bo mogę, ot co. Ponieważ nie ma w tym królestwie nikogo, kto byłby zdolny mnie od tego powstrzymać. Nie uczyniliście mi nic złego? To prawda, przyznaję. Macie jednak nieszczęście wywodzić się od ptaka, który robił, co mógł, żeby pokrzyżować moje życiowe plany. Miał pecha - nie był godnym mnie przeciwnikiem. A co zamierzam z wami zrobić? Kolejne dobre pytanie. Mógłbym na przykład was zjeść. Ale nie. Chyba nie macie mnie aż za takiego potwora? Mógłbym też się z wami zabawić, chociaż nie jestem pewien, czy zagustowałibyście w moich rozrywkach. Ale mogę też zatrzymać was w charakterze swoich ulubionych zwierzątek, jak to robią ludzie. I wiecie co? Tak właśnie zrobię! Będziecie moimi pupilami do czasu, aż zjawi się stary wujcio Tomar i zaoferuje mi w zamian coś innego. Coś, na czym dużo bardziej mi zależy!

Traska wybuchnął wysokim, histerycznym śmiechem, zdradzającym ogarniające go szaleństwo. Był już tak blisko celu! Porywając rudziki, zyskał przewagę nad Tomarem - wreszcie miał go czym do siebie zwabić. Bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że stary puszczyk zrobi wszystko, zdobędzie się na każde poświęcenie, byle tylko zapewnić tym młodym ptakom bezpieczny powrót do domu.

Tomar powoli, boleśnie odzyskiwał świadomość. W pierwszej chwili zdziwił się, że nadal żyje. Wkrótce jednak dotarło do niego, że Traska robi wszystko, by przysporzyć mu jeszcze wielu upokorzeń, zanim ten koszmar dobiegnie końca. Osłabiony utratą krwi, zataczając się na nogach, puszczyk zaczął przemierzać okolicę w poszukiwaniu śladu rudzików. W pewnej chwili dojrzał dwa małe szkielety i ogarnęła go rozpacz. Ale szybko uświadomił sobie, że są to szczątki od dawna już nieżyjących ptaków, poza tym szkielety nie odpowiadały kształtom ciała rudzików. Smutek więc ustąpił miejsca gniewowi, że Traska z wyrachowanym okrucieństwem umieścił tutaj te żalosne szczątki, by on, Tomar, się na nie natknął.

W końcu stary puszczyk przestał się miotać i usiadł, żeby w spokoju przemyśleć sytuację. Jeżeli dzieci żyły - a na to wskazywałby ten okrutny żart ze szkieletami - to znaczy, że Traska je uprowadził. Ale po co? Czego chciała ta nikczemna sroka? Potęga krukowatych została zmiażdżona w czasie Wielkiej Bitwy. Z pewnością Traska nie był aż tak obłąkany, by łudzić się, że zdoła doprowadzić do ponownej dominacji srok w Birddom?

A w takim razie, jaki osobisty cel mógł mu przyświecać? Czyżby nienawiść do wszystkich rudzików po przeżyciach z Kirrickiem? Jeżeli tak, dzieci były zgubione. Tomar jednak nie zamierzał tracić nadziei. Bo nic oprócz niej mu nie pozostało. Musiał wierzyć, że Merion i Olivia żyją i pozostaną przy życiu przynajmniej do czasu,

aż Traska wypełni swoje diaboliczne plany.

Tomar rozłożył skrzydła, nie zważając na ból.

Myśl, stary głupcze! Myśl! Traska pochwycił Meriona i Olivię w swoje szpony. Co można zrobić, by ich uwolnić?

Chociaż stary puszczyk usilnie wyęczał umysł, nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Nie miał żadnego pomysłu, nie doznał przebłysku geniuszu. Czuł się stary i zmęczony. Co gorsze, czuł się całkowicie bezużyteczny! Opadła go czarna chmura zwątpienia, dławiąca nadzieję. Z wielkich oczu popłynęły łzy i, niezauważone, rozprysły się na pierzastej piersi.

Ale jednocześnie odezwał się głos rozsądku - początkowo nieśmiały, lecz wyjątkowo natarczywy.

Nie poddawaj się. Nie wolno ci się poddać. Jesteś jedyną nadzieją Meriona i Olivii. Musisz wymyślić jakiś sposób, by ich ocalić.

Był to głos cichy - głos wyczerpanego umysłu. Niemniej - wyrażał fundamentalną prawdę. Tomar energicznie pokiwał głową, po czym gwałtownie uniósł się w powietrze. Pokiereszowane ciało zgłaszało sprzeciw, puszczyk jednak ignorował ból, wzbijając się coraz wyżej - ponad wierzchołki drzew, ku krystalicznie czystemu niebu. Od razu skierował się w stronę majaczących w pobliżu gór. Potrzebował pomocy i przyjacielskiej rady. Potrzebował Storne'a.

11.

- Przyjaciele! Dziękuję, że się tu dziś zjawiliście - powiedziała Portia nieznacznie drżącym głosem.

Otaczali ją przedstawiciele rozlicznych drobnych ptaków, którzy zebrali się w tej winnicy, by jej wysłuchać. Tuż obok siedziała Swoop, pilnie tłumacząc każde zdanie. Jaskółka poprzedniego dnia niestrudzenie kontaktowała się z przedstawicielami rozmaitych gatunków ptaków, by stawiły się na to niezwykle ważne spotkanie. Portia zaczerpnęła głęboki oddech, by uspokoić nerwy.

- W Birddom przeżywaliśmy niedawno mroczne czasy terroru. Nie zamierzam was okłamywać. Jestem przekonana, że wszyscy słyszeliście, jak krukowate doszły do władzy i przypuściły morderczy atak na wszelkie drobne ptaki. Złe wiadomości roznoszą się najszybciej, jak głosi porzekadło. Ale i dobre wieści powinny być rozprzestrzeniane w równie szybkim tempie. Staję dziś przed wami, by przekazać dobre nowiny. Przepojone okrucieństwem panowanie srok dobiegło końca. Potęga krukowatych została zmiażdżona. Birddom jest ponownie spokojną krainą. Jeżeli nie wierzycie moim słowom, możecie zapytać Swoop. Czyż nie mówię prawdy? Czyż nie widziałś tego na własne oczy?

Jaskółka potakiwała energicznie, a zebrany tłum witał pomrukiem aprobaty owe pokrzepiające wieści.

- Krukowate nie stanowią już zagrożenia w Birddom. A ponieważ sroki czy gawrony mieszkające w Winglandzie nigdy nie zostały zarażone szaleńczymi, nikczemnymi ideami Slyekina, zapewne trudno wam pojąć, do jakich spustoszeń doszło w naszym królestwie. Pod tyrańskimi rządami tysiące, dziesiątki tysięcy ptaków postradało życie.

Portia ze smutkiem w oczach rozejrzała się po otaczających ją twarzach.

- Bestialstwo srok pozbawiło Birddom wielu cennych okazów. Ale przed wami i waszymi bliskimi otworzyła się cudowna szansa. Birddom w czasach pokoju jest przepiękną krainą. Teraz niestety krainą milczącą, w której nie słychać ptasich śpiewów. Bardzo pragniemy, byście wypełnili tę ciszę. Proszę więc, udajcie się do swoich znajomych i krewnych, i opowiedzcie im o Birddom. Przekonajcie, że mogą tam stworzyć sobie nowe, wspaniałe życie, jeżeli tylko zechcą. Czekają na was gościnne królestwo. Bogate, ale opustoszałe. Birddom potrzebuje drobnych ptaków, by na nowo zasiedliły drzewa i krzewy, rozległe pola i okalające je żywopłoty. By tchnęły w nasz kraj nowe życie.

Pełna pasji przemowa Portii poruszyła serce każdego obecnego tu ptaka. Chociaż Swoop musiała tłumaczyć jej słowa, wszyscy wyczuwali siłę jej emocji i byli wzruszeni. Przez chwilę znajdowali się pod wielkim urokiem samiczki rudzika. Ale czar prysł, gdy pewien paszkot zadał proste pytanie, niweczające wszelkie nadzieje Portii.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

Portia nie potrafiła udzielić żadnej logicznej odpowiedzi. Mogła jedynie powołać się na głęboką miłość do swojej ojczyzny. Czemu jednak te ptaki miałyby opuszczać własne wygodne, bezpieczne

domy i rozpoczynać życie na nowo w jakimś obcym kraju? Jakim argumentem zdołałaby je do tego przekonać? Tutaj nic im nie groziło. Birddom natomiast miało reputację śmiertelnie groźnego miejsca dla wszystkich drobnych ptaków. Ona może przekonywać, że teraz jej kraj jest bezpieczny. Zgromadzeni mogą jej nawet uwierzyć. Ale przecież nie zapewni im niczego, czego by już nie mieli.

Pytanie paszkota wciąż dźwięczało jej w uszach. Prawda była nieubłagana: Birddom potrzebowało tych ptaków, one jednak nie potrzebowały Birddom. Ta opinia zaczęła szerzyć się wśród tłumu z prędkością błyskawicy. Swoop starała się przetłumaczyć całą dyskusję, ale tak naprawdę nie musiała tego robić. Portia widziała, że poniosła porażkę. Mickey otoczył ją skrzydłem, ale i to nie przyniosło ukojenia. Nagle opuściły ją siły, opuścił ją zapach. Odwróciła się. Nie chciała patrzeć, jakim fiaskiem kończy się jej misja.

Swoop tymczasem zaklinała zgromadzone ptaki, by wzięły sobie do serca słowa Portii i przestały się kierować jedynie egoistycznym interesem. Mimo to, powoli, tłum zaczął się przersedzać. Co rusz któryś z ptaków podrywał się w powietrze i kierował ku swojemu domostwu, mamrocząc: Birddom może nas potrzebuje. My jednak nie potrzebujemy Birddom.

Portia, Mickey i Swoop siedzieli z żalonymi minami, a ich nadzieje gasły wraz z odtruwającymi ptakami. Nic więcej nie mogli zrobić. Portia wywiązała się z zadania emisariuszki Birddom. Nikt inny na jej miejscu nie zdołałby osiągnąć więcej, zagwarantować innego rezultatu. Misja pięknej samiczki dobiegła końca. Do tej pory tłumiła lęk o dzieci, przedkładała potrzeby Birddom nad macierzyńskie uczucia. Ale teraz, gdy spełniła obowiązek - chociaż nie osiągnęła celu, o jakim marzyła - nadszedł czas, by lecieć do domu. Niepokój, jaki wzbudziły w jej sercu wieści przyniesione przez Swoop,

powrócił ze zdwojoną siłą i Portia nie mogła go już dłużej ignorować.

- Cóż, Mickeyu. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Nadeszła pora, bym pomyślała o sobie. O Merionie i Olivii. Moje miejsce jest u ich boku. Chcę wracać. - Kiedy spojrzała na przyjaciela, w jej oczach błyszczały łzy. - Proszę cię! Nie trwómy więcej czasu. Dzieci mnie potrzebują. A i ja już bardzo do nich tęsknię!

Gil chciał nakłonić Portię, by podjęli jeszcze jedną próbę przekonania mieszkańców Winglandu do przeprowadzki, kiedy jednak zdał sobie sprawę z desperacji przyjaciółki, zrezygnował ze swojego pomysłu.

- Dobrze, Portio. Rano wyruszmy w drogę. Teraz należy nam się trochę snu.

Pożegnali się ze Swoop, dziękując jej za podjęty trud, a jaskółka obiecała, że niedługo odwiedzi Birddom. Rozstali się więc w wielkiej przyjaźni. Mickey objął Portię skrzydłem i oboje się przyglądali, jak sylwetka jaskółki niknie na ciemniejącym niebie.

To była narada wojenna. Orły, pod przewodnictwem Storne'a, zebrały się, by wysłuchać Tomara. Siedziały bez ruchu, niczym skalne szczyty tworzące ich górskie siedliska, podczas gdy stary puszczyk opowiadał o bezecnym postępku Traski. Na myśl o niebezpieczeństwie, grożącym potomstwu Kirricka, orły ogarnął potężny gniew. Tomar wciąż był zagubiony i przybity. Świadomość, że nie zdołał obronić swoich podopiecznych, bardzo mu ciążyła. Pod wpływem przygnębienia zapadł się w sobie, a jego starcze ciało zdawało się wiotkie niczym jesienny liść.

Storne postanowił pocieszyć przyjaciela.

- Tomarze. Jesteś Wielką Sową, przywódcą całego Birddom. Wielokrotnie dałeś dowód swojej mądrości i wielkości. Na ciebie też

spada obowiązek podejmowania decyzji mających wpływ na los wszystkich ptaków. Teraz zdaje ci się, że dokonałeś złego wyboru i lękasz się o jego konsekwencje. Nie wolno ci jednak wątpić we własną wartość, Tomarze. Z pewnością wkrótce znajdziesz sposób na rozwiązanie problemu. Bo jeżeli nie ty, to kto?

- Dziękuję, Stornie, mój drogi przyjacielu - odrzekł puszczyk, prostując się, jakby w końcu sobie przypomniał, kim jest i co sobą reprezentuje. - Ale słowa, nawet najżyczliwsze, nie sprowadzą do nas bezpiecznie młodych rudzików. Musimy obmyślić plan ich uwolnienia. I to jak najszybciej. Stornie, wyślij swoich zwiadowców, by wytropili kryjówkę Traski - z pewnością będzie to sprytnie wybrane, warowne miejsce. I doskonale strzeżone. Nie wolno nam też zapominać, że siła i wrodzona brutalność towarzyszących Trasce wron, czynią z nich groźnych przeciwników. Poza tym - w odróżnieniu od sławnej Wielkiej Bitwy - nie będzie już elementu zaskoczenia. Traska wie, że się zjawimy. Zaplanował to spotkanie i dobrze się na nie przygotował. My musimy postąpić tak samo. Wyślij więc zwiadowców, mój przyjacielu. Do ich powrotu będziemy się zastanawiać, jak zwalczyć zło.

Raport zwiadowców potwierdził wszystkie najgorsze obawy Tomara. Kryjówka Traski była praktycznie nie do zdobycia z powietrza. Naturalnie, frontalne uderzenie orlich batalionów doprowadziłoby do klęski zbójckiej bandy wron, nie obyłyby się jednak bez wielu śmiertelnych ofiar po stronie atakujących. Tomar i Storne rozważali wszelkie możliwe warianty uderzenia na kryjówkę Traski, zawsze jednak dochodzili do jednego wniosku: gdy tylko podejmą wojenną akcję, rudziki stracą życie. A stary puszczyk nie mógł zaakceptować podobnego rozwiązania, nawet jeśli oznaczało ono jednocześnie unicestwienie podłego samca sroki.

- Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że dzieci nadal żyją. Traska nie zadawałby sobie tak wiele trudu, jeżeli chciałby tylko zgładzić potomstwo Kirricka. Jest o wiele bardziej perfidny. Młode rudziki są pionkami w jego diabolicznej grze. Kartą przetargową, którą zagra, by uzyskać to, na czym najbardziej mu zależy.

Storne spojrział w wielkie, smutne oczy przyjaciela.

- A czy wiesz, czego on chce?

- Nie mam pewności. Ale podejrzewam, że zamordowanie Meriona i Olivii nie jest jego głównym celem. Biorąc pod uwagę, jak bardzo mnie maltretuje psychicznie swoimi knowaniami, sądzę, że przede wszystkim zależy mu na mojej śmierci.

- Nie wolno nam do tego w żadnym razie dopuścić. Wówczas triumf Traski byłby całkowity - powiodłoby mu się to, co nie udało się Slyekinowi. Nie możemy pozwolić, by zyskał poczucie zwycięstwa. - W oku Storne'a pojawił się złowrogi błysk.

- Ten wybór nie należy do ciebie - napomniał Tomar surowym tonem. - Sam będę decydował o własnym losie. Jestem już stary i gotów umrzeć, jeżeli dzięki temu Birddom czekałaby lepsza przyszłość. Chętnie też wymienię swoje stare kości na wolność dla młodych rudzików.

- Ależ to szaleństwo! - wykrzyknął Storne. - Dobrze wiesz, że nie można ufać tej zdegenerowanej sroce. Jeżeli oddasz się w jej szpony, do nieuniknionej śmierci dzieci dołożysz własną.

- Mój przyjacielu, nikt z nas nie uniknie śmierci - odparł Tomar łagodnym głosem. - Każde stworzenie powinno jednak umierać wtedy, gdy tak zdecyduje Natura, nigdy wcześniej. Nie zamierzam się poświęcać w pustym geście. Zrobię jednak wszystko, by uwolnić dzieci Portii, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować. Musimy się zastanowić, jak to najlepiej zrobić. A nie mamy zbyt wiele

czasu. Jestem pewien, że wkrótce Traska się z nami skontaktuje. Z pewnością dojrzał naszych zwiadowców. Nie próbował też zamaskować przed nami swojej kryjówki. Przypuszczam, że sam polecił wronom, by ukazały się twoim orłom. Sądzę, że chciał nas sprowokować do pochopnego działania. Teraz wie, że czekamy na jego ruch. To mile łechce jego próżność. Daje mu poczucie władzy. Miejmy nadzieję, że zgubi go własna arogancja. Tak czy owak musimy czekać, aż Traska określi swoje warunki.

Merion i Olivia tulili się do siebie, by nawzajem dodać sobie otuchy. Przerazał je ten sadystyczny samiec sroki, czerpiący niezrozumiałą przyjemność z dręczenia ich i zadawania im cierpienia. Jednym, zdecydowanym ciosem potężnego dzioba złamał Merionowi nogę. Ból był straszny, ale młody rudzik zdołał powstrzymać łzy.

- Proszę, proszę! Ależ dzielny z ciebie ptaszek! - ironizował Traska. - Bohater w każdym calu. Tak samo jak tatko - świętej pamięci Kirrick Wspaniały.

W oczach Olivii pojawił się gniew.

- Nasz ojciec był prawdziwym bohaterem! - wykrzyknęła zapalczywie. - W każdym razie ciebie pokonał, czyż nie?

Traska trzepnęła ją z całej siły skrzydłem w głowę.

- Mnie nikt nigdy nie pokonał! - wrzasnęła na całe gardło. - A już z całą pewnością nie Kirrick. Ostatecznie to on jest martwy!

- Owszem, podstępnie zamordowany przez ciebie, oprawco!

- Ja wolałbym słowo „egzekucja”. Bo wasz ojciec zasługiwał na śmierć. O jeden raz za dużo spróbował wejść mi w paradę. Podobnie jak ten przeklęty puszczyk Tomar. Ale czy mnie pokonał? W żadnym razie! Mylicie mnie z tym głupcem Slyekinem. A jego plany nie pokrywały się z moimi. Były zbyt megalomańskie. Nierealistyczne. Wizjonerzy marnotrawią władzę. Ja jestem bardziej praktyczny.

Moje pragnienia są proste. Żyję dla zemsty. To najwspanialsza potrawa. Zemściłem się na waszym ojcu. Teraz odpłacę pięknym za nadobne jego mentorowi. Już ja pokażę Tomarowi, kto jest prawdziwym władcą Birddom!

12.

Rodzinny kraj powitał Portię i Mickeya zimnem i niepogodą. Szary całun chmur spowijający tego świtu Birddom idealnie odzwierciedlał ponury nastrój gila i samiczki rudzika. Przygnębieni niepowodzeniem misji, czuli jednocześnie niewytłumaczalną potrzebę jak najszybszego dotarcia do domu, nie wstąpili więc do Krakena, by podzielić się nowinami tylko, ominąwszy klify, pomknęli jak strzała przed siebie.

Z relacji Swoop wynikało, że w czasie pobytu w Birddom rozmawiała z Isidrisem, sową śnieżną. Tomar musiał go więc poprosić, żeby pozostał w sercu kraju, gdy on sam ruszył na północ stawić czoło zdradzieckiemu Trasce. W takim razie to Isidrisa będą musieli poinformować o fiasku misji i u niego szukać mądrych wskazówek. Rada Sów zapewne niecierpliwie wyczekiwała wieści, choć niewątpliwie miała nadzieje usłyszeć lepsze nowiny. Oba ptaki wypoczęły w trakcie przeprawy promowej, nie były więc fizycznie zmęczone. Ale za to czuły się wyczerpane pod względem emocjonalnym. I tylko najwyższym wysiłkiem woli Portia i Mickey pokonali ostatnie kilometry dzielące ich od polany, na której zwyczajowo zbierała się Rada. Czekał tam na nich Isidris.

Tego wieczoru nadzwyczaj wcześniej wybrał się na łowy, jakby przeczuwał, że lada chwila powrócą emisariusze i będą go potrzebować. Powitał podróżników z wielką kurtuazją, donośnym głosem, lecz oni odpowiedzieli na powitanie ze zwieszonymi głowami. Isidris starał się, jak mógł dodać im animuszu.

- Szczęśliwie znów się spotykamy, przyjaciele. Czemu tak smutno puszczaliście głowy? Czyżby lada chwila miał nas nawiedzić koniec świata? Nie zapominajcie, że już w swoim życiu przeciwstawiliśmy się mrokom zła i starliśmy je na proch.

Portia, ze łzami w oczach, odpowiedziała Isidrisowi pytaniem:

- Czyż nie jest prawdą, że jeden z tych, co ściągnęli na nas ów mrok, wciąż żyje i teraz może zgładzić moje dzieci tak, jak zgładził ich ojca?

- Nie zamartwiaj się, moja droga. W porównaniu ze Slyekinem i jego bestialskimi planami, zagrożenie, jakie niesie ze sobą Traska, jest praktycznie żadne.

Gniew, z jakim Portia zareagowała na te słowa, zdumiał Isidrisa.

- Jak możesz opowiadać podobne rzeczy? Ta sroka jest ucieleśnieniem wszelkiego zła i tak długo jak pozostaje przy życiu, Birdom nie będzie bezpieczne. Zaraza z jednego sparszywiałego owocu może się przenieść na całe drzewo. A poza tym, jak śmiesz mówić mi, że śmiertelne zagrożenie dla moich dzieci można tak lekce sobie ważyć!

- Wybacz, Portio. Nie to miałem na myśli i w żaden sposób nie chciałem cię urazić. Poczytuję sobie za wielki honor, że dane mi było poznać Kirricka i nie zrobiłbym niczego, czym w jakikolwiek sposób mógłbym uchybić jego pamięci.

- Tak, wiem, Isidrisie. To z powodu frustracji i zmęczenia jestem taka drażliwa.

- W takim razie odpocznij. Porozmawiamy później. Wiem, że już nie możesz się doczekać spotkania z Merionem i Olivią, potrzeba

ci jednak nowych sił, żeby odbyć daleką podróż na północ.

Usiedli do rozmowy kilka godzin później.

- A teraz zdajcie relację z podróży - poprosił Isidris. - Rozumiem, że przygoda w Winglandzie nie przebiegła zgodnie z naszymi oczekiwaniami?

- Zawiedliśmy na całej linii - odparła przygnębiona Portia.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki tego pewien, moja droga. Posialiście ziarno, które jeszcze może wykiełkować. Poza tym, żaden inny żyjący na ziemi ptak nie osiągnąłby większego sukcesu od ciebie. Jeżeli Stwórca w swojej mądrości uznał, że twoja misja ma się zakończyć inaczej, niż zakładaliśmy, musimy poczynić inne plany na przyszłość. Niewykluczone, że nasze nadzieje nie ziszczą się przez kilka kolejnych pokoleń, i że wszyscy będziemy od dawna martwi, gdy podjęte starania wydadzą owoce. Nie potrafię przewidzieć wszystkiego. Nie mam daru danego Tomarowi. Zapewne dlatego to on jest Wielką Sową, a ja zaledwie jednym z jego żołnierzy.

- Czemu tak mówisz? - zachnęła się Portia, poruszona jego autoironią. - Wszyscy członkowie Rady są otoczeni w całym królestwie najwyższą czcią. Nie wolno ci wątpić w swoją przydatność dla Birdom. Jest stokroć większa niż moja.

- Zawstydzasz mnie swoją wielkoduszością, Portio. Nie ma jednak sensu spierać się o to, czyje życie ma większą wartość dla naszego królestwa. Zgódźmy się, że oboje jesteśmy niezbędni dla jego szczęśliwej przyszłości i że gdy zejdziemy z tego świata, Birdom starci wiele ze swojej potęgi.

Pomimo przygnębienia i dręczącego ją niepokoju, Portia wybuchnęła śmiechem. Dobrze było choć na moment zrzucić ciężar z piersi, a wesołość podziałała zbawiennie na jej ducha. Po chwili spojrzała na Isidrisa z błyskiem zadzierzystości w oczach i samiec sowy bardzo się ucieszył, że w Portii drzemie wciąż tak wielka dzielność. Bo

będzie jej potrzebowała w nadchodzących tygodniach.

- Miejmy nadzieję, że jeszcze nieprędko pożegnamy się z tym padołem - podjął Isidris. - Tymczasem mamy do rozwiązania ważne problemy. Przed tobą kolejna podróż, ale nie lękaj się, moja droga. Nie będziesz sama. Wiem, że Mickey poleciałby za tobą na koniec świata, gdybyś go o to poprosiła. Ale tym razem, jeżeli tylko wyrazisz zgodę, osobiście będę ci towarzyszył w wyprawie na północ. Aż mnie świerzbi, by rzucić się w wir akcji, poza tym mam przecucie, że mogę być pomocny mojemu przyjacielowi Tomarowi.

Pierwszy na te słowa zareagował gil z typową dla niego bezcere-monialnością.

- To mnie Rada wybrała na towarzysza wszelkich, choćby naj-niebezpieczniejszych podróży Portii i, jak sądzę, udowodniłem, że jestem godzien tego zadania. Tobie natomiast Tomar przekazał czu-wanie nad Birddom w czasie jego nieobecności. Czy sądzisz, że bez-troskie wałęsanie się po kraju będzie dobrym wypełnieniem powie-rzonej ci roli?

- Być przywołanym do porządku przez kogoś tak drobnego cia-łem, choć wielkiego odwagą, to wyśmienita lekcja pokory - odrzekł Isidris. - Słusznie prawisz, mój przyjacielu. Jak widać mądrość nie jest przywilejem danym jedynie sowom. Chociaż męczy mnie bez-czynność, pozostanę na miejscu, by wywiązać się z nałożonego na mnie obowiązku. Portia nie potrzebuje innego towarzysza - z tobą będzie bezpieczna, bo jesteś szczerze jej oddanym przyjacielem. Ale dość już gadania. Pokazaliście mi, gdzie moje miejsce. A twoje, Por-tio, jest daleko stąd, u boku dzieci. Ruszaj więc niezwłocznie w dro-gę.

Im dalej na południe frunął Venga, tym bardziej niebezpieczna stawała się jego podróż. Sroki były niemiłe widziane w całym króle- stwie, lecz najwyraźniej w sercu kraju czujność Birddom została

zwielokrotniona. Venga mógł przemieszczać się jedynie po zmroku, co się wiązało z różnymi zagrożeniami. Noc nie sprzyja lotom, chyba że jest się sową lub innym drapieżnikiem czyhającym na smakowitą przekąskę w postaci sroki!

Bardzo rzadko na swojej drodze natykał się na jakieś krukowate i nie dowiedział się od nich wiele. Wszystkie, co do ptaka, były przeżone i zainteresowane jedynie własnym przetrwaniem. Dużo więc czasu upłynęło, zanim zrezygnowany Venga dowiedział się czegośkolwiek o Trasce. Najwyraźniej podły samiec był znienawidzony nawet przez własnych pobratymców za tchórzostwo okazane w czasie Wielkiej Bitwy. Weterani owej walki wyrzucali z siebie imię „Traska” z wyjątkową pogardą. Okazało się też, że po przegranej bitwie łotr dokądś umknął i wszelki ślad po nim zaginął.

Gdzie jednak mógł się udać? Choć Venga szczegółowo wypytywał wszystkie napotkane krukowate, nikt nie umiał mu udzielić odpowiedzi na to pytanie. Sprawa zdawała się beznadziejna. Trop całkowicie ostygł. Venga, w swojej naiwności, nigdy nie przypuszczał, że może mieć problemy z odnalezieniem wroga. Unicestwienie szubrawca było sensem i celem jego życia od dnia narodzin. W wyobraźni wielokrotnie przeżywał zwanie z podłym okrutnikiem. Walkę na śmierć i życie. Zwycięstwo. A tymczasem teraz nie mógł wytropić przeciwnika. Traska jakby rozpułynał się w powietrzu. Młodego samca sroki ogarniała irytacja. Coraz częściej też myślał o matce. Zaufała mu całkowicie, wierzyła, że syn dokona zemsty w jej imieniu. Vendze w żadnym razie nie wolno było zawieść Katyi.

Pozostał więc w tym niebezpiecznym rejonie kraju, ryzykując własne życie. Wciąż głębiej zarzucał sieć i w końcu postanowił nawet szukać innych informatorów niż tylko sroki. Ale ogólnie panująca w Birddom nienawiść do krukowatych - całkiem zresztą

zasłużona, jak zrozumiał Venga - wykluczała możliwość bezpośredniej rozmowy z drobnymi ptakami.

Ostatecznie młody samiec był zmuszony posunąć się do poczynań w stylu Traski - choć o wiele mniej brutalnych. Bo jedynie groźbami mógł jeszcze wydusić jakiegokolwiek informacje mogące doprowadzić go do celu. Każdy akt agresji zwiększał jednak prawdopodobieństwo ściągnięcia na siebie nieszczęścia - sprowokowania krwawego odwetu. Venga desperacko potrzebował chwili wytchnienia.

W końcu, gdy już niemal całkiem porzucił nadzieję, uśmiechnęła się do niego fortuna. Musiał umykać z miejsca, gdzie prowadził wyjątkowo intensywne dochodzenie, zaczęły go bowiem ścigać sowy. Umykał przed nimi co sił kilka kilometrów na północ, aż - wyczerpany - opadł na jeden z krzewów porastających gęsto brzeg wartko płynącego strumienia.

Anisse przeżyła szok na widok sroki siedzącej tak blisko jej gniazda. Perkozica pamiętała cierpienia zadane przez sroki po tym, jak pomogła Kirrickowi. Obrażenia ciała się zagoiły, blizny wyblały, ale psychicznie wciąż była poraniona. W pierwszym odruchu miała ochotę zabić srokę we śnie. Ostatecznie po tym, czego doświadczyła od tych ptaków, zadośćuczyniłaby sprawiedliwości. Jednak wrodzona dobroć nie pozwoliła na równie barbarzyński akt. Anisse po prostu nie potrafiła pozbawić innego ptaka życia, nawet jeśli własna dobroduszość miałaby się na niej zemścić.

Kiedy Venga się przebudził, ujrzał przed sobą ostry jak szydło dziób i nienawistny błysk w oczach perkozicy.

- Czemu tak wrogo na mnie patrzysz? - zapytał. - Przecież nie zrobiłem ci nic złego.

Anisse zaskoczył ton jego głosu. Pobrmiewały w nim siła i bezpośredniość przypominające sadystycznego przywódcę srok, które ją skrzywdziły. Ale głos ów był jednocześnie pozbawiony choćby cienia

groźby czy agresji. Anisse zmusiła się, by spojrzeć uważniej na samca sroki i spostrzegła, że on sam też wiele wycierpiał.

Nie boi się mnie i nie chce, żebym ja się go bała, pomyślała, na głos zaś rzekła:

- Powinieneś mieć się bardziej na baczności, podróżniku. To nie jest kraina przyjazna dla srok. W zasadzie nie wiem, czy taką w ogóle znajdziesz. Twój gatunek wyrządził wiele zła w naszym królestwie.

- Do końca swoich dni będę bolał nad krzywdą wyrządzoną innym przez sroki. Birddom zaznało od moich pobratymców wszystkiego, co najgorsze. Dopiero gdy wyruszyłem w podróż, zdałem sobie sprawę z tych niewyobrażalnych strat.

Anisse dojrzała w jedynym oku Vengi wyraz szczerzego smutku i doszła do wniosku, że oto ma przed sobą srokę, której powinna pomóc, jeżeli tylko zdoła.

- Wspomniałeś o podróży. Patrząc na ciebie wnioskuję, że była ona najeżona niebezpieczeństwami. Dlaczego podjąłeś tak wielkie ryzyko w czasach, gdy całe Birddom jest przeciwko wam, srokom?

- Nie miałem innego wyjścia. Jest bowiem pewien osobnik mojego gatunku - zdeprawowany, przeżarty złem, wyjątkowo podły - którego muszę wytropić i zgładzić. Ma na imię Traska. Brutalnie zgwałcił moją matkę.

Anisse aż się zatchnęła i w pierwszej chwili Venga pomyślał, że to z powodu zgrozy na wieść o tak okrutnym postępku poszukiwanego Traski. Szybko jednak dotarło do niego, że perkozicy nieobce było wymienione imię.

- Czyżbyś znała tego łotra?

- Lepiej, niżbym sobie życzyła - odparła, pokazując mu blizny, jakie pozostały na jej ciele po spotkaniu z Traską.

- Zawsze pragnąłem go zabić za to, co uczynił mojej matce, Katy, a teraz - gdy widzę, jak potraktował ciebie - moje pragnienie

jeszcze się umocniło. Ten potwór zasługuje na śmierć!

- Nie wierzę własnym oczom! - Anisse nie ukrywała zdumienia.
- Niezbadane są wyroki naszego Stwórcy, jeżeli doczekałam czasów, gdy jedna sroka marzy o zemście na innej sroce. Potrzebowałbyś jednak niewiarygodnie długiego dzioba, żeby - będąc w sercu Bird-dom - dokonać dzieła, przyjacielu.

Venga spojrzał bystro na perkozicę.

- Czy wiesz, gdzie on przebywa?

- Wiem, że do Rady Sów dotarły niedawno wieści o aktach okrucieństwa dokonywanych na północy. Wszyscy są przekonani, że stoi za nimi Traska. Ptak, którego szukasz, jest właśnie tam, nie tutaj.

Venga nie mógł w to uwierzyć. Więc Traska był w jego rodzinnych stronach? W pobliżu matczynego gniazda! Jakże to straszne! Wysyłając syna w misję, Katya pozbawiła się jedyne obrońcy. Ale przecież żadne z nich nie mogło przewidzieć, że niebezpieczeństwo będzie czyhać w pobliżu domu. Venga musi natychmiast wracać na północ. I modlić się, by nie było za późno!

13.

Obie wrony były zdumiewająco masywne. Tomarowi wydawało się niewiarygodne, że tak grubo ciosane stworzenia są w ogóle zdolne do lotu. Niemniej braki urody i wdzięku nadrabiały pewnością siebie - czy wręcz arogancją. Zbliżały się powoli i nie przyspieszyły nawet wtedy, gdy u ich boku pojawiły się dwa orły. Co więcej, rzucały swojej eskorcie pogardliwe spojrzenia.

Kiedy wylądowały, stanęły butnie przed Wielką Sową i władcą orłów. Pierwszy przemówił Finbar:

- Przynoszę posłanie od króla tego kraju.

Storne ruszył gniewnie do przodu, oburzony bezczelną uzurpacją, Tomar jednak powstrzymał go nieznacznym ruchem skrzydła.

- Czyli od kogo? - zapytał z uśmiechem.

- Jakimże trzeba być tępym ptakiem, by nie znać imienia swojego władcy? Mówię oczywiście o Trasce, panu tych ziem. Przesyła on pozdrowienia swojemu poddanemu, Tomarowi.

- Za pozdrowienia dziękuję - wycodził puszczyk przez zaciśnięty dziób.

- Przekażę twoje podziękowania. Ale może lepiej by było, gdybyś wyraził je osobiście? Traska zaprasza cię do swojej siedziby. Z

bliżej nieznanego mi powodu sądzi, że ktoś tak wiekowy jak ty, może posiadać wiedzę wartą zgłębienia. Chociaż osobiście nie jestem w stanie pojąć, czego król może się nauczyć od prostaka.

Finbar uśmiechnął się kpiąco, a Tomar przełknął obrazę z kamienną twarzą.

- Zawsze chętnie sprowadzam na dobrą drogę błędzących, jeżeli wierzę, że są zdolni do poprawy. Obawiam się jednak, że w wypadku waszego pana strzępiłbym język na daremno.

Potężny, lecz tępy samiec wrony stracił głowę na dźwięk lodowatego głosu puszczyka.

- Musisz z nami lecieć. Tak rozkazał Traska - wyjąkał, ale w tej samej chwili przypomniał sobie coś ważnego i od razu odzyskał rezon. - Trzyma on u siebie pewną parkę, którą, jak sądzi, chciałbyś jeszcze zobaczyć.

Tym razem Storne musiał hamować przyjaciela. Tomar potrząsnął kilka razy głową, aby opanować nerwy, po czym powiedział:

- Masz rację. Rzeczywiście pragnę się spotkać ze swymi podopiecznymi. To miło ze strony Traski, że zajął się nimi w moim zastępstwie. Czy mają się dobrze?

- O tyle, o ile - parsknął Finbar. - W każdym razie wciąż są przy życiu, chociaż nie wiem, jak długo jeszcze będą się nim cieszyć. To zależy wyłącznie od kaprysu króla.

- Niech więc nasz Stwórca ma ich w swojej opiece - mruknął Tomar cicho, na głos jednak powiedział: - Polecę z wami bez zwłoki.

Storne spojrział z przerażeniem na wiekowego przyjaciela.

- Ależ nie możesz... - zaczął.

Stary puszczyk z przekonaniem pokiwał głową.

- Muszę - odrzekł z prostotą. - Nie mamy innego wyjścia.

Chociaż Portia była wciąż nieświadoma, jak blisko śmierci znajdowały się jej dzieci, frunęła niestrudzenie przed siebie, gnana jakąś

wewnętrzna potrzebą, napędzana siłą woli. Nie chciała zatrzymywać się na odpoczynek, pragnęła tylko pokonać jak najszybciej jak największą odległość.

- Czy doprawdy nie możemy lecieć szybciej? - jęknęła do swojego wyczerpanego już przyjaciela.

- Och, jasne. Ostatecznie dopiero co przemierzyliśmy połowę świata. Ale wiesz co? Ja jestem zwykłą istotą z krwi i kości. I już ledwo zipię!

Portia posłała Mickeyowi ostre spojrzenie, które natychmiast złagodniało, gdy zobaczyła, jak bardzo gil jest zmordowany.

- Masz rację - zdecydowała. - Pół godziny nas nie zbawi. Odpocznij więc, drogi przyjacielu.

Mickey nie czekał na dalsze zaproszenie, tylko przywarł do pnia drzewa, na którym przysiedli, jakby nie mógł już utrzymać się na nogach o własnych siłach, po czym niemal natychmiast zapadł w sen. Jakże cennym i oddanym stał się przyjacielem dla Portii. Miała wobec niego tak wysokie wymagania, a on wciąż dawał jej więcej, niż oczekiwała.

- Niech śpi - szepnęła cicho. - Przed nami jeszcze szmat drogi, a kto wie, co nas spotka u kresu tej podróży? Och, Tomarze. Miej w opiece moje dzieci. Tak bardzo się o nie lękam.

- Czy aż tak nisko się stoczyłeś? Teraz maltretujesz dzieci? - Tomar nigdy wcześniej nie znalazł się oko w oko z Traską i był zdumiony widząc, jak pospolicie wygląda ów osławiony samiec sroki. Okrutne wyczyny wyolbrzymały jego postać w wyobraźni puszczyka, a tymczasem w rzeczywistości ten ptak nie odznaczał się niczym szczególnym. Chociaż niezaprzeczalnie biło od niego zło.

Po chwili Tomar przeniósł wzrok z Traski na jego towarzyszkę.

- Niech Stwórca ci przebaczy - wyszeptał, przygważdżając ją strasznym spojrzeniem.

Katya natychmiast spuściła oczy, umykając przed oskarżycielskim wzrokiem. Jeszcze nigdy nie czuła tak palącego wstydu. Zerknęła na rudziki kulące się pod uniesionymi szponami Finbara.

- Puść ich wolno - zwróciła się błagalnie do Traski. - Osiągnąłeś swój cel. Nie musisz im wyrządzać jeszcze większej krzywdy.

- A ja uważam, że muszę i tylko to się liczy! - zachnął się Traska. - To Kirrickowy pomiot i zamierzam się z nimi rozprawić tak samo jak z ich ojcem.

- Nie wolno ci do tego dopuścić! - Ton Tomara ściągnął uwagę Katyi.

- Nie jestem w stanie temu zapobiec - zaszlochała żałośnie.

- Wiem, że tak naprawdę nie ma w tobie zła - podjął stary puszcz. - Jak więc możesz tkwić u boku tego potwora i pozwalać, by dopuszczał się dalszych bestialstw, po tym wszystkim, czego od niego zaznałaś?

- Ty stary głupcze! - zaśmiał się Traska. - To była czysta mistyfikacja. Wymyślona bajeczka, by odciągnąć cię od twoich podopiecznych i umożliwić mi ich porwanie. By ściągnąć cię do mnie w roli upokorzonego, skruszonego petenta!

- O, nie. Katya nie kłamała, gdy mówiła, jakich okrutnych bezeceństw się wobec niej dopuściłeś. Nie jest aż tak zdolną aktorką.

- Moja najdroższa jest największą mistrzynią blagi na świecie!

- Jak śmiesz! Jak śmiesz nazywać mnie swoją najdroższą! - wyszczała jadowicie Katya, piorunując Traskę wzrokiem. - Ty naprawdę mnie zgwałciłeś! Ukradłeś mi życie. Pozbawiłeś wszelkiej radości. Zdusiłeś we mnie wszystko, co czyste i dobre. Splugawiłeś moją duszę. Deprawator! Okrutnik! Nienawidzę cię! Napawasz mnie wstrętem. Nigdy więcej nie nazywaj mnie ukochaną!

Traska był szczerze zaszokowany. Z rozwartym ze zdumienia dziobem zaczął z niedowierzaniem potrząsać głową.

- Nie. To niemożliwe. Katyu, miłości moja, co ty opowiadasz? Uwielbiam cię. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nie zranił.

- Nie pozostało już nic do zranienia - odparła. - Odarłeś mnie ze wszystkiego.

- Ale kiedy? - wyjąkał, nadal nic nie pojmując.

- Nawet nie pamiętasz! - wrzasnęła. - Ale właściwie, czemu miałbyś pamiętać? Przez całe życie, w takiej czy innej formie, gwałcisz porządek świata. Dlaczego więc miałby ci utkwąć w głowie ten jeden, odosobniony akt bestialstwa?

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Nic nie rozumiem. Wiem tylko, że cię kocham, Katyu.

- Ty nie jesteś zdolny do miłości. Żeby kogoś kochać, trzeba mieć serce!

Traska miał wrażenie, że niespodziewanie wpadł w czarną, bezdenną pustkę. Błądził w mroku. Tylko w uszach wciąż mu dźwięczały ostre słowa ukochanej.

- Twoja dusza już smaży się w piekle, Trasko - przerwał głuchą ciszę Tomar. - Jesteś potępiony, bez szans na wybawienie.

Demaskatorskie słowa puszczyka sprowokowały Traskę do ostatniej demonstracji niegodziwości.

- Cóż, przynajmniej zabiorę ze sobą tę dwójkę - zaskrzeczał, złowrogo doskakując do rudzików.

I zanim Tomar zdążył zareagować, Traska rzucił się ze szponami na młode rudziki, tylko o włos rozmijając się z łepkiem Olivii. W tym momencie jednak zadziałała Katya. Niespodziewanie coś w niej pękło. Puściły wszystkie hamulce, ustępując miejsca pierwotnej dzikości. Nie dbając o własne bezpieczeństwo, piękna sroka rzuciła się na Traskę w morderczym szale, a nienawiść dodała jej mocy niezwykłej dla ptaka tak delikatnej postury.

Zaskoczony Traska cofał się przed nią w całkowitym osłupieniu. Przecież kochał tę samiczkę! Czemu więc mu to robiła? W całym swoim życiu prześladował tylko wrogów. Ale jednocześnie jakimś cudem skrzywdził tę, która znaczyła dla niego najwięcej. I teraz ona też nienawidziła go z całego serca. Tak bardzo, że pragnęła jego śmierci! Ten cios był dla niego zbyt ciężki do zniesienia! Traska nie potrafił wzbudzić w sobie dość gniewu, by się bronić. Nie miał sił ani ochoty wykorzystać przeciwko ukochanej swojej przewagi fizycznej i doświadczenia. Poza tym Katya była w takiej furii, że jej atakom brakowało precyzji i koordynacji, Traska więc bez trudu uchylał się od potencjalnie śmiertelnych uderzeń jej dzioba czy szponów. Niemniej, z powodu swojej pasywnej postawy, został poważnie poraniony. Głowa i szyja ociekały mu krwią, a Katya nadal wściekle nacierała. Gorycz i gniew były tak potężne, że nie zadowalał jej widok ran przeciwnika. Chciała, by zginął. Chciała, żeby ta nikiemna kreatura na zawsze zniknęła z powierzchni ziemi.

A gdy już się zdawało, że osiągnie swój cel, w końcu dotarło do ociężałych umysłowo pacholków Traski, że ich władca znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Wrony były co prawda tępe, ale nieprawdopodobnie silne, Katya nie miała więc żadnych szans w starciu z czterema ptaszyskami, które odciągnęły ją od Traski i zaatakowały bez pardonu. Nie minęło parę sekund, a piękna samiczka została rozzerwana na drobne strzępy. Traska przyglądał się temu w bezruchu i tylko z oczu nieprzerwanie płynęły mu łzy. Z jego oblicza zniknął wyraz przebiegłości i zła, ustępując miejsca przerażeniu wywołanemu okrutnym końcem ukochanej. Katya zginęła w jednej chwili, Traska jednak wiedział, że jej śmierć będzie mu raz po raz stawiała przed oczami, wypierając wszystkie inne obrazy. Rozdziobowane ciało. Serce wyrwane z pięknej piersi. I żałosne szczątki. Katya przestała istnieć! Utracił ją na zawsze. A wraz z nią wszystko, co było mu drogim.

Tymczasem cztery, unurzane we krwi Katyi wrony spoglądały na swego wodza, oczekując aprobaty. Czy wręcz podziękowania. Przecież, ostatecznie, uratowały mu życie, no nie? Traska wciąż tkwił w stuporze wywołanym przez szok. Znowu pozostał sam jeden na świecie i nie wiedział, czy tym razem zdoła udźwignąć ten ciężar. W końcu odwrócił się od zmasakrowanych szczątków ukochanej i powoli oddalił.

Podczas gdy wrony walczyły o to, co pozostało jeszcze z ciała Katyi, Tomar doskoczył do swoich podopiecznych i odsunął ich od miejsca kaźni. Bał się, że w każdej chwili Traska otrząśnie się z odrętwienia i zaalarmuje swoich pachołków.

- Czy wszystko z wami w porządku, najdrożsi? Możecie latać? - W jego oczach pojawił się błysk niepokoju, gdy spojrzał na okaleczoną nogę Meriona.

- Nie jestem w stanie chodzić, ale myślę, że dam radę fruwać - odparł dzielnie młody rudzik.

- Wykapany ojciec! - wykrzyknął Tomar, tłumiąc w starym ciele chęć do niepomaganego śmiechu, wywołaną wspomnieniem Kirricka. Zdał sobie sprawę, że podobna wesołość byłaby nie na miejscu w zaistniałych okolicznościach. Niebezpieczeństwo wciąż nie zostało zażegnane. Puszczyk strzelił oczami na wszystkie strony, po czym zakomenderował: - Musimy ruszać. Te wrony, co prawda, zaspokoily żądzę krwi, niewiadomo jednak, jak się zachowają pod nieobecność Traski.

Wraz z młodymi rudzikami poderwał się w górę i natychmiast skierował ku siedlisku orłów.

Traska patrzył, jak trzy ptaki znikają w przestworzach nieba. Nie miało to już jednak dla niego żadnego znaczenia. Ogień, który w nim dotąd płonął - ogień grożący strawieniem całego Birddom - nagle wygasł, pozostawiając jedynie popioły.

- Czy ty jesteś Traska?

To nie było pytanie, a raczej bojowe wyzwanie i Traska zerknął bystro na ptaka, który właśnie przysiadł na pobliskim drzewie. Podobnie jak on, był sroką, tyle że w tym młodzieńcu, wciąż jeszcze buzował płomień. Traska spojrzął w jedyne oko adwersarza, i dojrzał niepohamowaną nienawiść. I nagle wszystko pojał. Nie umiałby powiedzieć skąd i dlaczego, ale wiedział, kim jest ten młodzieniec. Popioły w jego wnętrzu znów za jarzyły się nieśmiało. A więc pozostała jeszcze dla niego nadzieja. Znalazł się ktoś, dla kogo warto żyć.

- Mój syn - wyszeptał.

- Gdzie matka? - głos Vengi był lodowaty.

- Zginęła, mój synu - odparł Traska. - Zostaliśmy sami na świecie. Nie mamy teraz nikogo prócz siebie nawzajem.

Spojrzenie młodego samca zmroziło Traskę do szpiku kości.

- Wyznaczyła mnie na swojego mściciela. Jej śmierć nie pójdzie na marne, jeżeli dopełnię swego przeznaczenia. Katya nie będzie jedyną, która postrada dziś życie.

14.

Kiedy młody samiec sfrunął niżej, Traska miał okazję uważnie mu się przyjrzeć. To, co zobaczył, napełniło go dumą.

Mam pięknego, silnego syna, pomyślał. Proporcjonalnie zbudowanego - muskularnego, a jednocześnie niebywale zwinnego. Jego dziób wydaje się ostry niczym szydło. Chętnie przyjrzałbym się mu z bliska, w obecnej sytuacji byłoby to jednak samobójcze.

Gdy Venga siedział na drzewie, a potem leciał ku ziemi, Traska mógł go obserwować jedynie z profilu. Gdy jednak młodzik obrócił się en face, starszego samca zalała fala emocji na widok wydłubanego oka. Najpierw smutek, że tak piękny ptak został okaleczony. A zaraz potem triumf - Traska nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, że dzięki ułomności przeciwnika uda mu się go pokonać. Ale przede wszystkim gniew. Gniew na wszystko i wszystkich. Za to, że nie miał już u boku ukochanej Katyi. Że musiał stanąć do walki. Że musiał zabić własnego syna.

Przez chwilę Traska się zastanawiał, czy nie zrezygnować z oporu i nie pozwolić, by syn go zabił. To jednak zasadniczo kłóciło się z jego naturą. Od urodzenia Traska rządził niezwykle rozwinięty instynkt przetrwania. Szybko obrzucił więc wzrokiem teren mający się

stać miejscem potyczki. Było tu dość otwartej przestrzeni, pozbawionej bujnej roślinności, o ubitym podłożu. Postanowił, że walka rozegra się na ziemi. W powietrzu Venga miałby nad nim przewagę szybkości i zwrotności. A tak Traska będzie mógł wykorzystać fakt, że przeciwnik ma ograniczone pole widzenia.

- Czy jesteś gotów? - spytał Venga srogim głosem.

Odskakując nieznacznie w bok, by maksymalnie zdyskontować ułomność przeciwnika, Traska zadał mocny cios w ramię Vengi. Wycofał się równie szybko, jak zaatakował, po czym wykrzyknął:

- Nigdy więcej nie popełniaj podobnego błędu. Jeżeli będzie ci dane stoczyć jeszcze jakąś walkę, najpierw uderzaj, potem gadaj!

Traska nieomal przewrócił się o własny ogon, gdy Venga rzucił się na niego ze zdumiewającą szybkością i gwałtownością. Jego dziób był tak śmiertelnie ostry, jak starszy samiec przewidywał i tylko desperacki unik sprawił, że nie ugodził Traski w serce. Ponownie przesuwał się w stronę, której nie ogarniał wzrokiem młodzik, ugodził syna w policzek, po raz drugi raniąc go do krwi. Traska spodziewał się, że młodzik straci nad sobą panowanie z powodu początkowej porażki, grubo się jednak przeliczył. I wówczas ogarnęła go swoista duma. Jego syn szybko zebrał się w sobie, ustawił w dogodniejszej pozycji i zaczął szukać słabych punktów obrony wroga.

I tak wkrótce wywiązała się zaciepła walka na dzioby i szpony. W pewnej chwili Venga zdał sobie sprawę z audytorium i zadrzał na widok przysadzistych sylwetek wielkich wron, zgromadzonych wokół areny.

- Jeden na jednego! - zawołał do Traski.

- Naturalnie, synu. Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

- Traska cały czas tańczył na nogach i ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z przeciwnika, wykrzyknął jednak donośnie, by wszyscy mogli go usłyszeć: - Jest mój! I tylko mnie wolno go zabić. Zresztą

nie potrzebuję żadnej pomocy, żeby rozprawić się z jednym młokosem!

Wrony wybuchnęły złowrogim śmiechem i chrapliwymi głosami zaczęły drwić z Vengi. On jednak ignorował zaczepki i koncentrował się tylko na walce. Traskę przeszył dreszcz strachu. Być może nie docenił wroga. Ów młodzik był wyjątkowo zdeterminowany. Jednak ten brak oka!

Tak jest, powiedział sobie w duchu. Musisz wykorzystać jego ułomność. W ten sposób zwyciężysz.

Rozmyślenia Traski przerwał brutalny atak. Po raz kolejny nie oszacował trafnie niezwykłej szybkości przeciwnika i tym razem został ugodzony szponem w bok. Gdyby Venga trafił kilka centymetrów niżej, całkowicie okulałoby starszego samca. Ten cios uświadomił jednak Trasce powagę sytuacji. Szybko zmienił taktykę. Poruszał się teraz tylko w jedną stronę, tak że walka toczyła się po kole, i tylko wtedy zmieniał kierunek, gdy przypuszczał ostry atak. Ranił przeciwnika. Osłabiał go po trochu. Nigdy jednak zbyt długo nie pozostawał w zwarcu. Krew już pokrywała Vengę od stóp do głów i w Trasce obudził się podziw dla syna. Do diaska, ależ ten chłopak ma odwagę!, pomyślał z uśmiechem.

Ale właśnie ten uśmiech, zdaniem Vengi kpiący, wzburzył młodego samca. Ogarnęła go desperacja i pchnęła do nieskładnego ataku na niegodziwego łotra.

- Giń! - wrzasnął Venga, wkładając całą siłę w zadany na oślepiec cios.

Traska jednak niespodziewanie odskoczył w lewo i to zgubiło Vengę. Młodzik spodziewał się, że wróg zrobi unik w prawo, bo z tej strony jego widzenie było upośledzone, i zbyt późno zdał sobie sprawę z prawdziwych intencji Traski. Niesiony siłą bezwładu swojego szaleńczego ataku, nie był w stanie się odwrócić, gdy starszy samiec zaatakował z innego kierunku.

Venga wrzasnął w bólu agonii. Teraz już otaczała go całkowita ciemność. Oślepiiony, miotał się po polance, w żalosnych podrygach próbując dopaść niewidzianego przeciwnika. Traska tymczasem stał z boku i patrzył na cierpienie syna. Robiło mu się niedobrze. Wiedział, że zabijając Vengę w tej chwili, wyświadczyłby mu przysługę. Wystarczyłby jeden cios, bo młodzik był teraz bezbronny. Powinien pozwolić mu umrzeć honorową śmiercią. Ten młokos przynajmniej na to sobie zasłużył.

Traska odwrócił się plecami do miotającego się syna.

- Skończcie z nim! - wykrzyknął do stojących obok pachołków, po czym poderwał się w powietrze i odleciał w dal.

Powitanie matki z dziećmi uradowało serce starego puszczyka. Popełnił tak wiele błędów, więc dziękował Stwórcy, że nikt z bliskich jego sercu nie zapłacił zbyt drogo za jego pomyłki. Noga Meriona wkrótce się wygoi, no i na szczęście żadne z rudzików nie doznało urazu psychicznego z powodu ciężkich przeżyć. W rzeczy samej, jak wszystkie dzieci, prześcigały się w relacjonowaniu swoich przygód, a ich oczy błyszczały przy tym z podniecenia. Portia przycisnęła swoją dwójkę do piersi, a Tomar przyglądał się im z uśmiechem, potem jednak się oddalił, żeby nie zakłócać rodzinnego szczęścia.

Od gila, Mickeya, dowiedział się o przygodach emisariuszy w Winglandzie. Ze smutkiem przyjął wiadomość, że żyjące tam drobne ptaki nie zgodziły się na przeprowadzkę do Birddom.

- Przykra to wiadomość, chociaż nie mogę powiedzieć, że całkowicie zaskakująca. Trzeba jednak było podjąć tę próbę. I jestem pewien, że żadne inne ptaki nie wywiązałyby się lepiej z powierzonej wam misji. Wasze poświęcenie nie zostanie zapomniane. Całe Birddom jest wam wdzięczne za podjęcie tej trudnej wyprawy. Później powiem o tym także Portii. Teraz niech się nacieszy dziećmi.

Będziemy chcieli jednak odpowiednio was uhonorować. Jesteście niezwykle dzielnymi ptakami przynoszącymi chlubę naszemu królestwu. Stanowicie żywy dowód, że nie liczy się wielkość ciała, lecz wielkość ducha. Muszę jednak przyznać, że przyszłość Birddom rysuje się w ponurych barwach. Żeby odbudować naturalną równowagę, którą tak strasznymi metodami niszczył Slyekin, potrzeba nam masowego napływu ptaków. Żółć mnie zalewa na myśl, że ta część planu owego szalonego megalomana może się jednak ziścić! - Troška pojawiła się na obliczu Tomara, który nagle jakby jeszcze bardziej się postarzał.

Mickeya ogarnął niepokój o puszczyka.

- Tomarze, mój przyjacielu, musisz wypocząć. Wyglądasz na kompletne wykończonego! Kiedy ostatni raz coś jadłeś?

- Miałem zbyt wiele ważnych spraw na głowie, by zajmować się własnym brzuchem - roześmiał się puszczyk.

- Cóż, to dopiero będzie historia, jeżeli Birddom starci swego przywódcę, najwspanialszy umysł w kraju, tylko dlatego, że on zapomniał o jedzeniu.

- Masz rację, Mickeyu. Zawstydzasz mnie. Zjem coś, a potem udam się na odpoczynek. Nic się nie stanie, jeżeli przyszłością Bird-dom zajmę się od jutra.

Czcigodni członkowie Rady ponownie usadowili się na dębach tworzących święty krąg wokół polany będącej miejscem zebrań sów od niepamiętnych czasów. Do ósemki, która brała udział w inauguracyjnym spotkaniu, dołączyły cztery młode, pełne entuzjazmu sowy. Zostały uroczyście wprowadzone do tego gremium i zajęły miejsca obok starszycy. Rada więc ponownie znalazła się w pełnym składzie i, sądząc po zaletach umysłowych młodej generacji, o jej przyszłość nie trzeba było się martwić.

Tomar, Wielka Sowa, powiódł wzrokiem po zgromadzeniu z dumą

i satysfakcją. Gdybyż tylko przyszłość Birddom wyglądała równie obiecująco, pomyślał, po czym zaczął przemowę:

- Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu dzisiaj z dwóch powodów. Po pierwsze, by odpowiednio uhonorować dzielną, mądrą parę ptaków, które stoją teraz przed wami.

Dwanaście par nieruchomych oczu utkwіło spojrzenia w samiczce rudzika i gilu.

- Portia i Mickey nie byli w stanie wywiązać się z zadania, jakie im wyznaczaliśmy. Ale przecież doskonale wiemy, przed jak wielkim postawiliśmy ich wyzwaniem. Birddom nie mogło wybrać lepszych emisariuszy i jestem dumny z ich postawy.

W tym momencie odezwał się chór głosów, wyrażających głębokie podziękowania i słowa wsparcia dla Portii i Mickeya. Po chwili Tomar uniósł lekko skrzydło, by uciszyć zgromadzonych, i podjął temat:

- Musimy jednak stawić czoło faktom. Zadanie nie zostało wykonane. Birddom grozi wielkie niebezpieczeństwo. O ile nie zdołamy przyciągnąć drobnych ptaków do naszych wybrzeży, czeka nas ponura przyszłość. Zachowanie naturalnego porządku rzeczy jest fundamentalne dla naszego przetrwania. Tym bardziej że już dobrowolnie złamaliśmy jedno z odwiecznych praw Natury, bowiem tylko w ten sposób mogliśmy pokonać Sylekina. W żadnym razie nie cofnę złożonej owadom obietnicy - nie będziemy się nimi żywić, przynajmniej tak długo, jak ja będę Wielką Sową, choć mam nadzieję, że dużo dłużej, jeżeli ta Rada będzie chciała nadal szczerzyć się honorowym postępowaniem. I tu dochodzimy do drugiego problemu. Może najnowsi członkowie znajdą sposób na osiągnięcie naszych celów. Świeże idee młodych umysłów są zawsze mile widziane. Śmiało więc wyrażajcie swoje opinie.

Niemal wszystkie sowy zgłosiły jakieś pomysły, które z powagą dyskutowano. Każdy z nich jednak odrzucono jako nierealny.

Zgromadzonych ogarnęło rozgoryczenie. Uznali, że mieli tylko jedną szansę, ale tej nie udało się wykorzystać.

W końcu młody puszczyk, który - bardziej nieśmiały od pozostałych - do tej pory siedział w milczeniu, zebrał się na odwagę i powiedział:

- Może powinniśmy bardziej zdecydowanie nakłonić drobne ptaki, by przybyły do Birddom. Znaleźliśmy się przecież w desperackim położeniu, usprawiedliwiającym desperackie rozwiązanie.

- Mam nadzieję, że szybko uświadomisz sobie bezsens swoich słów! - zagrmiał Tomar. - Marny to początek twojego członkostwa w Radzie, jeżeli proponujesz użycie siły wobec innych ptaków. Chciałbyś stać się taki sam jak sroki?

- Wybacz, Tomarze. - Młody puszczyk był przerażony gniewem Wielkiej Sowy. - Nerwowość sprawiła, że nie wyraziłem się dość precyzyjnie. Chciałem tylko powiedzieć, że może większa grupa, złożona z potężniejszych ptaków, zdołałaby bardziej przekonująco przedstawić argumenty. Nie urażając naszych honorowych gości, którzy działali dzielnie i zrobili wszystko, co w ich mocy, by osiągnąć cel.

- To brzmi dużo lepiej - odrzekł Tomar. - Jeszcze będzie z ciebie doskonały członek Rady. Teraz rozumiem, co masz na myśli, i chociaż nie popieram tej propozycji, należy poddać ją pod dyskusję. Być może rzeczywiście powinniśmy zadziałać kategorycznie, skoro w grę wchodzi przyszłość Birddom i...

Tomar urwał, jakby coś rozproszyło jego uwagę, i wszyscy powędrowali wzrokiem za jego spojrzeniem. Portia zerknęła w niebo i głośno zaćwierkała z radości. Mickey natomiast zaczął podskakiwać u jej boku, wykrzykując:

- To Swoop! Swoop!

Mały punkt na niebie szybko się przybliżał i powiększał, by w końcu przybrać charakterystyczny kształt jaskółki. Wszystkie sowy

wstrzymały oddech z wrażenia, zrozumiały bowiem, że ów ptak jest zwiastunem jakichś doniosłych wydarzeń. I rzeczywiście, ledwo Swoop wylądowała na polanie, oznajmiła triumfalnie: - Fruną do was!

Zmierzając na południe, znaleźli się nad starożytną krainą, która dawno temu została dotknięta naturalną katastrofą - śmiertelną zarazą sprowadzoną do Birddom przez owady. I tylko mądrość oraz szybka reakcja Eamonna, ówczesnej Wielkiej Sowy, zapobiegły rozprzestrzenieniu się plagi. Teraz Natura ponownie zagroziła życiu ptaków - tym razem jednak w Winglandzie. W lasach i na polach szalały wielkie pożary. Siedliska wielu zwierząt pochłonęły płomienie.

Ludzie zaś oddali całe wiejskie obszary we władanie żywiołu. Wykopali rowy i wycięli szerokie przecinki w miejscach, gdzie pożar mógłby zagrozić miejskim skupiskom. Nie podjęli jednak żadnych prób wygaszenia płomieni. Człowiek zdecydował, że pozwoli, by ogień sam się dopalił, i w ten sposób skazał na śmierć miliony zwierząt. Ptaki, na szczęście, mogły się wzbić w powietrze. Ścigane przez pożary umykały daleko ku zachodowi i północy, aż w końcu nie miały innego wyjścia - musiały opuścić swój rodzinny kraj.

Tomar i Portia siedzieli na sękatym kasztanowcu i przyglądali się nadlatującym masom ptaków. Na horyzoncie majaczyła ciemna chmura, szybko się zbliżająca, powoli przesłaniająca słońce, pogrążająca Birddom w przedwczesnym mroku. Bystry wzrok puszczyka wyławiał spośród tłumu poszczególne osobniki, choć wielkie stado znajdowało się jeszcze daleko. Ku Birddom nadciągały ptaki wszelkich możliwych gatunków! Zarówno te, które od wieków zamieszkiwały w tym kraju, jak i bardziej egzotyczne. Nadciągały tłumnie, jakby w odpowiedzi na gorące modły Tomara. Stary puszczyk z

uśmiechem spojrzął na Portię - w oczach błyszczały mu łzy szczęścia, a gardło ścisnęło niewymowne wzruszenie. Piękna samiczka ze zrozumieniem skinęła głową.

- Birddom powróciło do życia - powiedziała. - Szkoda tylko, że Kirrick nie może tego zobaczyć.

Portia i Tomar spojrzeli na pobliską polankę, gdzie dwa młode rudziki tańczyły z radości na widok nadciągających miriad ptaków. Wciąż wzruszony, puszczyk zdołał jednak odzyskać głos.

- Może widzi, Portio. Może widzi.

Epilog

- Tato! Tato! - wykrzykiwał młody chłopiec w wielkim podnieceniu. - Dorwałem jedną! Dorwałem!

- Co się dzieje? - spytał mężczyzna, gdy dziecko ruszyło w jego stronę, dźwigając w rękę jakiś ciężar. Było to truchło sroki.

- Zastrzeliłem ją, tato. Naprawdę! Położyłem jednym strzałem. Myślę, że jest to ten podły ptak, który skrzywdził Jenny. I ja go zabiłem!

Chłopiec wyciągnął swój łup w stronę ojca. Chociaż pióra były pokryte krwią, nie ulegało wątpliwości, że jest to sroka. Biegnąc ku ojcu, chłopiec bezceremonialnie włókł łeb ptaka po ziemi. Mężczyzna wziął truchło z rąk chłopca i poddał je oględzinom.

- Nie, synu. To nie jest ten sam ptak. Popatrz, ten ma dwoje oczu, chociaż teraz na nic już mu się zdadzą. A tamten łotr miał tylko jedno ślepie, pamiętasz? Ale to nieważne. Jeśli o mnie chodzi, dobra sroka to martwa sroka. Jestem pewien, że i bez tej sztuki świat stanie się dla nas lepszym miejscem!

Powiedziawszy to, mężczyzna zamachnął się z całej siły i cisnął bezwładne zwłoki daleko przed siebie. Promienie słońca zatańczyły na czerni, bieli i głębokim granacie piór, gdy ptasie truchło zawirowało tuż przed tym, jak spadło w pobliże, gęste krzewy.

Znienawidzone. Skazane na zapomnienie.